KRZYŻ NAD OTCHŁANIĄ,

STUDYUM KOBIÉCE

przez

Deotymę.

LIST I.

Teresa do Anieli.

Sandomierz—20 Października.

Kochana Anielko!

Serdecznie ci dziękuję za twój list z powinszowaniem, który, wśród kilku miłych imieninowych niespodzianek, był dla mnie, jak łatwo pojmiesz, najmilszą. Wprawdzie to nie twój słodki głosik, ale przynajmniéj dalekie jego przypomnienie, przynajmniéj twoje pismo, jedyny węzeł co mię jeszcze łączy z tą przeszłością tak bliską, a która niestety jest już tylko przeszłością.

Nie uwierzysz moja Anielciu, jak mi tęskno za tobą, a raczéj uwierzysz, bo przecież i ty choć troszkę tęsknisz. Ale tobie łatwiéj obyć się bez jednego serca więcéj, masz ich tyle co za tobą przepadają! Masz własny dom, twego pana Augusta, który, jak sądzę, jest zawsze najczarowniejszym z małżonków; masz o kilka ulic dom rodziców; mieszkasz w tym samym Poznaniu, w którym się od kolébki wychowałaś;—ja tylko ciebie jednę miałam, tylko w murach klasztornych żyć lubiłam i musiałam się rozstać z tobą, porzucić nasze kochane zakonnice, przenieść się w stronę obcą, między ludzi,

którzy mię nigdy nie widzieli, i których, ma się rozumiéć, moja osóbka niewiele obchodzi.

To téż choć nie ma pół roku jak się z tobą żegnałam, już mi się wydaje, że cała przepaść oddziela mię od téj godziny. Wszystko tu takie inne, takie jakieś nieprzystające do moich dawnych wyobrażeń i wrażeń, jakbym się na inny świat dostała.

Wprawdzie to światek wcale ładny. Sandomierz mnie zachwycił, nietylko swoją okolicą, ale także, jakby to powiedziéć? swoim wewnętrznym układem. Nie wyobrażałam sobie nic podobnego. Sądziłam, że znajdę mieścinę opuszczoną, o zgrzybiałych domach, o ciasnych uliczkach, tymczasem wystaw sobie gród prawdziwie starożytny, rozrzucony jakby ręką malarza na kilku wzgórzach, i to takich wspaniałych, że możnaby nieledwie powiedziéć na górach. Między ulicami wiją się głębokie rozdoły, zielone wąwozy, po których szumią strumienie, tak że chcąc komu oddać wizytę, nieraz muszę przechodzić mostek na potoku, albo dolinkę gdzie bydło się pasie, a przecież ciągle jestem w mieście. Co najpiękniejsze, to że na każdéj górze, na każdym widoczniejszym zakręcie krajobrazu rysuje się jakiś gmach stary, najczęściéj przybytek Pański. A żebyś widziała jakie to budowy! Taka naprzykład katedra, niech się przed nią schowają wszystkie wasze Poznańskie kościoły. A co za przepych w nabożeństwach, co za bogactwo pamiątek! Mam się gdzie modlić, co jest wielkiém szczęściem, bo to dla mnie najmilsze i najpotrzebniejsze. Jak tydzień długi, codzień chodzę do innego kościoła; do niektórych trzeba iść po ścieżkach malowniczych i stromych, co mi sprawia złudzenie, że jestem w prawdziwych górach, a jak wiész od dzieciństwa o górach marzę.

Rzuciwszy okiem na ten ustęp, widzę z przestrachem, że zapędziłam się w same powtarzanki. Już podobno dawniejsze moje listy pełne są do przesytu opisów naszego miasta. Ale nie chce mi się psuć nowéj ćwiartki papiéru, a więc rachując na twoję sławną cierpliwość, zostawiam te zachwyty, a zostawiam tém chętniéj że, z ręką na sercu, jeśli mam co chwalić w Sandomierzu, to chyba tylko jego pagórki i kościoły, o reszcie milczéć wolę. Może z czasem się przyzwyczaję i wyrobię sobie sąd miłosierniejszy, co dla przyszłéj siostry miłosierdzia byłoby nawet obowiązkiem.

Pytasz się, czy wujaszek zawsze równie dla mnie dobry? Ach, mój Boże, taki dobry, że mnie jeszcze ani razu nie połajał. Byłabym najniewdzięczniejszą pod słońcem istotą, gdybym go nie kochała i nie szanowała z całéj duszy. Przywiązałam się do niego szczerze,—jednak jeszcze się go troszkę boję..... nie mam w rozmowach z nim

tego zupełnego zaufania jakie mieć powinnam względem człowieka, co jest moim jedynym opiekunem według praw boskich i ludzkich.

Za to ty, moja złota Anielciu, choć nie jesteś ani moim kuratorem ani wujem, posiadasz to zaufanie w zupełności. Przyrzekłyśmy sobie solennie, że jedna przed drugą aż do śmierci nic taić nie będzie. Tyś mi już dała dowody téj ufności, i to w chwilach ważnych, najważniejszych, jakie mogą zaznaczyć życie kobiéty. Ja nie mam, i nigdy pewno nie będę miała podobnych tajemnic do zwierzania, ale w braku czegoś lepszego, opowiem ci pod wielkim sekretem, co mi osmuca mój pobyt u wuja:

Najprzód, zdaje mi się..... że w jego domu *zawadzam*. Nigdy mi on tego nie dał poznać, owszem nieraz mówi łaskawie, że mu dom rozweselam, że mię Pan Bóg zesłał na osłodę jego samotności, ale ja wiém, że tak mówi z czystéj dobroci, żeby mnie podnieść w moich własnych oczach, a dobrze czuję, że tu jestem jak piąte koło u woza. Bo i na cóż się komu przydam? Gdyby wujenka żyła, a! wtedy co innego. Przez sześć lat w łóżku, męczona srogiemi cierpieniami, potrzebowała doglądania, starań każdéj chwili. Pamiętasz moje ogromne plany? Jak to ja miałam troskliwie ją pielęgnować! Zawsze mi było spieszno do lekcyi literatury, bo chciałam wiele ładnych rzeczy zapamiętać, aby je potém wujence opowiadać, chciałam wiedziéć jakie książki są najzabawniejsze, aby je przy niéj czytywać po nocach. To téż choć klasztór pociągał mię nad wszystko, choć wiedziałam, że wyjazd rozdzieli mię z tobą, moją najmilszą pociechą, było mi pilno wyjeżdżać, sama mi nieraz ten pośpiech wymawiałaś..... Ach, mnie było pilno do téj biednéj choréj! Dziwnie to powiedziéć, ale doprawdy *cieszyłam się*, że będę mogła nakoniec być komuś użyteczną, komuś się poświęcić. Byłby to prawdziwy nowicyat do mojéj wspaniałéj przyszłości. I nie próżno pędził mię ten wewnętrzny niepokój. To było przeczucie, a nie przydało się na nic, jak zwykle przeczucia.... Widać, że pod smutną gwiazdą się urodziłam. Trzeba, żeby na cztery tygodnie przed moim przyjazdem, Bóg powołał do siebie tę męczennicę! Wszystkie moje zamiary poświęceń rozwiały się w nicość.

Kiedy jednak wujaszek napisał, że pomimo tego ciosu nic nie odmienia się w naszym układzie (a przy wrodzonéj sobie szlachetności nie mógł inaczéj pisać, bo wiedział że nie mam innego na świecie schronienia), kiedy przytém dodał, że teraz, opuszczonemu, będę potrzebniejsza niżeli kiedykolwiek, wstąpiła we mnie na nowo otucha; powiedziałam sobie: czeka mię nowy obowiązek i to tém wznioślejszy, że będę miała do kojenia bóle już nie fizyczne, ale moralne.

Przez drogę, układałam sobie ciągle najserdeczniejsze przemowy, w rodzaju nauk jakiemi nas czasem darzyła Matka Benigna, przypominałam sobie ustępy z Żywotów Świętych i z Naśladowania Chrystusa, któremi stopniowo miałam pocieszać zrozpaczonego wuja. Tymczasem za przyjazdem okazało się, że moje pocieszanie zupełnie jest niepotrzebne. Nie dlatego broń Boże, aby wuj nie miał żałować żony, ale dlatego właśnie, że na swój żal nawet nie szukał pociechy. Jest to człowiek rzetelnie pobożny, mało mówi o religii, ale ją ma w sercu i czerpie z niéj tyle siły, że boleść u niego nigdy nie może stać się rozpaczą. Pismo Święte i Naśladowanie zna lepiéj odemnie. Mądre cytaty, których kilka razy próbowałam, boję się czy nie dziecinnie przed nim wyglądały?

Może z osobą równą sobie wiekiem i doświadczeniem, zechciałby rozmawiać poufnie, ale mnie wyraźnie uważa za dziecko, każde moje słowo poważniejsze przyjmuje z jakimś dobrotliwym uśmiechem, z rodzajem zdziwienia, które mnie do reszty onieśmiela. Raz, kiedy wzięłam się na odwagę i wyraziłam gorąco jakbym to ja chciała pocieszyć go, ukoić, odpowiedział:

„Masz słuszność, powinienbym więcéj nad sobą pracować, aby zupełnie poddać się woli Boskiéj.“ Poczém uściskał mnie i odtąd unika ze mną wszelkich smutnych rozmów.

Możebym wolała widziéć go mniéj silnym, aby mu się w czémkolwiek przysłużyć. Ale to samolubne życzenie; trzeba dziękować Bogu, że go obdarzył taką piękną duszą, i że pociechę mu zsyła chociaż nie przezemnie.

Tak nikomu na nic nieprzydatna, nie wiém co robić z moją osobą, a nadewszystko z moim czasem. Na pensyi, godziny ściśle rozłożone, jakoś dziwnie prędko zlatywały, zwłaszcza rekreacyjne zawsze były za krótkie. Tu mam ciągłą rekreacyą, a czas mi się dłuży. Źle to, wiém że źle; musi być jakiś błąd w układzie moich zatrudnień, ale go nie mogę odkryć. Może téż ja zleniwiałam? Zdaje mi się jednak, że nie. Szyję, czytam i piszę ile tylko mogę, a to wszystko dnia mi nie wypełnia.

Gdybym mogła zająć się gospodarstwem, byłoby mi zupełnie dobrze. Ale o tém ani myśléć. Wprawdzie wujaszek często mię nazywa swoją „najmilszą gosposią,“ wychwala moje „sławne gospodarstwo,“ ale wszystko to są śliczne bajki, któremi chciałby mnie podnieść w oczach swoich znajomych. W rzeczywistości, nie wolno mi się tknąć niczego. Panna Regina samowładnie tu rządzi. Poczciwa Regina, nie chciałabym jéj się narazić, dobrze pamiętam ile powinnam dla niéj miéć wdzięczności. Mówiłam ci nieraz o niéj: zaczęła od skromnego urzędu *młodszéj* w domu mojéj matki; prasowała,

prała tiuliki, a najwięcéj mnie lubiła niańczyć; to też mogę powiedzićć, że na jéj ręku się wypiastowałam. Potém, kiedy zaszły u nas owe straszne wypadki, kiedy moi rodzice oboje ten świat opuścili, straciłyśmy się z oczów na długo. Mnie wysłano do klasztoru, ona poszła do mojéj wujenki, już nie na młodszą, ale na pannę starszą; a że pani sama nie mogła się domem trudnić, panna powoli obejmowała cały zarząd, aż stała się zupełną gospodynią. Śmierć wujenki utwierdziła ją w téj wysokiéj godności, i jeżeli za przyjazdem tu znalazłam ją troszkę zimną, o czém ci z podziwieniem doniosłam, dziś już odgaduję przyczynę tego chłodu: bała się kochana Reginka, abym jéj nie wydarła rządów domu. Zaczęła mię traktować z góry, zupełnie jakbym jeszcze miała trzy lata. Ja też, zmiarkowawszy co się święci, schowałam się w mój kącik, i odtąd w nic się już nie mieszam.

Rozumiesz teraz, moja Anielko, że taki brak zajęcia, brak wyraźnych obowiązków, jest pierwszą i nie małą przykrością, która mi zachmurza pobyt u wujaszka.

Druga przykrość, może jeszcze większa, to że wuj na żaden sposób nie chce uwierzyć w moje powołanie. Próbowałam kilka razy na seryo się z nim rozmówić, zawsze mię zbywał słowem: Zobaczymy! I wszystko w żart obracał. Przyznam ci się, troszkę mię boli takie lekceważenie moich najświętszych zamiarów, ale wujaszek z tém wszystkiém taki dobry, że nie można mieć do niego żalu. Oto i na moje imieniny wystąpił z siurpryzą, któréj nigdy się nie spodziewałam po oszczędnym toku naszego życia. Darował mi dwadzieścia łokci bardzo ładnéj materyi wełnianéj; popielata w paski fiołkowe. Niezmiernie się ucieszyłam, więcéj może niż wypadało na przyszłą zakonnicę; ale bo téż to pierwszy raz od lat wielu będę miała *całą* suknię nową. Niegdyś do klasztoru przywiozłam rodzaj wyprawki; odtąd prócz mundurków nic mi nie sprawiano; wszystko się, jak pamiętasz, przerabiało, sztukowało, ale téż za to teraz, twoja Terenia wspaniale wystąpi! Już to pewnie ostatnia suknia świecka, jaką noszę przed wdzianiem habitu, niechże się naciesze tą resztką światowości.

Wracając do dnia moich imienin, muszę przyznać, że przyniósł mi same przyjemne wrażenia; nawet panna Regina w owym dniu była jakaś łaskawsza; wystaw sobie, przy końcu obiadu zjawił się deser, i to jaki? *Blanc-mangér* migdałowe, za którém jak wiész przepadam; nie mała to atencya ze strony wujaszka i pani gospodyni, bo u nas nie bywa słodkiego deseru tylko w wielkie święta, a przytém..... aż byłam wzruszona odkrywając, że im się chciało głowę łamać nad życzeniami i gustami biednéj dziewczyny?

Zaszła jeszcze w dzień moich imienin jedna okoliczność dosyć dziwna: dostałam jakiś tajemniczy bukiet, bardzo ładny, przewiązany różową wstążką. Nie możemy się na żaden sposób dowiedzieć od kogo? Ja tam prawdę mówiąc nie bardzom ciekawa, ale wujaszka ten figiel niezmiernie intryguje i bawi. Dziś wróciwszy z miasta, mówił mi, że cały Sandomierz gada o tym bukiecie. Niech sobie gada, ja go zaniosłam na ołtarz Matki boskiéj, a list mój tém zakończam od czego zaczęłam, zapewnieniem, że ze wszystkich niespodzianek, twój list był najmilszą i najdroższą, bo wiész jak cię kocha, twoja przywiązana Teresa.

LIST II.

Aniela do Teresy.

Poznań—29 Października.

Droga moja Tereniu!

Twój list poczciwy, nieoceniony, ucieszył mię razem i zasmucił. Ucieszył, bo długi że aż miło, a serdeczny jak wszystko co od ciebie pochodzi. Zasmucił, bo widzę, że ci nie jest na świecie wesoło. Przewidywałam ja to dobrze; przypomnij sobie mój niepokój przy naszém rozstaniu; wymawiałaś mi, że w tak ważnéj chwili jestem roztargniona; ach moja najdroższa, to nie było roztargnienie, to był żal nietylko za tobą, ale nad tobą,—a chciałam żal ten ukryć, aby cię nie nastraszać; jednak mię jakiś wstręt ogarniał na samę nazwę tego szkaradnego Sandomierza, bo mów co chcesz, ja powtarzam, że pomimo swoich pagórków i kościołów, jest to kąt zakazany.

Jużbym sto razy wieś dla ciebie wolała, wieś prawdziwą, ze swoją swobodą, samotnemi przechadzkami, wesołém sąsiedztwem, z tą czeladzią i chłopstwem, któremi nietylko można, ale trzeba się opiekować. Chociaż i wieś jeszcze nie jest właściwym dla ciebie żywiołem; tybyś powinna mieszkać w wielkiém mieście, tyś stworzona do ruchu, do postępu, do jakiegoś życia pałającego, słowem, do samych wielkich rzeczy.

Na pensyi, tyś nam wszystkim królowała, tak bystrością umysłu jak gorącością serca. Wszystkieśmy ci ulegały z wiedzą czy bezwiednie, ja czułam się przy tobie malutką, pokorniutką jakby..... jakby kura przy orlicy.

I patrz co za ironia losu! Ta potulna kurka, wyniesiona jest od razu nad poziom własnych żądań, najniezasłużeniéj dostaje się mię-

dzy wszystkie zaszczyty i słodycze życia. Ledwie mundurek zrzuciłam, robię co się nazywa wielką partyą, opływam w zbytki, rodzice i mąż psują mię na wyścigi, wodzą mię po zabawach, znoszą klejnoty i stroje,—a ty, ty sto razy więcéj odemnie warta, zapadasz się w próżnię mało-miasteczkową, gdzie nikt cię nie zrozumie i nikt się na tobie nie pozna, gdzie wypadkiem jest pokazanie się sukni merynosowéj, albo deseru na stole!

Może nie powinnabym tego wszystkiego pisać, aby cię jeszcze bardziéj nie odstręczać od położenia, z którém, bądź co bądź, musisz się godzić? Nie mogłam jędnak wytrzymać i nie zrzucić z serca goryczy co mię napełnia na widok niesłusznego podziału naszéj doli.

Mój Boże, ja się tu tak bawię, tyle mam zajęcia, że dni i godziny nie wiedziéć gdzie mi się podziewają, a tobie te godziny tam kamieniem ciężą! Mam wyraźne wyrzuty sumienia, że mogę tylu przyjemności bez ciebie używać, wstyd mi prawie o nich pisać...... a jednak, czémże cię rozerwać, jeżeli nie sprawozdaniem z czynności twojéj uniżonéj służki?

Lato jak wiész, przejeździliśmy od dworu do dworu, oddając wizyty poślubne wszystkim naszym krewnym, a i mój mąż i ja mamy ich bez liku. (Czy uwierzysz? Dotąd jeszcze dziwnie mi pisać te wyrazy: *mój mąż*). Napatrzyłam się prześlicznych pałaców, parków, oranżeryj, bo to same rodziny zamożne, żyjące po pańsku i po europejsku. Moje toalety wyprawne miały gdzie paradować, szczególniéj téż jedno ubranie zielone we dwa cienie i pewien kapelusik fantazyjny z kolibrem zrobiły *furore*. Opowiadałam ci już nasze przejażdżki na łódkach, nasze harce na koniach, rybołóstwa, grzybobrania, wszystko to masz spisane nieporządnie, bo prawie na kolanie, ale za to pod wrażeniem chwili, więc żywiéj niżbym teraz potrafiła powtórzyć. Ludzie nam wszędzie byli radzi, jak zwykle młodemu małżeństwu, które samą wesołość za sobą niesie; mnie przyjmowano bardzo serdecznie, ale to jeszcze nic w porównaniu z przyjęciem jakiego wszędzie doznawał August; teraz dopiéro widzę co to za czarodziéj i przekonałam się, że jemu zawdzięczam wszystkie hołdy jakiemi nas witano. Z jednéj strony mię to napełnia słodką dumą, z drugiéj przecież, możebym wolała aby mniéj miał czaru, bo w tym ogólnym chórze pochwał mój głos jakoś ginie...... Damy szczególniéj rozrywają go sobie z zapałem, który mnie wprawia w głębokie podziwienie; dawniéj sądziłam, że mężczyzna jak się raz ożeni, przestaje być zajmującym dla wszystkich innych kobiét, oprócz dla swojéj żony; tymczasem jak teraz widzę, mój August daleko więcéj zwraca oczy niż wielu nieżonatych, a co ci powiem na

domiar zgrozy, najwięcéj się nim zajmują mężatki. Nie próżno to w klasztorze mówiono nam tyle o zepsuciu świata.

Wiém, że co do Augusta, mogę być spokojna; *il se laisse adorer*, i nic więcéj. Zresztą jak się tu dziwić? Zanadto przyzwyczajony do powodzeń, ażeby mógł zaraz od nich odwyknąć. Jednak on dla tych dam taki uprzejmy, ale to taki uprzejmy, że nieraz łzy mi w oczach stają, a tu się trzeba uśmiechać.

To też rada jestem, że już się skończyły te pielgrzymki i festyny. Jesteśmy nakoniec w Poznaniu i lokujemy się na zimę w naszém błyszczącém gnieździe. August urządził mieszkanie z komfortem i gustem wielkim, ale, jak dla mnie, za pięknie. Pamiętasz, chciało mi się zawsze dworku z zielonemi okiennicami i meblami obitemi różowym perkalikiem? A tu same dywany, brązy, mój pokój szczególniéj zastawiony cackami; chodzę między niemi jak na węglach, bo to porcelany bardzo drogie, a przy teraźniejszych nieznośnych trenach, niewiedziéć jak się ruszyć, ażeby czego nie zaczepić.

Jednak cieszę się, że tu już jestem, bo nakoniec będę mogła więcéj i poufniéj widywać Augusta. Co niedziela pojedziemy na obiad do kochanych rodziców, a cały tydzień sam na sam z mężulkiem. Teraz jesienna pora, mało w Poznaniu osób, potém adwent, także jeszcze cicho, będę miała czas nacieszyć się jego towarzystwem, bo dotąd doprawdy więcéj należał do wszystkich niż do mnie. A jak na przekorę, codzień więcéj go kocham, dopiéro teraz na prawdę go pokochałam. Przed ślubem za krótkośmy się znali, za gwałtownie szło wszystko, ażebym się mogła do niego przywiązać. Podobał mi się, powiedziano mi, że nie mogę zrobić lepszego wyboru, i stanęłam przed ołtarzem, ledwo wiedząc z kim staję. Teraz dopiéro wiém, że dostałam perłę. Szkoda, że nie ja jedna wiém o tém.

I znowu powtarzam: Jaka to niesprawiedliwość losu! Czemu się mnie dostało wszystko, i szczęście sercowe i pomyślności światowe? Ach, jakżebym chętnie ustąpiła połowy! Z mojemi skromniutkiemi gustami, jakżebym chętnie mieszkała w Sandomierzu, byle ma się rozumiéć z Augustem.

Ale ja losom jeszcze nie dałam za wygraną. I w twojém życiu może zajść jeszcze jaki zwrot niespodziany. Przypomnij sobie tylko twoje własne przeczucia; nieraz w godzinach rekreacyi, gdyśmy sobie opowiadały nasze rojenia o przyszłości, mówiłaś:—„W mojém życiu zajdzie jakiś wypadek wielki i dziwny; czy to będzie na moje szczęście czy nieszczęście nie wiem, ale wiem, że mię czeka coś nadzwyczajnego“.—Mówiłaś to z takiém przekonaniem, że ci na ślepo wierzyłam, i dotąd jeszcze troszkę wierzę. Nawet kiedy widziałam cię

odjeżdżającą, zdawało mi się że nie dojedziesz do Sandomierza, a już cię spotka owa nadzwyczajność, zastąpi ci drogę jakiś zaklęty królewicz, albo ów zbrodniarz, co to go miałaś jak Westalka ratować od śmierci.

Nic ci nie zastąpiło drogi, i dziś już zdajesz się wątpić o własnych proroctwach, kiedy piszesz w ostatnim liście, że „wszystkie przeczucia na nic się nie zdadzą.“

Ale ja nie zwątpiłam. Życie przed tobą takie długie! Tylko zaklinam cię, nie spiesz się z żadném postanowieniem, nie zamykaj odrazu bram losu za sobą. Szczęście w tylu kształtach może się pojawić! Kto wie nawet czy już nie stoi przy tobie? Może jego zapowiedzią jest ów tajemniczy bukiet? Niełaskawa pani bardzo jakoś krótko w swoim liście zbyła tę różową sprawę, a jednak ów bukiet nietylko wujaszka, ale i mnie intryguje.

Ach, ten kochany wujaszek, jakże on sympatycznie w twoich opisach wygląda! Nie znam go, a już wyraźną czuję do niego słabość. Moja Tereniu, skarżysz się na brak obowiązków, a czyż to nie najmilszy obowiązek pielęgnować tego drogiego staruszka? Już cię widzę, jak wspierasz jego drżące kroki, jak wieczór przy zasłoniętéj lampce czytasz mu, opowiadasz, słowem, jesteś Antygoną tego przybranego ojca, a wtedy już nie usłyszę od ciebie gorzkich słów, że *w jego domu zawadzasz*, słów, które ubliżają równie jemu jak tobie.

Ale jeżeli lubię wujaszka, za to nie cierpię téj twojéj panny Reginy, z owém przyjęciem zamrażaném jak jéj blanc-manger. Jeżeli nie będzie dla ciebie lepszą, napiszę do twego wuja z prośbą, aby ją na bory, na lasy wypędził.

Ale nie, to tylko żarty, nie bój się, aby twoja Anielka, nad wszystko pokój miłująca, mogła kiedy wtrącać się w cudze sprawy, a tém samém cudzy spokój mieszać. Nie bój się i opisuj mi daléj wszystko, jak najszerzéj, jak najszczerzéj, choćby z *powtarzankami*. Twoje obrazy Sandomierza ciągle mię zajmują, znać w nich twój wrodzony pociąg do krajobrazu. W naszéj klasie rysunkowéj byłaś zawsze pierwszą, i gdybyś mieszkała w jakiéj stolicy, otoczona wzorami i zachętą, nie wątpię żebyś zasłynęła jak druga Rosa Bonheur, co przez rzadki między kobiétami wyjątek zdobyła i chwałę i niezależność, zbierała i laury i franki. Ach, jakżebym i jednych i drugich pragnęła dla mojéj Tereni!

Tymczasem, jeśli łaska, wyrysuj dla mnie choćby najmniejszy widoczek Sandomierza, ażebym sobie mogła jaśniéj wyobrazić gdzie mieszka ta, którą kocham zarówno zbliska czy zdaleka.

P. S. *A propos* obszernego pisania, jestem niespokojna o los

przesyłki, którą do ciebie razem z ostatnim listem na imieniny wyprawiłam, a o któréj nic nie wspominasz. Czyżbyś jeszcze jéj nie odebrała? Trzeba chyba przypuścić, że paczki przez pocztę idą dłużéj niż listy? Ta przesyłka zawiera maleńkie wiązanie; trochę papiéru listowego, ażebyś miała na czém długie i częste listy pisywać. Przepraszam cię, że tak mało, ale doprawdy nie stać mię na więcéj. Dziwna rzecz, mówią żem bogata, że mam wielki posag i dochody, prawda, opływam we wszystko, cóż kiedy groszem prawie rozporządzić nie mogę? Ten oto upominek ledwo uciułałam z okrawków jakie mi się udało od przyjazdu oszczędzić na domowych wydatkach. Wiem, że gdybym poprosiła męża, dałby mi więcéj niżbym chciała, ale właśnie dlatego jakoś nieładnie prosić. To szczęście, że on taki dobry, ale gdyby téż nie był dobry?

LIST III.

Teresa do Anieli.

Sandomierz — 1-go Listopada.

Ach moja Anielko, cóż to za królewski upominek odbiéram od ciebie! Jakże możesz mówić że mały, kiedy to prawdziwy klejnocik? Jeżeli twoje *uciułane* oszczędności bywają takie, musisz być panią Krezusową. Jak Sandomierz Sandomierzem nikt tu nie widział podobnéj *papeteryi*. A najprzód sama skrzynka, cóż za pieścidełko! Aksamity, malowania, złote sprzączki! Nigdy jeszcze nie posiadałam nic tak eleganckiego, to téż myślę z niéj wyjąć papiéry, a włożyć w nią mój skarb najdroższy: twoje listy.

Papiéry pójdą do porządnego pudełka, w którém dotąd leżały kołnierzyki, bo i papierom należy się poszanowanie, takie śliczne wszystkie! Namyślałam się z godzinę, nim potrafiłam wybrać ten na którym piszę. Mój monogram barwisty i pozłocisty wywołuje tu ogólny podziw; ćwiartki z godłami i dewizami dają mi nieraz przedmiot do rozmyślań. Wujaszkowi najwięcéj się podobał ten papiér z Amorkiem, któryś ty tak złośliwie umieściła na samym wierzchu. Zgrozą mię napełnił dwuwiersz pod nim wysztychowany, a który, zdaje mi się, jest tego niegodziwca Voltaira:

Qui que tu sois, voici ton maître,
Il l'est, le fut, ou le doit être.

Czy to się godzi, aby u przyszłéj służebnicy bożéj widziano takie maksymy niebezpieczne? Chciałam ten papiér podrzeć, albo spa-

lić, ale że to dar od ciebie, dałam pokój, i teraz—leży na samo dno schowany.

Wszyscy znajomi mego wuja oglądali już te śliczności. Truchlałam kiedy ci wąsale dotykali się skrzynki, a nadewszystko atłasowego *sachetu*; szczęściem nic nie popsuli. Nie omieszkałam przy téj sposobności opowiadać każdemu, że w ofiarodawczyni mam zaszczyt posiadać przyjaciółkę, która jest istném zjawiskiem, bo i piękna i bogata i szczęśliwa, i na domiar dziwów dobra jak anioł, co wszystko rzadko razem chodzi.

Jednę tylko mój aniele masz wadę, która także byłaby zaletą, gdybyś jéj nie posuwała za daleko, a tą jest skromność tak wielka, że kto inny mógłby wątpić czy szczera? Jeżeli mnie, w zaślepieniu przyjaźni, raczyłaś podnieść do orlego rodu, toż ja ciebie muszę nazwać przynajmniéj gołąbką. Z kurami orły nie chcą i nie mogą mieć nic do czynienia.

A kiedy już zapędziłam się w nagany, muszę jeszcze poskarżyć się na pewien ustęp twego listu, ustęp który mocno mię zabolał..... Wymawiasz sobie przyjemności jakich zdaleka odemnie używasz? Wstydzisz się o nich pisać? Ach, moja Anielo, czémże zasłużyłam na tak niskie o mnie wyobrażenie? Czyż twoje szczęście nie jest mojém? Czyż w obecnéj czczości życia, nie jest moją jedyną pociechą myśl, że tobie dobrze na świecie? Bez téj myśli gotowabym świat znienawidziéć..... Ach, pókiś ty wesoła, póty i mnie odwaga nie opuści. Jeszcze w klasztorze, ty jedna umiałaś koić moje wpółdziecinne troski, godzić mię z wypadkami i ludźmi. A i teraz, cokolwiek mię spotka miłego, to wszystko i zawsze od ciebie pochodzi. Nie daléj jak w tym tygodniu, najprzód twoja przesyłka, potém twój drogi liścik, rozpromieniły moję duszę i przytrzymały cierpliwość, która mi się już czasem z rąk wymyka.....

Miałabym jeszcze wiele do pisania; w twoim liście jest mnóstwo ustępów, które wymagają odpowiedzi i zastanowienia, ale na dzisiaj dosyć, muszę teraz iść na Nieszpory, a nie chce odkładać wysyłki tego dziękczynnego listu, który, jak wszelki wyraz wdzięczności, powinien wylecić z pierwszego popędu. Wkrótce wyszlę drugi i długi, jak lubisz. Teraz kiedym taka bogata, już nie będę potrzebowała żałować cudzego papiéru. Tymczasem ściskam cię po tysiąc razy.

LIST IV.

Teresa do Anieli.

Sandomierz — 26 Listopada.

Dziwisz się pewnie kochana Anielko, dlaczego ten mój list szumnie obiecywany spóźnił się o całe tygodnie? Otóż słuchaj: Nie chciałam się odzywać, dopóki nie doprowadziłam szczęśliwie do końca pewnéj sprawy dosyć dla mnie ważnéj. Dzisiaj, kiedy skutek został już po części otrzymany, mogę ci się pochwalić z przedsięwzięciem, którego jak zawsze, ty byłaś pierwszą przyczyną i natchnieniem.

Ostatni ustęp twego listu rzucił niespodziane światło na martwotę co mię otacza; nie próżno wymieniłaś Różę Bonheur jako przykład godny naśladowania. Wiem ja dobrze, iż nie posiadam jéj wysokiego daru, a choćbym go i posiadała, to na gospodarskim naszym czarnoziemie nigdy się w zupełności nie rozwinie.... To też nie mam pretensyi do chwały,—ale niezależność! Dlaczego, pomyślałam sobie, w moim ciasnym zakresie, mój mały talencik nie miałby mi jéj dać choć odrobiny? Zaczęłam się więc dowiadywać czybym tu nie mogła jakim panienkom udzielać lekcyj rysunku? I wystaw sobie, znalazłam już dwa domy, gdzie przystano, z niejaką nawet gotowością, na moje żądanie. Wprawdzie cena niziuchna, dwa złote za godzinę, bo tu wszystko tanie, i nauczycielka niewiele jeszcze jak widać wzbudza zaufania, zawsze jednak zarobię cztery złote na tydzień, szesnaście złotych na miesiąc, jest-to coś dla osoby co nigdy nie mogła nawet ubogiemu dać szeląga, chyba otrzymany także rodzajem jałmużny. Z czasem jeszcze może mi przybędzie lekcyj, a wtedy co za rozkosz uzbierać sumkę na jaką niespodziankę dla mojéj Poznańskiéj pani, albo na wiązanie dla wuja, albo choćby i na jaką sukienkę perkalikową dla saméj siebie, i to wszystko z własnych, zupełnie własnych pieniędzy!

Wujowi się téż bardzo podobało moje nowe postanowienie, pocałował mię w czoło i powiedział, że godną jest pochwały u panny, taka,—jak się wyraził,—„szanowna chęć do pracy.“ A ja troszkę się zawstydziłam, bo jeśli mam ci powiedzieć szczerze, tu wiodła mię nie tyle *szanowna chęć pracy*, ile niepohamowana żądza jakiéjkolwiek samoistności.

Nie dowodzi to wcale, abym chciała zawsze zostać niezależną. Owszem, najwyższém dla mnie marzeniem jest zupełna, najzupełniej-

sza niewola,—ale to tylko w jednym wypadku..... wtedy, kiedyby serce zostało niewolnikiem.

O wtedy, nie powinno być żadnéj granicy ani darom, ani ofiarom. Anielo, wszak przyznasz,—dla istoty ukochanéj można wszystko poświęcić i wszystko od niéj przyjąć?

Ale ja, wydziedziczona z wielkich uczuć, ja sierota na łasce krewnych, ja co z płonącą duszą utknęłam wśród samych lodów, jak okręt z żywą załogą zamarzły na podbiegunowych morzach, ach moja droga, ja takiego życia długo nie wytrzymam. Chciałabym kogo uszczęśliwić, a tu wszyscy bezemnie dostatecznie szczęśliwi, chciałabym zawsze dawać, a muszę ciągle przyjmować. Przyjmować a nie módz niczém się odpłacić, nawet sercem, bo tu nikt mego serca nie ciekawy. (Choćby się i znalazł ciekawy, to znów taki, którego ja nie jestem ciekawa).

Rozumiem ja dobrze ustęp twego listu o wujaszku, i nauczkę nieznacznie w nim zawartą. Obraz sandomierskiéj Antygony jest wielce rozrzewniający, szkoda tylko, że całkiem niepraktyczny. Nie mogłam go czytać bez gorzkiego uśmiechu. Jakże chcesz abym wspierała *drżące kroki* drogiego staruszka, kiedy ten staruszek,—choć ma niezaprzeczenie lat sześćdziesiąt kilka,—chodzi daleko lepiéj odemnie, tak że na przedwiecznych naszych letnich przechadzkach, nieraz mu nadążyć nie mogłam? Wysoki jak dąb, rumiany zdrowiem i ogorzałością, z czupryną szpakowatą, ale gęstą, kochany wujaszek mógłby zmocować i o ziemię powalić dziesięciu dzisiejszych paniczów. Lampy nie mam potrzeby dla niego zasłaniać, sławny od pół wieku myśliwiec, zachował do dziś dnia oczy sokole.

Czytać mu co? Opowiadać? Czy ty myślisz, że ja tego wszystkiego już nie próbowałam? Wkrótce po moim przyjeździe, kiedy jeszcze pierwsze miesiące żałoby czyniły nasz dom samotniejszym, uchwyciłam kilka razy chwilę w któréj zdawał mi się usposobiony do słuchania, po herbacie naznosiłam książek, trochę poezyj, trochę podróży, i chciałam wymiarkować co mu się najlepiéj podoba? Z początku słuchał dosyć ciekawie, głową przytakiwał, zadawał mi różne półprofesorskie pytania, aż po trzeciéj takiéj sesyi pogłaskał mię pod brodę i powiedział:

„Bardzo dobrze moja Tesiu, widzę że z ciebie uczennica pilna, świetnie zdałaś mi egzamin i dowiodłaś, że zakonnice próżno pieniędzy nie brały. Mój Boże, czego téż to teraz dziewcząt nie uczą, nawet po klasztorach! Ale i owszem, ucz się daléj, czytaj, pisz nawet, nauka nigdy nie zawadzi, byle z bogobojnością szła w parze; przyda ci się kiedyś, przyda, choćby dla własnych twoich dziatek. Wiesz

co Tesiu, co rok zrobimy taki egzamin, w którym pokażesz mi co się nowego nauczyłaś, a ja choć stary i nie bardzo pojmujący wasze dzisiejsze mądrości, będę się jednak serdecznie cieszył z każdego twego postępu.“

Rozumiesz Anielko? Odłożył nasze następne czytanie do przyszłego roku? Moją chęć zabawienia go i umilenia mu wieczorów, brał czysto za pensyonarski popis.

Moja miłość własna została głęboko zadraśnięta, jednak jeszcze nie uznałam się pobitą, od czasu do czasu przynosiłam książkę; nigdy stanowczo nie odmawiał słuchania, ale zawsze znalazł jakąś wymówkę, jakiś powód, aby je odroczyć; albo sobie przypomniał schadzkę u kolegi umówioną akurat na tę godzinę, albo list naglący do pisania. Raz jednak, przyparty do muru, usiadł w fotelu z westchnieniem ofiary; zaczęłam czytać *Listy z Włoch* Kremera. Ach, nie doszłam do dziesiątéj stronki... Anielko, zasłoń oczy na widok takiéj zgrozy,—przy dziesiątéj stronnicy wuj spał jak najsmaczniéj! Udałam, że nie widzę,—budził się, krząkał, chodził po pokoju, aż mi się żal zrobiło jego bezużytecznéj męki, zamknęłam książkę i odtąd dałam pokój czytaniom.

A jednak wuj wiele umié, więcéj może niż niejeden co dzisiaj świetne artykuły pisze. Tylko to nauka czerpana ze wszystkich wieków, *prócz* z naszego. Klasyków zna na wylot, jak zacznie między kolegami przytaczać Horacjusza, to aż mi przykro, że nie rozumiem po łacinie. Z dzieł nowoczesnych lubi tylko *Pana Tadeusza*, a i tego nie ma potrzeby mu czytać, bo prawie od deski do deski umie go na pamięć. Chwalił też kiedyś *Wizytę w sąsiedztwo* Morawskiego. To ci go maluje lepiéj niż najsumienniejszy portret.

Ma szafkę pełną ksiąg dużych, staroświecko oprawnych; kiedyś wszedłszy do jego pokoju, zobaczyłam na stole otwartą taką księgę, były to *Kazania Skargi*. Wuj więc czyta, ale mało i samotnie. Kiedyś mówił, że lubi tylko *stare* wino i *stare* książki, i że tak pierwszego jak drugich trzeba *zażywać* oszczędnie, jeżeli się chce, ażeby poszły na zdrowie.

To wszystko zbadawszy, pożegnałam się z nadzieją wtajemniczenia wujaszka w nową literaturę, w nasze nowe pojęcia i porywy; najprzód, że mu bez nich dobrze, powtóre (i to ważny powód), że nie ma po prostu czasu. Nie uwierzysz jak ten człowiek jest zajęty, jak umié się zająć; aż mu zazdroszczę. Co właściwie robi? Nie wiem. Nie mam też wyobrażenia o stanie jego majątku. W pierwszych czasach, sądząc po naszym sposobie życia, uważałam ten majątek za niezmiernie mały. Ale teraz kiedy lepiéj znam nasze miasto, widzę,

że we wszystkich domach, czy bogatszych czy uboższych panuje oszczędność nie do uwierzenia. Jest gronko młodych ludzi, i to po większéj części z okolic, którzy dużo wydają na konie i hulanki, ale też ci uchodzą za utracjuszów, a cała część poważna, część familijna społeczeństwa, obywa się dziwnie małą ilością potrzeb. Czy to ogólne zubożenie? Czy ciasnota pojęć prowincyonalnych? Nie wiem, jednak ja nawet, przyzwyczajona do klasztornego rygoru, nie rozumiem jak można tak sobie na wszystko żałować? Dwie tylko zauważyłam rzeczy na które ludzie stosunkowo więcéj tu wydają: stroje damskie i pisma peryodyczne. Ale za to kupienie *całéj* książki, albo co gorzéj dzieła w kilku tomach, to już zbytek nad zbytki. Podobno na wsiach, jest wiele dworów gdzie inaczéj się dzieje, może i tu w mieście są domy żyjące na inną stopę, ja sądzę tylko z naszego kółka, które dosyć jest ograniczone, we wszelkiém znaczeniu tego słowa..... Może to i lepiéj, otrzaskam się przymusowo z ubóstwem, na które mam dobrowolnie ślubować.

Wracam do wujaszka. Zawsze on mówi, że już nie robi wielkich interesów, ale jeżeli wycofał się z własnych, za to ma pełno cudzych. Musi to być człowiek bardzo szanowany i praktyczny, kiedy wszyscy znajomi przychodzą do niego po radę; wuj zawsze za kimś pisze listy, w swoim gabinecie urządza jakieś sesyjki, sądy polubowne, na których od gadaniny aż się szyby trzęsą. Wstaje raniutko, i jakakolwiek pogoda, odbywa ogromny spacer; wraca na kawę z wybornym apetytem. Przy kawie rozmowa głównie krąży około termometru i barometru, które to wynalazki zawsze wuja w zachwyt wprawiają. Po fajeczce, przyjmuje w swoim pokoju przyjaciół—interesantów, albo idzie do nich, tu na gazetkę, tam na szklaneczkę porteru, ówdzie na gawędkę; najczęściéj nie wraca aż na obiad, przy którym jé dużo, więc mówi mało. Zwykle téż podczas obiadu, pod pretekstem spraw gospodarskich, zjawia się panna Regina, któréj wuj nie prosi do stołu, ale jéj wskazuje dalsze krzesło, a ona siadłszy pod piecem, rozpowiada nowinki miejskie; wuj bawi się niemi więcéj niż sądziłam, więcéj daleko niż ja, może dlatego, że tych wszystkich ludzi zna od lat kilkudziesięciu, przynajmniéj od trzech pokoleń.

Po obiedzie ogarnia wuja nieprzezwyciężona drzémka, trwająca najmniéj parę godzin, podczas któréj nie wiem dosłownie gdzie się podziać, zwłaszcza teraz kiedy dni coraz krótsze. Zmrok nie pozwala czytać ani robić roboty, a panna Regina nie pozwala wcześnie światła zapalać; chodzę od okna do okna, najczęściéj przysiądę gdzieś w kąciku i medytuję bez końca; te marzenia, często cudne, miałyby wielki urok, gdyby nie trzeba z nich się budzić i wracać

do niskiéj, poniżającéj rzeczywistosci.... ten powrót jest dla mnie taki gorzki, że nieraz chciałabym się odzwyczaić od marzeń, a codziennie wpadam w nie napowrót.

O szóstéj wyrywa mię z moich złotych wizyj częsty odgłos dzwonka; schodzą się starzy koledzy wuja, na partyjkę; pan Jakób, pan Dyonizy, pan Wincenty, i tym podobni. Ach Anielko, jacyby oni byli zabawni, gdyby nie byli tacy nudni! Zabawni na jeden lub dwa wieczory, ale za trzeciemi odwiedzinami już się zna wszystkie ich zdania, dowcipy i anegdoty.

Musi jednak w tych kartach być rodzaj jakiéjś magii, kiedy ludzie zkądinąd poważni i do przerażenia rozsądni, mogą jak rok długi, dzień w dzień się niemi bawić, i to pięć godzin z rzędu! Ja tymczasem przy drugim stoliku szyję albo ceruję, rozdaję herbatę, a na imieniny wuja lub którego z partnerów—ponczyk. Czasem przyjdzie i ktoś z niegrających, który probuje mnie bawić, ale jeszcze przykrzejsze te wieczory; już wolę być sama i tak zatonąć w dumaniu, żeby się zupełnie oddzielić od graczy.

Jednak czuję, że to ciągłe zagłębianie się w saméj sobie nie wychodzi mi na dobre. Są dusze, którym wystarcza marzenie; umieją dowolnie wchodzić w świat własnego tworu, pocieszyć się nim i wrócić z nowemi siłami do świata prawdziwego. Mnie, szczęście urojone zamiast pocieszać, drażni. Im więcéj myślę o niém, tém więcéj za niém tęsknię, i tém więcéj czuję, że jest niedoścignione. Proza życia mię zabija. Chciałabym nie myśléć, nie marzyć, a jakże tu rozkazać głowie i duszy, ażeby nie pracowały? Dopóki jeszcze piękna pogoda służyła, czas mi się mniéj dłużył. Chodziłam z wujem za miasto, daleko, daleko, szukałam coraz nowych krajobrazów, moje album się napełniało, i za powrotem, przynajmniéj spałam twardo. Teraz wszystko skończone, słoty i szaruga psują wszelki peizaż, niemożebnemi czynią przechadzki; trzeba chyba szczudeł, aby brnąć po téj ziemi tłustéj i ciemnéj jak lemieszka, po naszych gliniastych *korytkach*, w których każda smuga deszczu wypłukuje nowe rysunki. Wuj na nic nie uważa i chodzi jak zawsze, ale mnie zabrania przechadzek, ażebym sobie zdrowia nie nadwerężała. Istotnie, piersi mnie bolą, po nocach kaszel mnie męczy. Już nawet w kościele nie bywam częściéj jak raz na dzień. Nie wiem jak to będzie daléj z chodzeniem na lekcye? A do wiosny jeszcze tak daleko! Zima ledwie się rozpoczęła.

Siedzę więc jak zaklęta, szyję i szyję, dumam i dumam, a że każda istota myśląca musi z jakąś żywą duszą myślami się dzielić, szukam do koła owéj duszy. Wczoraj chciałam raz jeszcze zużytkować twoję radę, i z desperacyi zwróciłam się do wuja. Po nie-

udanych próbach czytania, przyszła próba rozmowy, i to szczeréj, poufnéj. Co mówiłam? Nie potrafię ci dziś powtórzyć, ale mu rozwarłam duszę aż do dna, malowałam tęsknoty moje i marzenia, wyskarżyłam się na duchowy głód co mię pożera.

Teraz żałuję tych zwierzeń. Wuj mię nie zrozumiał, a co gorzéj, mylne wyobrażenie o mnie powziął. Z początku słuchał z uśmiechem, potém z coraz głębszą uwagą, co mię czyniło coraz śmielszą, w końcu posmutniał i, wstając powiedział:

„Moje dziecko, to wszystko są myśli niezdrowe, od których trzeba się bronić modlitwą i pracą. Gdybyś miała matkę, onaby najlepiéj potrafiła cię uspokoić. W położeniu obecném, nie dziwię się, moja biédna sierotko, że nie umiesz jeszcze sama sobą kierować. Ja téż nie na wiele ci się przydam; stary i symplicyusz nie dałbym sobie rady z twoją romansową główką. Ale wiesz? Najlepiéj, poradź się spowiednika, on znajdzie na wszystko dla ciebie odpowiedź."

Tak skończyła się ta rozmowa,—pierwsza i ostatnia. Uważasz Anielo? Mam się spowiadać jakby z grzechów, z tego że myślę i noszę w duszy ideały? Ja romansowa! Ach, to ostatnie oskarżenie, równie fałszywe jak ubliżające, zamknęło mi usta... a co więcéj, zamknęło przed nim i moje serce.

Nie sądź jednak, aby przywiązanie do wuja miało we mnie stygnąć. Niech Bóg broni! Uczucie mojéj wdzięczności dla niego zawsze równie szczere, ale zaufanie,—przepadło.

Tém droższą, tém potrzebniejszą stajesz się dla mnie, kochana moja Anielko! Już tylko przed tobą mogę się wywnętrzyć, a choć wiem że i ty mi czasem przyganisz, bo nasze pojęcia bywają bardzo odmienne, jednak tobie wszystko się godzi powiedziéć, ciebie się ani boję, ani wstydzę.

Wprawdzie mizerna to pociecha, rozmowa na papiérze. W takiéj uroczystéj zamianie myśli, giną wszelkie półsłówka i półcienie; ileż razy pytanie pójdzie w niepamięć zanim nadejdzie odpowiedź, a zresztą ile to rzeczy łatwo się mówi a trudno się pisze!

Ale cóż robić? Jeżeli rozmowa ustna lepsza od listowéj, list zawsze lepszy od milczenia. Pisz więc do mnie często gęsto, zwłaszcza w tym tonie w jakim twój ostatni list jest utrzymany, a który stokroć lepiéj trafia mi do serca niż twoje zwykłe kazania, jakich jeszcze w klasztorze prawiłaś mi tyle, a zawsze napróżno; zawsze ziarno padało na skałę.

Mówisz gdzieś w ostatnim liście: „Nie powinnabym ci tego wszystkiego pisać, aby cię nie odstręczać jeszcze bardziéj od twego położenia."

A moja droga! Właśnie tak pisząc, bezwiednie mię z niém godzisz. Taka już jest natura ludzka, że cierpienia przez kogoś *uznane* tracą połowę swojéj goryczy. Gdybyś mi pisała morały, dopiéro by się duch we mnie zbuntował ostatecznie. Im więcéj byś cierpliwość radziła, tém mniéj byś jéj natchnęła. Ale kiedy widzę, że rozumiesz co mnie boli, że sama nademną bolejesz, o wtedy! choćby przez ambicyą, choćby przez wdzięczność, usiłuję zdobyć się na odwagę, jak chory nieraz przestanie jęczéć, kiedy przyjaciel nad nim płacze.

Zresztą im więcéj mnie żałujesz, tém jestem pewniejsza, że mnie kochasz, bo mojém zdaniem, tylko nieszczęśliwych można bardzo kochać.

Wierzę z całéj duszy, żebyś mi ustąpiła wielu twoich pomyślności, jednak na ten raz filutko umiałaś sobie wybrać najlepsze....

„Jakżebym chętnie mieszkała w Sandomierzu, byle ma się rozumiéć z Augustem.“

Co za wspaniałomyślność! A moja droga, któraż z nas by nie osiadła nietylko w Sandomierzu ale i w Saharze, *byle* z wybranym?

Tylko ja od wybranego wymagałabym więcéj.... Anielo, piszesz mi że kochasz męża, a pozwalasz, aby damy go rozrywały, aby on był dla nich uprzejmy aż do oczarowania? I ty to znosisz?

Ja byłabym go już albo zabiła.... albo przymusiła, aby nie miał oczu ani serca, tylko dla mnie jednéj.

Wszystko albo nic,—to jak wiesz moja dewiza.

Przeznaczenie téż widocznie chciało ze mną uniknąć półśrodków i, nie mogąc mi dać pierwszego, dało drugie.

Ale Pan Bóg wié co robi, i z najgorszéj gry losów umié dobre wyciągnąć. Czy wiesz co mi od niejakiego czasu na myśl przychodzi? Oto że Bóg umyślnie przedstawił mi świat ze smutnéj strony, aby mię od razu do niego zniechęcić. Wie on, że w mojéj duszy jak w wulkanie wre lawa, któraby się może zbyt gorąco rozlała na stworzenia, i chcąc mi oszczędzić walki, odsuwa odemnie pokusy, ażebym wszystkie płomienie ku Niemu skierowała.

To przekonanie, codzień silniejsze, pokrzepia mię i napełnia rodzajem nabożnéj dumy. Dotychczasowa bezbarwność i pustka mego życia, stają się dla mnie dowodem, wyraźnym znakiem powołania, znakiem, którego długo nie mogłam zrozumiéć.

Ale teraz rozumiem.

I ty Anielko już nie będziesz oskarżała przeznaczenia o niesprawiedliwy podział, bo w tym podziale mnie się może najlepsza cząstka dostanie.

Bóg mi *nic* nie dał między ludźmi, ażeby mi *wszystko* oddać u stóp ołtarzy. Tam nakoniec będę szczęśliwa, tém szczęśliwsza, że śluby, co mi się każą wyrzec wszelkich ziemskich węzłów, pozwolą mi jednak zachować święty węzeł przyjaźni. Czy w izdebce nad Sanem, czy w celi, zawsze równie cię kochać będzie twoja wierna—Teresa.

LIST V.

Aniela do Teresy.

Poznań — 2 Grudnia.

Tereniu, ciebie piersi bolą, kaszel ci spać nie daje, a mnie tam nie ma, żeby cię pielęgnować i pocieszać! Z całego twego listu, ta wiadomość najwięcéj mnie zabolała, chociaż wszystko w nim bolesne..... Musisz koniecznie przyjechać tu do nas, do Poznania. W obecnéj porze roku i w obecnym stanie twego zdrowia, nie śmiałabym cię narażać na podróż, ale w lecie poproszę twego wuja, aby nam cię przysłał; on, jak widzę z twoich listów, może się obejść bez ciebie, a ty nie obejdziesz się bez serca, któreby cię umiało leczyć; jeżeli zaś ja tego nie potrafię, to chyba już nikt na świecie.

Tak, moja droga, potrzebujesz leczenia, i to podwójnego: jeżeli ciało chore, jeszcze bardziéj choruje duszyczka... prowincyonalne powietrze widocznie ci nie służy, i gotowaś skończyć z przeproszeniem.... na jakiém szaleństwie.

Do takich rzędu zaliczam twoje nagłe, niespodziane, nieprzezwyciężone *powołanie.*

Powiesz mi, że nie tak bardzo nagłe, i że jeszcze na pensyi nieraz wróżyłaś sobie habit? Moja kochana, któraż z nas, chowając się między zakonnicami, nie wystawiała sobie, że i sama kiedyś wstąpi do zakonu?

Ale między zamiarem a urzeczywistnieniem, powinna być długa, długa epoka próby.

Gdybyś już ludzi poznała dokładnie, zakosztowała tak słodyczy jak goryczy świata, i po kilku latach przyszła mi opowiedzieć twoje postanowienie, o, wtedy nie śmiałabym się sprzeciwiać głosowi bożemu.

Ale teraz.... wybacz mi, jestem zdania wujaszka, i wcale jeszcze nie dowierzam owemu powołaniu.

Bo tak, z ręką na sercu, jakąż przyczynę dasz niebu, gdy się spyta dla czego opuszczasz ziemię?

Powiesz: „Panie Boże, przychodzę do Ciebie, bo nudzę się w Sandomierzu.“

Już widzę, jak hebanowe brwi panny Teresy ściągają się i nasrożają.... jak te jéj ogromne oczy, które mało estetyczni ludzie nazywają piwnemi, a ja zwę złotemi, przeszywają mnie zgrozą obrażonego majestatu.

„Co? Ja, miałabym się *nudzić*? Osoba co się szanuje, nigdy nie powié, że się nudzi.“

Zgoda, nie powié, nie przyzna się do prawdy, ale głos przyjaźni zastąpi jéj wyznanie, i ja ci wręcz powiadam: Całém twojém nieszczęściem jest nuda.

Czyż ja cię nie znam? Przecież i w klasztorze życie jednostajne, które mnie było takie miłe, ciebie zawsze niecierpliwiło. Zawsze chciałaś, mówiąc twemi słowami: *aby się coś działo*. Ileż to razy namówiłaś nas na psoty wielkie (może za wielkie), byle tylko ożywić nasze zgromadzenie!

I ty chcesz wrócić do klasztoru, ty istoto z ognia i siarki? I to wrócić już nie dla płatania figlów, ale dla poddania się regule, stokroć twardszéj, niż panna Regina, i jednostajniejszéj, niż wujowska partyjka?

Cierpliwości moja Tereniu, cierpliwości.

Jak widzisz, wracam do mego dawnego stylu, bo téż widzę, że nowy najgorzéj poskutkował. Żaden twój list jeszcze nie był tak desperacki jak ostatni, który pisałaś pod wpływem mojego współubolewania. Widzę, że trzeba nie pobłażać, ale łajać, nie puszczać cugli, ale dodawać ostrogi, i dlatego powtarzam: znoś życie jak możesz, przynajmniéj dopóki nie przyjedziesz do nas, gdzie jesteś zaproszona nietylko przezemnie, ale przez mego męża, któremu czytałam kilka ustępów z naszéj korespondencyi, nawet ustęp gdzie się dziwisz, że jeszcze go nie *zabiłam*. Trzymał się za boki od śmiechu, słuchając tego drakońskiego wyroku, i prosi abym ci doniosła, że cię solennie zaprasza, choćby dla tego samego, aby się na tobie zemścić. Jaka ma być ta zemsta, nie wiem; czy ci chce dokuczać, czy cię oczarować? W każdym razie będziemy mieli czém się bawić.

Czy wiesz jednak co powiedział, kiedy przestał się śmiać, a głębiéj się zastanowił?

„Ta twoja panna Teresa więcéj się jakoś zanosi na bohatérkę romansu, aniżeli na szarytkę.“

A widzisz! Nietylko wujaszek to twierdzi. Ten wujaszek nie taki symplicyusz, jakby w nas chciał wmówić.

Co najstraszniejsze, to że i ja podzielam ich zdanie. Same twoje listy świadczą przeciw tobie. Są w nich rzeczy dziwne.....

Mężowi czytałam tylko *niektóre* ustępy, bo wszystkich czytać nietylko bym nie mogła, ale nawet nie śmiała... Twój duch wulkaniczny zapędza się na krańce, których doniosłości sama zapewne nie pochwycasz. Naprzykład kiedy piszesz:

„Wszak przyznasz Anielko, że dla istoty ukochanéj można wszystko poświęcić i wszystko od niéj przyjąć?“

Jeżeli to stosujesz do przyjaźni, do uczuć dziecięcych i rodzicielskich, masz zupełną słuszność,—ale jeżeli do innego uczucia... ach moja droga, toż są herezye przeciw moralności!

Wierzę, jestem przekonana, że najniewinniéj rzuciłaś to zdanie, ale na miłość boską! przed nikim, oprócz przedemną, nie wygłaszaj podobnych zasad, bo świat mógłby je najfałszywiéj zrozumieć.

„Zkąd tobie,— powiesz — prawo do takiego mentorstwa, kiedy nie jesteś nawet starsza odemnie?“

Prawda, młodsza jestem o całe trzy tygodnie, ale moje stanowisko mężatki czyni mnie starszą o całe lata, — zresztą już, jak wiesz, przywłaszczyłam sobie głos Mentora, chociaż wiem, że jest głosem wołającego na puszczy.

To téż powtarzam swoje: O romansowa główko! Byłaś nią, jesteś i będziesz, i prędzéj twoja Aniela niż ty była stworzoną do życia za kratą.

„Ale, zarzucisz mi jeszcze, — przecież wiadomo, że wielka część zakonnic wstępuje do klasztoru z przyczyn czysto ludzkich, najczęściéj z zawiedzionéj miłości?“

Najprzód nie przyznam, aby podobny powód miał być dowodem powołania, — powtóre, one przynajmniéj doznały zawodu. Ty nic jeszcze nie wiesz. A może téż ciebie świat nie zawiedzie?

Jestem obrażona, że pomimo próśb moich, nie raczyłaś mnie wtajemniczyć w dalszą historyą bukietu i różowéj wstążki, bo ciąg dalszy nastąpić musiał; nie słyszałam jeszcze, aby kto przysyłał bukiet na to tylko, żeby zaintrygować i przepaść jak kamień w wodę. Ciekawam téż jak wygląda ów ktoś niegrający w karty, który to próbuje wieczorami bawić pannę Teresę? Nic mi także nie piszesz o twojéj nowéj sukni, czy już zrobiona? Czy ci w niéj ładnie? Oj figlarko, mówisz i za wiele i za mało. Kto wié czy cała gorycz twego listu nie pochodzi już z jakiegoś maleńkiego zawodu?

Nazrzędziwszy, muszę téż i pochwalić. Pomysł z lekcyami rysunku prześliczny! Ach moja Tereniu, chciałabym cię za niego ucałować, nie jak wujaszek w czoło i raz jeden, ale w buzię sto razy. Już się cieszę na prezencik z twojego własnego kapitału, już widzę jak święta praca uspokaja cię i orzeźwia. Byleś tylko wytrwała! Bo to u ciebie taka natura, jaką podobno całemu naszemu narodowi

ludzie zarzucają, z kopyta ogniście, siarczyście, a w połowie drogi.... stój!

Ja tymczasem z włochami: *chi va piano va lontano*.

Idę też sobie powolutku moją cichą dróżką, aż przy łasce boskiéj, przejdzie się życie bez wygórowanych żądań, a tém samém bez wielkich rozczarowań. Na mojém miejscu może nie jedna kobiéta znalazłaby sobie wiele powodów do zmartwień, bo nie wszystko złoto co się świeci; ja dziękuję Bogu, że mi dał i tyle, i nikomu w świecie nie zazdroszczę, o nikim nie śmiem powiedzieć: Ten zupełnie szczęśliwy. Któż jest *zupełnie* szczęśliwy? Po saméj sobie widzę jak położenia zazdroszczone wiele jeszcze zostawiają do życzenia. Ale wolę zawsze patrzéć na tych co mniéj odemnie odebrali, niż na tych co więcéj. Zresztą, wierz mi moja Tereniu, połowa naszego szczęścia zależy od nas samych; *połowa* tylko, przyznaję, bo gra wypadków, choroby, straty, wymykają się z pod rządu naszéj woli, — ale rozsądek, ten boski dar, co może być zarówno udziałem prostaczka jak mędrca, uczy nas, że powinniśmy stosować się do położenia, jeżeli nie możemy położenia zastosować do siebie.

Ślicznie to określa przysłowie francuzkie:

Quand on n'a pas ce qu'on aime, il faut aimer ce qu'on a.

Już słyszę jak wołasz: Łatwo to powiedziéć, trudno wykonać. Nie tak trudno jak się zdaje, trzeba tylko w każdéj rzeczy dopatrzéć jéj dobrą stronę. Przypomnij sobie nasze usposobienia w klasztorze: dziś żałujesz dni tam spędzonych, ale wówczas, powiedz szczerze, ceniłażeś ich błogość? Ileż to pensyonarek (i ty między niemi) skarżyło się na niewolę klasztorną, tęskniło do chwili, która im pozwoli wylecić na świat szeroki. Ja nigdy nie należałam do chóru malkontentek, chociaż świat mi się z wielu względów uśmiechał. Zawsze sobie mówiłam: Co się odwlecze to nie uciecze. Za powrotem do domu, przy wyborze losu, trzymałam się téjże saméj maksymy, nie żądałam *wszystkiego odrazu*, i nie żałuję. Mam nadzieję, że przy pomocy boskiéj i pracy własnéj, wywalczę sobie powoli, ale na długo, to co inne zdobywają od pierwszego dnia, ale na krótko. Czy nie lepiéj zacząć od piana i wstępować w coraz wyższe forte, niż zacząć od fortissima, które prędzéj czy późniéj musi koniecznie do decrescenda się zniżyć?

W tém powolném wywalczaniu szczęścia domowego, przedewszystkiém chodzi o dostrojenie dwóch dusz do jednéj tonacyi; ta praca bardzo mi się ułatwiła od kilku tygodni, kiedy jestem prawie ciągle sam na sam z Augustem; nie powiem, aby już zupełna harmonia panowała, ale też rozsądna osoba nie może jéj odrazu żądać. Zdaje mi się, że pierwsze miesiące, a nawet pierwsze lata pożycia są

najtrudniejsze. Epoka przedślubna długa, albo krótka, nic tu nie stanowi; czy narzeczeni znali się przez rok, czy przez lat dziesięć, jeszcze się prawdziwie nie znają. Dopiéro, kiedy przyjdzie zrzucić salonową maskę i urzędowy uśmiech, wychodzą na jaw jakieś rysy niedostrzeżone, różne.... jakby to powiedzieć? kańciastości charakterów, które w codziennćm starciu zwolna muszą się ogładzić, jak w bystréj wodzie najostrzejszy kamień się zaokrągla.

Tylko, na owo zaokrąglenie trzeba czasu i jeszcze czasu. To téż powtarzam sobie to co i drugim: Cierpliwości.

Tymczasem, dużo godzin poświęcam muzyce, za którą August przepada, staram się ładnie dla niego wyglądać i ciekawie w duszę jego zaglądać, i cieszę się tém życiem równém, niezakłóconém, które tak mi do smaku przypada, że nawet każda wizyta mi cięży.

Ach, co ja téż robię! Jabym powinna przedstawiać się w listach do ciebie jako najnieszczęśliwsze stworzenie, bo przecież napisałaś mi, niegodziwa istoto, że tylko nieszczęśliwych można bardzo kochać.

Cóż ja na to poradzę, że gdziekolwiek i jakkolwiek Pan Bóg mię umieści, wszędzie mi jakoś dobrze? Nie zważaj na to, i zawsze tak mię kochaj, jak gdybym naprawdę była nieszczęśliwa.

P. S. Zacnemu wujaszkowi chciéj złożyć odemnie wyrazy uszanowania.

LIST VI.

Teresa do Anieli.

Sandomierz — 19 Grudnia.

Wszak pamiętasz Anielko owe prześliczne obrazy z żywych osób, które urządzono w klasztorze na przyjęcie księdza Biskupa?— Wszystkim nam wtedy było do twarzy z kostiumami, nikt jednak nie wyglądał tak cudnie jak ty w roli anioła, która zdawała się dla ciebie nie rolą, ale powrotem do twojéj właściwéj postaci. Kto cię wówczas widział, nie zapomni tego zjawiska w białéj sukni i niebieskéj albie, z przejrzystą twarzą i niebieskiemi oczami, z koroną złotych włosów rozsypujących się na powiewne skrzydła.

Otóż w takiéj postaci widzę cię zawsze, kiedy myślę o tobie, a zwłaszcza kiedy czytam twoje pismo. Nigdy jednak jeszcze nie przedstawiłaś mi się tak anielsko jak w ostatnim liście; nie mówię już o twojéj troskliwości dla mego zdrowia, o twoich serdecznych za-

prosinach, to wszystko rzeczy proste w przyjaźni. Ale powiedz mi zkąd czerpiesz tę pogodę duszy, która mię już w klasztorze przyciągała do ciebie, i dziś nawet z martwych liter wieje takim balsamem, że po przeczytaniu każdego twego listu, na kilka dni przynajmniéj jestem spokojniejsza i weselsza?

A jednak twoja pogoda wypływa najczęściéj ze spostrzeżeń wcale niewesołych, nieraz nawet zupełnie smutnych. Według ciebie szczęście na téj ziemi jest mrzonką; według ciebie o nikim nawet nie wolno powiedzieć: szczęśliwy, dopóki się nie spróbowało jego losu. Niestety, może to i prawda. Zrobiłam na saméj sobie tę próbę, przynajmniéj w taki sposób w jaki przez imaginacyą ktoś pojechał na koronacyą. Dobrze wytężywszy myśli, usiłowałam na chwilę postawić się w twojém położeniu. Ach! co za okropne odkrycia! Cobym ja już była na twojém miejscu nawyrabiała awantur, nagryzła drugich i siebie! Anibym tak potulnie dosiedziała w klasztorze, anibym pozwoliła wydać się zamąż bez miłości. Zatrułabym spokój rodziców oporem, albo się uważała dzisiaj za prawdziwą ofiarę. I byłabym nią rzeczywiście.

Tobie Anielko wszędzie dobrze, bo wszędzie z sobą niesiesz atmosferę dobroci, i biorąc rzeczy naodwrót, pewna jestem, że nawet w *mojém* położeniu, tu w Sandomierzu, i nawet bez twego Augusta, jeszcze byś umiała być szczęśliwą.

Ale na to trzeba się urodzić aniołem; to jest łaska, którą można podziwiać i wielbić, nadać jéj sobie niepodobna. Tobie Bóg położył na czole gwiazdę, a mnie płomień, tobie dał miłość spokoju, a mnie żądzę walki. To też jeżeli chcesz być moim Aniołem Stróżem, ostrzegam cię, niewdzięczne to posłannictwo. Musisz prowadzić duszę twardą i hardą, która często ci się będzie buntowała. Ale z twoją zasadą: Cierpliwości.... Mam nadzieję, że się nie zniechęcisz.

Co mnie utwierdza w domysłach o twojéj nadludzkiéj naturze, to, że nic przed tobą ukryć niepodobna, że jak aniołowie umiesz czytać w duszach i.... w kwiatach.

Istotnie, historya bukietu nie została bez dalszego ciągu, i mój ostatni list może od niéj przesiąkł goryczą, ale ta gorycz nie pochodziła z zawodu, tylko z rodzaju upokorzenia.... Byłabym wolała o niém nie pisać. Kiedy jednak chcesz koniecznie wiedzieć, kiedy zresztą wspomnę, że w oczach prawdziwie życzliwych nic nie może poniżyć,— słuchaj.

Ów bukiet poetyczny, idealny, tyle pięknych obrazów nasuwający, został mi przysłany przez...... burmistrza sąsiedniego miasteczka N***.

Pan burmistrz przyjechał kiedyś do Sandomierza, dla interesów swego wszechwładnego urzędu, zobaczył mię w kościele, raczył zwrócić na mnie łaskawą uwagę, przysłał odwieczny symbol wszelkich czułych afektów i zaczął u nas bywać wieczorami. Już mu wybaczam, że jest burmistrzem, chociaż i to..... zostać panią burmistrzową! Ach moja droga, cóżby powiedziały nasze koleżanki, którym obiecywałam ów nadzwyczajny wypadek w mojém życiu? Kładłyby się od śmiechu, a wierz mi, wolę aby nademną płakano, niż aby się ze mnie śmiano. Zresztą, odłóżmy na bok ludzkie sądy, pomińmy godność burmistrza, ależ jego osoba! Ach ta jego osoba! Wprawdzie pan Kalasanty (bo jeszcze na dobitkę nazywa się Kalasanty) jest dosyć młody i nieszpetny, wiele panien tu go znajduje ślicznym, według określenia wuja wygląda jak krew z mlekiem, ja powiem kwieciściéj, że jest czerwony i pucołowaty jak piwonia. Daruję mu nawet jego grubiańskie zdrowie, ale cóż za ruchy! Co za rozmowa! A jaki z siebie wiecznie zadowolony! I Aleksander macedoński nie był pewniejszym wygranéj, jak on, kiedy hucznie przysuwał krzesło do mego stolika od roboty. Ale go tak przyjęłam kilka razy, że nawet nie dopuściłam oświadczyn, i obecnie pan Kalasanty zniknął z widnokręgu. Wuj poczciwy, z początku go troszkę chwalił, ale jak tylko spostrzegł, że mi to przykrość sprawia, ustąpił i dziś już ani wspomni o nim. Tak skończył się już przecie ten śmieszny epizod mego życia. Co tylko mię boli i nieco mi ubliża, to że całe miasto było oburzone, jak mogłam odstręczyć takiego miłego kawalera, nie poznać się na takiéj dobréj partyi?

Zapewne, jeżeli wspomnimy, że jestem sierotą, bez urody, bez grosza posagu ani żadnéj przyszłości, taki człowiek, w gruncie uczciwy i z porządną pensyą, może się nazywać dobrą partyą.

Ale kto wspomni jakie odebrałam wychowanie, do jakiego przywykłam towarzystwa, światłych zakonnic, wykształconych panienek, do twego Anielko! ten sądzę za złe mi nie weźmie, że nie chciałam skuć się do śmierci z człowiekiem równie ciemnym jak zarozumiałym.

Widząc z téj jednéj próbki na jakich konkurentów mogę liczyć, codzień bardziéj utwierdzam się w przekonaniu, że jedyna przyszłość stosowna dla mnie jest za furtą, któréj przejście nie wymaga ani wdzięków, ani fortuny; chociaż ty znowu gotowaś to przetłómaczyć na słowa: Panie Boże, wolę Ciebie niż pana Kalasantego.

Tak, tak,—i anioł czasem zdobywa się na złośliwość, naprzykład kiedy przycina mi, nudami....

Zamiast polemiki, odpowiem ci, że teraz choćbym chciała to nie mam kiedy się nudzić, bo od niejakiego czasu, u nas ciągle *się coś dzieje*.

Zwierzenia z jakiemi niefortunnie wybrałam się do wujaszka nie przeszły bez śladu. Jakie to złote serce! Odesłał mię wprawdzie do spowiednika, jednak od tego czasu widocznie męczy się nad zagadką mojéj troski i chciałby po swojemu jéj zaradzić. Kilka razy mówił, że powinnabym widywać jakie rówienniczki, zbliżyć się do kilku rodzin niegdyś znajomych wujence, i w skutek tego wszystkiego byliśmy już na dwóch proszonych wieczorkach. Miałam owę suknię popielatą z fiołkowem, którą zrobiłam sama, zupełnie sama, chociaż teraźniejsze ubrania nadzwyczaj trudne do uszycia. Znam tu jednę panią co prenumeruje *Bluszcz*, tam wybrałam z pomiędzy żurnali, wzór jaki mi się zdawał najłatwiejszy; kiedy jednak przyszło do roboty, znalazłam się jak w lesie. Na domiar kłopotu materya zaczęła niknąć nakształt kamfory; myślałam, że dwadzieścia łokci wystarczy nietylko na suknię, ale i na zarzutkę, a tu wystaw sobie, pokazuje się, że i dziesięć łokci naddatku by nie zawadziło! Dwa dni trwała rozpacz i bezrobocie, ale jak zaczęłam sejmikować z ową panią i z panną Reginą, poradziłyśmy sobie genialnie; zrobiłam tunikę *fałszywą*, to jest tylko falbankę, która zarys tuniki oznacza na spódnicy, a tym sposobem jest wszystko i modnie i oszczędnie. Zdaje mi się jednak, że mi nie było do twarzy, i że niekorzystne ze wszech miar sprawiłam wrażenie. Tak przynajmniéj sądzę z przyjęcia, które w obu miejscach wydało mi się chłodne. Czy wiesz co mi przez myśl przechodzi? Może to samo co mię w oczach wuja podniosło, w oczach miasta mię poniża? Odkąd daję lekcye, ludzie tutejsi ton ze mną zmienili, i na zebraniach dostrzegłam wyraźnie, że nie wiedziano za co mię uważać, czy za siostrzenicę zacnego obywatela, czy za półguwernatkę? Ile razy wtrąciłam się do rozmowy, towarzystwo uśmiechało się nieprzyjemnie.

Wujaszek wracał porządnie zły, a ja go serdecznie prosiłam, abyśmy zaniechali tych wieczorów, które ani jego, ani mnie nie bawią.

Siedzimy więc znowu przy robótce i partyjce, ale w naszym domu już nie tak cicho jak przedtém; możebym nawet wolała, aby wróciła dawniejsza spokojność, bo miasto, z łaski swojéj, troszkę nadto nami się zajmuje.

Jest tu kilka pań i panien bardzo nabożnych, niektóre z nich, jak to mówią, osiadłe na dewocyi. Widząc mię często w kościołach, zwróciły uwagę na moję niegodną osobę. Powoli przyszła bliższa znajomość; zaczepiły mię kilka razy w kruchcie, albo w zakrystyi,

wypytywały o moję przeszłość, o moje czytania, zajęcia, aż przyszło i do badań o pana Kalasantego. Na odczepkę powiedziałam, że wybiéram się do zakonu. Więc zaraz pytania: Do jakiego? Kiedy? Czemu jeszcze nie weszłam? Wymówiłam się, że wujaszek dotąd nie pozwala. Od téj chwili wzięły mnie zupełnie w opiekę. Wtargnęły do naszego domu, suszą wujaszkowi głowę, że przeszkadza natchnieniom bożym, że mnie unieszczęśliwi, itd. Cenię ich dobre chęci, wdzięczna im jestem za pomoc, jednak, szczerze mówiąc, pomagają nazbyt natarczywie, i tak jakoś umieją wszystko przesadzić, że ktoby chciał sądzić o nas według ich opowiadań, mógłby wziąć wujaszka za istnego tyrana. Próżno psuję sobie gardło na zaprzeczanie takim wieściom; historya ta przybrała nadto dramatyczny koloryt, aby się jéj łatwo mieli wyrzec ludzie zgłodniali nowości. Całe miasto podobno sprzecza się o moje losy i rozpadło się na dwa obozy; pierwszy, do którego po większéj części należą mężczyźni, nawet księża, niedowierza memu powołaniu i dodaje z galanteryą, że szkoda byłoby panny Teresy do zakonu. Drugi obóz, głównie złożony z kobiét, na gwałt chce mię wpędzić za kraty.

Wszystko to wiemy przez pannę Reginę, która téż zupełnie dla mnie się zmieniła od czasu jak zna moje zamiary; okazuje mi rodzaj uszanowania, które mię i bawi i wzrusza. Jakąż cześć obudza ta milicya boska, kiedy sama chęć wstąpienia w jéj szeregi już otacza rodzajem aureoli!

Widzisz więc Anielko, że na ten raz odłączasz się od całéj płci twojéj, ganiąc moje postanowienie. Zarzucasz mi, że nagłe. A pani kochana, czy nie nagle, czy nie prosto z pensyi poszła do ołtarza? Jeżeli można bez namysłu przysięgać człowiekowi, którego się prawie nie zna i który może zawieść, trzebaż namysłu, aby przysiędz Temu co nigdy nie zawodzi?

Wujaszek szczerze ci wdzięczny za pamięć. Chciał się dopisać do mojéj bazgraniny, ale potém zmienił zdanie, i wziął twój dokładny adres, mówiąc, że za wyrazy tak uprzejméj damy, trzeba osobnym listem podziękować. Chciałabym téż taki list czytać! Nie mam wyobrażenia o jego piśmiennym stylu.

Słyszę w bawialnym pokoju głosy moich nieproszonych opiekunek, trzeba iść je bawić,—wolałabym ciebie daléj nudzić,—kiedy nie można, ściskam cię i przy nadchodzących świętach przesyłam życzenie, aby niebo tyle ci przymnażało szczęścia, ileś go warta moja Anielo, a raczéj aniele.

P. S. O moje zdrowie już nie masz się co troskać. Od czasu jak mrozy wzięły, ból piersi prawie ustał. Co wieczór, kochana Regina przynosi mi do łóżka ogromną szklanicę dekoktu ohydne-

go, który piję sumiennie, aby jéj nie martwić a siebie zaprawiać do umartwień.

LIST VII.

Wuj Teresy do Anieli.

22 decembra—Sandomierz.

Łaskawa Pani Dobrodziejko!

Choć nie mam honoru osobiście być jéj znajomym, przecież znam ją dokładnie przez moję siostrzenicę, któréj opowiadania malują mi osobę najgodniejszą szacunku i obudzają we mnie wdzięczność za przywiązanie okazane biednéj sierotce.

Kiedy nadto, w ostatnim liście Pani Dobrodziejki, znalazłem uprzejme wyrazy do mnie wystosowane, łaskawość ta dodała mi odwagi, i biorę pióro do ręki, primo: ażeby pokornie podziękować, secundo: ażeby zasięgnąć rady co do kwestyi, która od niejakiego czasu mocno mnie frasuje.

Chciéj mnie Pani Dobrodziejko oświecić, czy Tesia już na pensyi czuła skłonność do świętego stanu zakonnego?

Punkt to dla mnie ważny, bo jeżeli ta skłonność tkwiła w niéj od dzieciństwa, Pan Bóg sam przez nią przemawia, jeżeli zaś późniéj dopiéro się zrodziła, kto wié, czy nie pochodzi z jakich ludzkich względów? A wtedy sumienie zabrania folgować fałszywéj wokacyi.

Tesia jest mądra, zanadto mądra na takie miasto jak nasze, gdzie budzi więcéj przekąsów niż admiracyi. To téż pomimo jéj budującéj cierpliwości i humoru niedającego się skwasić, widzę ja doskonale, że nigdy jéj tu dobrze nie będzie.

Nie jestto jednak racya, ażeby dla zrzucenia kłopotu z głowy, skazywać dziewczynę na dozgonne vota, którychby gotowa pożałować.

Ciężką odpowiedzialność Pan Bóg zesłał na moje stare lata. Nigdy nie miałem dzieci i nie umiem sobie z niemi radzić, zwłaszcza z panienkami, z któremi trzeba się obchodzić delikatnie jak gdyby ze szkłem, bo człowiek nigdy nie wié czém je ucieszy a czém zrazi? Dziś płaczą, jutro się śmieją, dziś chcą, jutro nie chcą, to wszystko wedle jakiejś osobnéj logiki, dla któréj zrozumienia, musiałbym chyba na starość rozpoczynać nową edukacyą.

Wprawdzie doradców mi nie brak, ale mam ich tylu, że mógł-

bym skończyć jak ów osiołek z bajki, co nie wiedząc które jadło wybrać, przestał jeść zupełnie.

Damy tutejsze gromią mnie za moje skrupuły. Osoby to zacne pod względem obyczajów i doświadczenia, ale jakżeż im sądzić o Tesi, która nic a nic do nich niepodobna? Kiedy jeszcze widzę, że między niemi najgorliwsze są stare panny, ten ferwor staje mi się podejrzany.

Gotów jestem na niejednę ofiarę, aby tylko zapewnić przyszłość mojéj siostrzenicy według jéj przekonania i gustu, ale na to muszę pierwéj dobrze poznać jéj przeszłość, a w téj materyi tylko jedna Pani Dobrodziejka może mi dopomódz. Upraszam więc o sumienną jéj opinią, przyczém mam honor pisać się łaskawéj Pani Dobrodziejki

unižonym wielbicielem i sługą.

LIST VIII.

Aniela do wuja Teresy.

Poznań—31 Grudnia.

Szanowny Panie Dobrodzieju!

Szczerze wzruszona jestem dowodem zaufania jaki pan łaskawie mi daje, kiedy chce przezemnie lepiéj poznać naszą kochaną Terenię.

Ufność ta mi pochlebia, ale mię i trwoży, i jeżeli Bóg ciężką zesłał na pana próbę, powierzając mu opiekę nad młodą osobą, opiekun nie mniéj ciężką składa na mnie odpowiedzialność, dając mi głos niejako stanowczy w rozrządzaniu jéj przyszłym losem.

Trudne to zadanie, sądzić inną duszę, zwłaszcza taką co nam jest droga i kiedy zawsze zachodzi obawa, czy serce pozwoli to powiedziéć co chciałby mówić rozsądek?

Zapiszę tu więc tylko niektóre moje spostrzeżenia, upraszając zawczasu, aby szanowny Pan nie brał ich za ostateczny wyrok, ale zechciał je dołączyć do swoich własnych uwag, a następnie je wystawić na nieomylny probierz czasu.

Nie, Terenia w klasztorze nie okazywała wyraźnéj, jak się Pan wyraża, wokacyi. U kilku innych pensyonarek (a ja byłam w ich liczbie), zanosiło się daleko mocniéj na rzeczywiste powołanie. Porwana siłą przykładu, wpływem naszych rozmów, i ona niekiedy zamarzyła o takiém życiu, pełném lilij, aniołów i zachwyceń. Ale po-

dobne marzenie na krótko jéj wystarczało. Zawsze spragniona *działania*, szukała jakiegoś szerszego, a raczéj dramatyczniejszego pola, co nieraz nawet wciągnęło ją w zamieszki troszkę buntownicze, bo trzeba wiedziéć, że jeżeli gotowa jest z najgłębszém zaparciem się i poddaniem służyć osobom, które kocha, za to nie może znieść żadnego jarzma, w którém serce nie ma udziału.

To wszystko zdaje się mówić *przeciwko* ślubom zakonnym. Ale zachodzi pytanie, czy te same skłonności, które ją czynią niezdatną do klasztorów kontemplacyjnych, nie uczyniłyby z niéj właśnie najdoskonalszéj Siostry Miłosierdzia?

Dusza Teresy, na wskroś szlachetna, wiecznie szuka sposobności do ofiary. Charakter jéj, który ludzie złośliwi nazywają *egzaltowanym*, jabym nazwała *bohaterskim*. Na dowód przytoczę okoliczność jaka mi się w téj chwili przypomina, a która ją może lepiéj maluje niż wszelkie portrety *a la Bruyère* kreślone.

Profesor wykładający nam kurs historyi na pensyi, mówiąc o dawnych prawach polskich, między innemi przytoczył z jakiéjś uczonéj książki, — podobno z Czackiego, — niezmiernie ciekawy szczegół:

Istniał zwyczaj, przez niektóre magistraty miejskie długo *tolerowany*, że jeżeli jaki winowajca bezżenny, w chwili gdy go na śmierć prowadzono, wzruszył serce któréj z patrzących panien, i ta mu swoję zasłonę zarzuciła na głowę, wtedy przebaczano skazanemu, i parę zaraz wiedziono do ślubu.

To prawo, które pewnie sięgało epoki bardzo starożytnéj, poprzedzającéj wszelkie ustawy pisane, jest bez zaprzeczenia jedném z najpiękniejszych jakie w dziejach napotkać można. Dowodzi jak u nas wysoko stawiano niewiastę, kiedy nie wątpiono, że pod jéj wpływem nawet zbrodniarz może się poprawić. Kobiéta, osłaniając winnego swoim rąbkiem, zdawała się mówić: „Ja go odtąd biorę na moję odpowiedzialność i podejmuję się odrodzić go dla społeczeństwa.“ A społeczeństwo tak jéj wierzyło, że nawet sprawiedliwość broń przed nią składała.

Tereni, ten zwyczaj zupełnie zawrócił głowę: dzień i noc tłómaczyła nam jego znaczenie, pocieszyć się nie mogła, że nie żyje w czasach w których wolno było kobiécie takiego cudu dokazać, i chcąc przynajmniéj złudzeniem zastąpić rzeczywistość, napisała rodzaj sztuczki teatralnéj, która była grana w klasztorze z wielką pompą, na wysokie zbudowanie zakonnic i naszych rodzin. Rozdzieliłyśmy pomiędzy siebie role sędziów, kata, skazanego, itd. Terenia grała wybawicielkę, a grała z taką prawdą, z takiém uniesieniem, że porwała nietylko słuchaczy, ale same aktorki. Mury klasztoru do dziś

dnia brzmią jeszcze sławą pamiętnéj téj reprezentacyi. Przy całém jednak powodzeniu, narobiła sobie Terenia i biedy, bo odtąd pensyonarki przezwały ją *Panią Zbrodniarzową*, a późniéj dla skrócenia po prostu *Zbrodniarką*. Ja nigdy nie brałam udziału w tym żarcie, zakonnice gniewały się i zabraniały podobnych prześladowań, ale już nie można było téj nazwy od niéj odczepić, i pewna jestem, że dziś jeszcze niejedna koleżanka lepiéj ją pamięta pod przydomkiem Zbrodniarki, niż pod jéj właściwém nazwiskiem.

Teraz, szanowny Pan przyzna, że panienka, co ledwie wychodząc z dzieciństwa, ma już takie zdumiewające porywy, takie nadzwyczajne marzenia, godną jest sięgnąć po ciernistą koronę Świętego Wincentego.

Mnie, prawdę mówiąc, ów pociąg do nadzwyczajności przestrasza. Zawsze lękam się o los istot co nie lubią chodzić utartemi drogami. Powtarzam jéj to w każdym liście, zachwalam *owę złotą mierność*, którą Horacyusz złotemi słowami określił, a która według mnie jest jedynym kluczem szczęśliwości. Ale co pomogą najwytrwalsze namowy, tam gdzie wyobraźnia kipi i serce tylko czeka wybuchu? Może bezpieczniéj, dać im się zwrócić od razu do świętych celów?

Byłoby jednak pożądaném, ażeby Terenia mogła pierwéj zaznać nieco świata, nie tego zacnego i patryarchalnego, w którym dzisiaj żyje, bo ten nie przedstawia żadnych pokus, ale świata niebezpiecznego, z powabami i złudzeniami, jakieś większe miasto, naprzykład Warszawę, albo choćby nasz Poznań.

Dobrze ja rozumiem, że szanownemu Panu trudno byłoby wychodzić ze zwyczajów całego życia i wozić się z panienką po stołecznych zabawach, ale gdyby Pan zechciał, na pewien czas, mnie powierzyć Terenię, przeprowadziłabym ją tu ostrożnie przez rotowy ogień rozrywek, a późniéj moglibyśmy już ze spokojném sumieniem zostawić ją własnym jéj natchnieniom.

Podając tę myśl pod rozwagę łaskawego Pana, korzystam ze sposobności, ażeby mu złożyć najserdeczniejsze dzięki za jego ojcowskie starania i troskliwość o szczęście Tereni; doprawdy nie wiem w czyjém sercu budzą one więcéj wdzięczności, czy w jéj własném, czy w sercu jéj przyjaciołki, téj, która pozostaje dla Pana z najgłębszém uszanowaniem—Anieli.

LIST IX.

Aniela do Teresy.

Poznań — 1 Stycznia.

Północ bije, a ja jéj doczekałam przy biórku, z piórem w ręku, ażeby rok nowy zacząć tém co mi jest najmilsze, rozmową z tobą, droga moja Tereniu. Jeszcze ci winszować bardzo czego nie mam, ale za to życzyć mogę dużo, tak dużo, iż wolę wszystko zamknąć w jedném życzeniu: Oby ci ten rok przyniósł to, co ma być twojém szczęściem!

Niedobra to jednak wróżba dla naszéj przyszłorocznéj zgody, że muszę na zaczęcie tego listu cię zgromić.... A, panno Tereso, czy to się godziło tak długo trzymać przedemną w sekrecie historyą pana Kalasantego? Ujęłaś mi kilka tygodni zabawy. A toż historya paradna! Szkoda, że nie jesteśmy autorkami, wsadziłybyśmy go żywcem w jaką powieść, albo komedyą, z jego pyzatą buzią i zaklętym bukietem. I ty się *żenowałaś* takiego konkurenta? Przed kim? Przedemną? A moja droga, jeżeli możesz ze mną mieć próżność, to kwita z zaufania. Czyż ja nie wiem, żeś ty warta i Nababa indyjskiego i króla Salomona, ale zkądże ich weźmiesz, kiedy im droga na Sandomierz nigdy nie wypada?

Co mię najwięcéj oburzyło, to że zdajesz się *usprawiedliwiać* z odmowy danéj panu Burmistrzowi, jakbyś przypuszczała, że ja mogłabym cię namawiać na podobną partyą? Złe masz jeszcze, jak widzę, wyobrażenie o mojém do ciebie przywiązaniu.

Piszesz mi, że wielebyś dała aby przeczytać list wujaszka. Oj prawda, ciekawy to list jak rzadko! Ale twoja ciekawość na nic się nie przyda, ani listu wuja, ani mojéj odpowiedzi nie zobaczysz, bo i ja téż mam moje sekreta, i choć mię zaszczycasz godnością anioła, przecież nie zapieram się, że w pierwszym roku małżeństwa, prowadzę z niebezpiecznym wdowcem korespondencyą tajemniczą, któréj ani tobie, ani mężowi nie myślę pokazywać.

Tak, listów nie pokażę, ale co wyznam otwarcie, nawet w obecności męża, to że twego wuja (chociaż w życiu go nie widziałam), kocham już serdecznie, za to, że ciebie kocha, że chciałby ci nieba przychylić. A przytém i rozumny, tym rozumem co najłatwiéj trafia do celu, bo prosty.

Z twoją panną Reginą trochę się już pogodziłam, chociażbym ją chętnie poczęstowała owym szkaradnym dekoktem, za pierwo-

tne jéj z tobą fochy. Żeby téż można jaki figiel jéj wypłatać, naprzykład na Prima aprilis? Mamy kwartał czasu do przemyśliwania.

Jak widzisz, rok zaczynam z wybornym humorem, kiedy mi się pensyonarskie koncepta pod pióro nawijają. A jednak powinnabym przybrać ton elegii, bo ten pierwszy Stycznia, który dla tylu osób jest hasłem samych uciech, dla mnie pewnie przyniesie zmiany wcale niepożądane, przerwie trzymiesięczne *tête-a-tête* z Augustem, w którém nam było tak dobrze. Czuję przecież sama, że trzeba je przerwać, bo i dobre może się zużyć. August dotąd był zachwycający, jeszcze się zemną nie znudził, ale pytanie czybyto długo potrwało? Trudno wymagać od mężczyzny młodego, przywykłego do czynności i świetności, aby nagle w czterech ścianach cały świat sobie zamknął. Już coraz częściéj chodzi po salonie pędzony jakąś żądzą ruchu, namawia mnie na teatr, dopytuje się gdzie będą zebrania?

Wiém, że gdybym koniecznie chciała, pozwoliłby mi całą zimę przesiedzieć w domu, ale roztropność inaczéj radzi. Młodéj kobiecie nie wypada wyróżniać się od wszystkich jakimś sposobem życia pustelniczym, towarzyskość ma także swoje obowiązujące prawa. Zresztą nie chciałabym pana mego puścić samiutkiego w ten świat, który gotów przypomnieć mu się zbyt przyjemnie.... Muszę więc i tu przyjąć niewdzięczną rolę duchowego stróża. Już posmutniewam na myśl, że trzeba mi będzie pożegnać dalsze studya nad symfonią Beethovena, wyjść z regulaminu godzin, które sobie tak ładnie rozłożyłam, jeździć po magazynach, po wieczorach. A jednak tyle kobiét aż drży za tém co mnie przestrasza. Co głowa to rozum, co dusza to inne szczęście. Ta uwaga czyni mię coraz nieśmielszą w sądach.

Ale dość téj filozofii. Wszelki duch Pana Boga chwali, wpół do drugiéj bije! Jak widzisz, już dziś karnawał zaczynam po waryacku. Czemuż to nie możemy zamienić naszych stanowisk, tak jak zamieniłyśmy serca?

LIST X.

Teresa do Anieli.

Warszawa—18 Stycznia.

Tak Anielko, dziwuj się, oglądaj pocztowe znaki na kopercie, wpatruj się w nadpis mego listu, oczy cię nie mylą, piszę do cie-

bie z *Warszawy*, z hotelu Rzymskiego, gdzie już trzeci dzień mieszkamy.

Jak się to wszystko stało, po cośmy tu przyjechali, jeszcze nie rozumiem dokładnie. Domyślam się jednak, że ty głównie dzwoniłaś na tę podróż, bo nagłe jéj postanowienie nastąpiło w parę dni po twoim liście. Co ty za czary w ten list wlałaś, że wuja tak dziwnie zajął i rozruszał? Nie pokazał mi twego pisma, wiém tylko, że Horacyuszem naszpikowane. Oj, figlarko, wiész ty czém ludziom do serca trafiać.

Tandem tedy (mówiąc po wujowsku), we dwa dni po odebraniu twoich listów, rano woła mię wuj do swego pokoju i, pokazując na biórku paczkę tęczowych papierków, powiada: „Oto kilkaset rubli, które odłożyłem aby ci Tesiu zrobić niespodziankę; wypadł mi nagły interes do Warszawy, pojedź i ty ze mną, zabawisz się trochę. Mróz porządny trzyma, będziemy mieli drogę jak po stole, pohulamy z tydzień albo dwa, i przynajmniéj karnawał nie będzie dla ciebie stracony.“

Oniemiałam na taką nowinę. Jakto? W tém życiu co od lat trzydziestu idzie nakształt zégarka, taki nagły wyskok? W téj oszczędności co się z każdym szelągiem rachuje, taki kolosalny wydatek? Anielko, to chyba twoje dzieło.

Po pierwszéj chwili osłupienia, ogarnęła mię radość szczera, która, jak widziałam, wujaszka bardzo ucieszyła. Wiadomość o naszym wyjeździe prędko się roztrzęsła; Sandomierzanie do dziś dnia pewnie łamią sobie nad nim głowę. Panna Regina żegnała się lewą ręką.

Miałam do ciebie pisać na wyjezdném, ale wolałam pisanie odłożyć do Warszawy, aby ci większą sprawić niespodziankę.

Droga przeszła prędko i wesoło. Od trzech dni jak tu jesteśmy, czekam ciągle kiedy téż wujaszek zajmie się owym interesem co go tu sprowadził? Ale zaczynam podejrzywać, że cały interes leży w jego dobroci dla mnie, w jego chęci zabawienia „swojéj Tesi,“ bo nieustannie jest ze mną. Chodzimy po ulicach, bawi nas niezmiernie przyglądanie się sklepom, które tu są przepyszne. Ruch wszędzie nie do uwierzenia.

Wczoraj byliśmy z wizytą u pani Prezesowéj, z któréj mężem wuj niegdyś kolegował. Ta pani ma córkę, pannę Leokadią, dosyć ładną i uprzejmą. Wujaszek bardzo mię polecał tym paniom. Jutro mamy z niemi być w teatrze, na operze. Pani Prezesowa oświadczyła wręcz, że nie mogę tam iść w mojéj popielatéj sukni, i dziś w sklepie na Miodowéj ulicy, kupiliśmy rodzaj polonezki czarnéj, naszywanéj sieczką; bardzo to świetnie wygląda, ale kosztuje aż dwa-

dzieścia sześć rubli; nie chciałam żadną miarą brać takiéj drogiéj rzeczy, wujaszek mię przymusił.

Widzisz więc moja Anielciu, że niewiele byś zyskała na zamianie stanowisk, bo i ja się bawię i stroję. Pilnuj tam dobrze twego jak go nazywasz *pana*, i wierz mi, trzymaj go krócéj, bo mąż takiéj Anieli powinien być także anielski, jeżeli chce być choć troszkę wart żony.

Muszę kończyć, gdyż wujaszek woła, aby mu list oddawać; czyby jeszcze pisał do ciebie, że sam się zajmuje wysłaniem téj bazgroty? Piszcie do siebie, spiskujcie, ja i jego i ciebie codzień więcéj kocham.

LIST XI.

Wuj Teresy do Anieli.

Warszawa—18 Januarii.

Najłaskawsza Pani Dobrodziejko!

Króciuchno dziś do Pani Dobrodziejki piszę, bo wolę odpowiadać faktami niż frazesami. Co Pani Dobr. chciała z łaski swojéj wykonać, to sam jéj stary sługa wykonywa, aby dowieść, że jeszcze nie taki stary i niedołęga jak go śliczne damy posądzają. Przywiozłem dziewczynę do Wielkiego miasta, aby jéj guścik wysondować. *Rotowy ogień* już się zaczął, nie wiem jeszcze co z tego będzie, wiém tylko, że za list Pani Dobrodziejki, który z wielu punktów oczy mi otworzył, dozgonną zachowam obligacyą, przyczém rączki stokroć całuję, pozostając pokornym wielbicielem i sługą.

LIST XII.

Teresa do Anieli.

Warszawa—27 Stycznia.

Kochana Anielko!

Jeszcze nie mam od ciebie listu, i niecierpliwię się jakbym go całe wieki nie miała, bo tu jakoś zupełnie tracę miarę czasu. Dziś kiedy przyszło kłaść datę na tym papierze, musiałam aż do kalendarza zajrzéć, i widzę z podziwieniem, że dopiéro dwanaście dni bawimy w Warszawie.

W Sandomierzu dni się dłużyły a rok prędko mijał, tu godziny lecą, a każdy dzień jednak stanie za tygodnie. Widocznie, tylko *ilość wrażeń* powiększa, albo zmniejsza rozmiar czasu.

Byliśmy jak ci zapowiadałam w teatrze; dawano *Trubadura*, który mnie zachwycił, ale ten zachwyt opłaciłam rodzajem wstydu, bo łzy uparcie leciały mi z oczu, musiałam ciągle chustką się zasłaniać, a panna Leokadia wyśmiewała się niemiłosiernie z mojéj prostackiéj czułości. Może ma słuszność, może to niełądnie płakać w obec tysiąca osób, i to jeszcze nad romansowemi nieszczęściami? Ale téż ja nie płakałam nad samą historyą, tylko z rozrzewnienia nad muzyką, i jeśli mam powiedzieć prawdę, mało przypuszczam serca w osobie, która może takich dźwięków słuchać obojętnie. Panna prezesówna téż, chcąc się zapewnie obronić od wszelkich wzruszeń, prawie wcale, jak zauważyłam, nie słuchała muzyki i więcéj patrzyła na salę niż na teatr. A jednak było na co patrzéć, czego słuchać! Kiedy zwłaszcza dwa głosy się połączą, dusza drży jakby i w niéj dwie dusze grały, a kiedy chór uderzy w niebo, o! wtedy serce chciałoby się wyrwać z piersi, gonić za jakiémś zwycięztwem, dopiąć jakiegoś szczęścia, które musi być nie z tego świata, bo samo jego przeczucie już zdaje się przechodzić nasze siły. Mnie przeszywały dreszcze; kilka razy zlękłam się czy nie zemdleję? Szczęściem wszedł do loży jakiś młody jegomość z cukierkami, i ta przerwa przywróciła mi przytomność. Pani Prezesowa i jéj córka nazywały tego pana kuzynkiem; zdawały się daleko więcéj nim zajęte niżeli Trubadurem. Ja znów nic nie widziałam, nic nie słyszałam tylko operę, i musi istotnie to być cudne dzieło, kiedy nawet wujaszek, który już trzydzieści kilka lat nie był w teatrze, przyznał, że muzyka wspaniała, chociaż powiada, że zanadto huczna i że opery Rosiniego, które w młodości słyszał, daleko mniejszemi środkami sprawiały jeszcze większe wrażenie. Może to być, ja jednak za żadne inne nie oddałabym wrażeń tego wieczoru; aż sobie wymawiam ich gwałtowność; doprawdy, nie przypuszczałam aby światowe ponęty mogły tak silnie na mnie działać.

Innego dnia poszliśmy obejrzéć *Wystawę sztuk pięknych*. Jak żyję tyle obrazów nie widziałam; a co za urządzenie wspaniałe! Wystaw sobie galeryą długą jak przynajmniéj trzy razy nasz Refektarz, po jednéj stronie okna ogromne, tworzące prawie całą ścianę ze szkła, sufit sklepiony, okryty prześlicznemi freskami, a zresztą wszędzie obrazy, obrazy, nawet w przedpokoju, nawet na schodach! Przy mojéj miłości do rysunku, możesz sobie wyobrazić z jaką czcią im się przyglądałam. Widok ten jednak zasmucił mnie. Tu dopiéro przekonywam się jak mało umiem, jak mój zasób wiadomości z pen-

syi wyniesionych jest prawdziwie dziecinnym, ileby to potrzeba studyów, aby już nie powiem naśladować, ale przynajmniej zrozumieć takie dzieła! Patrząc, czuję a raczéj przeczuwam co piękne, ale nie mogę sobie zdać sprawy *dla czego* jest piękne? To też chodziłam tam jak w lesie, i chociaż mówią, że od przybytku głowa nie zaboli, mnie tyle rzeczy naraz mieszało się w głowie: byłabym chciała przychodzić tam często i na długo, a trzeba mi było wszystko oblecieć w godzinę. To też nic nie potrafię dobrze ci opisać; jeden tylko obraz pozostawił mi wrażenie dziwne, niezatarte, peizaż z Karpat (jeśli dobrze pamiętam, przez malarza Schouppego). Powiadam *dziwne*, bo sam obraz niczém tak bardzo nie uderza; owszem trzymany jest w kolorach mglistych, niebieskawo-fioletowych, które zasuwają wszystko rodzajem jakiéjś tajemnicy czy niepewności. Wiele osób przechodziło przed nim obojętnie; ja stanęłam jak wryta. Wierz mi, albo nie, Anielko, ale zupełnie mi się wydało, że już kiedyś widziałam ten krajobraz. Gdzie? Kiedy? Prosty rozum odpowiada, że to czyste złudzenie, bo przecież nie byłam jak żyję w Karpatach, nigdy nawet nie widziałam jeszcze okolicy prawdziwie górzystéj, nie może mi więc to miejsce niczego przypominać, a jednak je znam! Te wierzchołki, te skały dziwaczne, ten potok pędzący środkiem, owe kamienie zielonawe po brzegach, nawet to drzewo pochylone, wpół odarte, wszystko wyraźnie *poznawałam* i mówiłam sobie: Tak, to tu było. Ale co było?

Mój aniele, ty umiész czytać w duszach, powiédz mi skąd się biorą podobne zagadki? Ostatecznie wpadłam na myśl, że mi się coś podobnego musiało kiedy we śnie przedstawić, czyli krótko mówiąc że mi się *przyśniło*. Powiadam ci, byłabym do nocy przed tém płótnem stała, ale wujaszek był głodny, i musieliśmy iść na obiad.

Czas jest bardzo piękny, sanna doskonała. Pojechaliśmy którégoś dnia do Łazienek, aby zobaczyć ślizgawkę na stawie. Jakież to cudowne miejsce, nawet w zimie! Cóż dopiéro musi być w porze letniéj? Panowie bardzo ładnie, w esy i floresy jeździli na łyżwach, panie ślicznie ubrane wożono w malutkich saneczkach, muzyka grała, drzewa pod słońcem świeciły jakby brylantowe, tylko wiatr zanadto ciął po twarzy i psuł całą przyjemność. Od téj ciągłéj bieganiny po mrozie, kaszel mi się wrócił i to porządny, a teraz mi jest wcale nie na rękę, i muszę go się koniecznie pozbyć, bo za kilka dni, wystaw sobie, mam być na balu, na wielkim balu w Resursie! Cel jego bardzo szlachetny, pieniądze zebrane idą na korzyść niezamożnych studentów, i mówiono mi że co rok, ten bal najlepiéj ze wszystkich się udaje. Powinnabym się też cieszyć, a ja owszem tak się boję, jak żołnierz przed pierwszą bitwą. Wszak pamiętasz

Anielciu, nieraz nam opowiadano, że pierwszy bal w życiu panny to dzień pamiętny, oczarowanie, któremu nic wyrównać nie może? Otóż ja właśnie boję się tego oczarowania. Jeżeli teatr tak na mnie mocno podziałał, cóż dopiéro będzie z balem? I po co mi to wszystko poznawać? Po co zasmakowywać w łakociach, których wiém że los mi nie da po raz drugi? Czy na to, aby ich żałować na prowincyi, albo za kratą? O! Wolałabym stokroć na ten bal nie iść wcale. Cóż, kiedy nikt się nie pyta o moje zdanie. Gdybym przynajmniéj z wujaszkiem tam jechała! Ale niepodobna wymagać, aby tak długo czuwał, i to w tłoku, w gorącu. Pani Prezesowa sama się ofiarowała, że mię na bal zabierze, i nawet zajęła się mojém ubraniem. Wczoraj, w jéj karecie pojechałyśmy wszystkie trzy do jednego z pierwszych magazynów. Kochany wujaszek dał naprzód już zezwolenie na wszelkie wydatki jakich będzie wymagała moja toaleta balowa; ułożyłam ją sobie w głowie według moich upodobań, ale pani Prezesowa i jéj córka powiedziały mi, że panna, która pierwszy raz na bal idzie, musi koniecznie być biało ubrana, i bez ceremonii obstalowały dla mnie białą suknię. Troszkę mię to zmartwiło, bo wiém, że mi w białym kolorze nie do twarzy; moja oliwkowa cera szkaradnie wtedy wygląda; już i tak jestem sobie porządnie brzydka, cóż dopiéro będzie kiedy się ubiorę jak sylfida? Nie śmiałam się jednak sprzeciwiać; te panie lepiéj znają świat odemnie.

Są one bardzo grzeczne, ściskają mię co chwila, litują się nademną aż do zbytku. Nie mam jednak do nich, jak to mówią, nabożeństwa. Zdaje mi się, że nie są szczere i w całéj swojéj łaskawości dają nadto uczuć, że robią mi łaskę.

Panna Leokadia, dla któréj ten bal nie jest pierwszym, będzie miała strój cały różowy, nadzwyczajnie świetny i suty. Dowcipna to panna, ale.... za wiele żartuje.... wczoraj mówiła, że gdyby jéj matce nie przyszło na myśl wziąć mię do Resursy, zostałabym na całe życie parafianką. Te przycinki mię drażnią, a co mię jeszcze więcéj drażni, to jéj szał za tańcem; jeśli mam jéj wierzyć, wir balowy posiada jakieś zachwycenie, jakąś magią, których nie może miéć pojęcia kto sam ich nie zaznał. A gdyby téż to była prawda? Gdyby mnie ten bal miał przewrócić w głowie? Uzbrajam się jak mogę w siłę ducha i leczę się jak mogę na kaszel; jem karmelki, noszę wełniany szalik, a dziś nawet przez cały dzień z domu nie wyjrzałam, i błogosławię ten dzień wypoczynku, bo mi pozwolił rozpisać się do ciebie. I ty napisz-że do mnie, o twoich zajęciach, zabawach, o czém chcesz, tylko pisz.

LIST XIII.

Aniela do Teresy.

Poznań—30 Stycznia.

Istotnie, dawno już, Tereniu droga, nie miałaś listu odemnie. To wcale nie dowodzi, abym nie pisała do ciebie, owszem kończyłam list ogromny i miałam go już wysłać do Sandomierza, kiedy przyszedł pierwszy twój list z Warszawy. Ta zmiana miejsca sprowadziła zmianę w moich myślach, podarłam list pierwotny a nie wzięłam się zaraz do innego, bo twój liścik skreślony po przyjeździe był krótki i niedokładny; chciałam zaś najprzód wiedzieć na jaki ton cię nastroją karnawałowe przyjemności, i dopiéro o nich z tobą się rozmówić.

Dziś odebrawszy drugi list, siadam natychmiast do odpisu, choćby dla naprawienia waszéj toaletowéj omyłki. Moja Tereniu, jeżeli czas jeszcze, zaklinam cię na wszystkie trzy Gracye, odwołaj owę białą suknię, którą ci twoje przewodniczki złośliwie poradziły. Nie słyszałam o żadnym zwyczaju nakazującym na pierwszy bal białą suknię, a choćby zwyczaj nawet istniał, nie może być przecie takim tyranicznym, żeby się aż dla niego szpecić. Kiedy kochany wujaszek nie żałuje wydatków, niechże ci pójdą na korzyść. Twój kobiecy instynkt dobrze cię ostrzegał, tobie do twarzy nie w jasnych barwach, ale w surowych i silnych. Jabym do twego stroju wprowadziła głównie kolor pąsowy, albo gorąco-żółty, troszkę czarnego by téż nie zawadziło. Na bal kostiumowy naprzykład, ubrałabym cię za cygankę, w cekiny i pstrociznę, wyglądałabyś prawdziwie jak wróżka.

Gotowaś dziwić się, że ja domatorka, ja zwolenniczka rozsądku, biorę do serca płochą kwestyą stroju? Nie jest ona, według mnie, tak bardzo płocha; wszystko co się robi, na wielką czy małą skalę, powinno się robić dobrze. Po cóż idziemy na bal? Jedynie aby się zabawić. A wierz mi, niech co chcą mówią moraliści, kobiéta tylko wtedy się dobrze bawi, kiedy czuje że dobrze wygląda. Jest-to zadość uczynienie miłości własnéj zupełnie godziwe, a nawet obowiązkowe, bo od niego zależy dobry humor, ta dusza wszelkiéj rozrywki.

Oho! Już słyszę cię mówiącą: Na co strój się przyda osobie jak ja nie[...]adnéj?

Otóż moja droga, chciałabym raz już, na dobre z tobą się rozmówić o twojéj *mniemanéj nieładności.*

Na pensyi panny okrzyczały cię za brzydką, twierdząc żeś czarna i chuda. Ale niedorosłe panienki nie znają się na prawdziwéj piękności ani w sztuce, ani w naturze. Obraz? Ten dla nich piękny co jaskrawy. Osoba? Ta ładna co biała i różowa. Daléj nie sięga ich pojęcie. Wyższe stopnie piękna wymagają rzeczywistego znawstwa.

Ja, przypomnij sobie, zawsze im przeczyłam, na co odpowiadałaś: Tak mówisz bo mię kochasz. Aż i mnie brała wątpliwość i pytałam saméj siebie: Może to i prawda? Może Terenia dla tego tylko wydaje mi się najśliczniejsza, że patrzę na nią oczami przyjaźni.

Dziś widzę, że oczy mię nie myliły.

Od roku, napatrzywszy się kobiét po salonach, poznawszy jakie która wrażenie sprawia, zrozumiałam, że ty posiadasz najrzadszy rodzaj piękności, to co Francuzi nazywają: *beauté de caractére.* Ten rodzaj rozpada się jeszcze na różne gatunki; twój, możnaby nazwać po malarsku: typem szkoły hiszpańskiéj, i ręczę ci, że nie jedna dama wielkiego świata, posiadając twoję postać, uznałaby się za nierównie lepiéj obdarzoną, niż my *keepsekowe* figurki, z naszą mdłą cerą i niezapominajkowemi oczami.

W Sandomierzu ma się rozumiéć, hiszpańskie typy nie zrobią furore, chociaż i tam twój pan burmistrz, nie taki był gbur jak go pisano, kiedy cichaczem poznał się na tobie.

W Warszawie możesz się wydać we właściwém świetle, ale trzeba przyłożyć trochę starań, bo jeżeli twoja uroda wyższa od mojéj, za to wymaga więcéj dodatków i pielęgnowania. Ja włożę białą sukienczynę, ladajaką kokardkę, i już wiém, że mi do twarzy. Tobie w stroju potrzeba sztuki coby uwydatniła skryty urok.

Gdybyś miała najmniejszą skłonność do próżności, nie pisałabym w podobnym stylu. Ale że od kolebki grzeszyłaś przeciwną wadą, że nie znasz się na sobie saméj, muszę ci dodać bodźca i odwagi. Dbaj o siebie, uwierz troszkę w siebie, inaczéj, będziesz między ludźmi spłoszona i niezgrabna, bo powiadam ci, kobiéta co się ma za brzydką, w krótkim czasie istotnie się nią staje.

Kończę już ten list czysto damski, chcąc aby jak najprędzéj odszedł. O sobie powiem ci tylko, że nie raz, ale kilka razy już tańcowałam. Dziś także jadę na duży wieczór. Będę miała suknię bledziuchno-niebieską, ubiéraną w srebrzyste wodne liście i brylan-

towe trzęsidełko na głowie. Ubranie to zupełnie się udało, to też jadę z prawdziwą przyjemnością i wcale nie boję się balu. Nie taki on straszny jak go malują. Panna Leokadia nieznośnie przesadza, podnosząc go aż do zachwytów; jest-to sobie wyborna zabawa, ale widzieć tam jakieś wiry, jakieś czary, jest to mieszać wszelkie pojęcia, stosować skalę najwyższych uczuć do mrówczych drobnostek życia.

Baw się dobrze moja Tereniu w mrowisku waszém Warszawskiém, wyglądaj mi pysznie; a wróciwszy z tańców pomyśl o twojéj Anielce.

(c. d. n.)

KWESTYA WSCHODNIA
W NOWEJ FAZIE.

SKREŚLIL

T. T. Jeż.

(*Dokończenie*).

Grecya tedy, w nowéj fazie, jaką kongres dla kwestyi wschodniéj wytworzył, jawi się jako jedna z przyczyn zaburzeń przyszłych. Zobaczmyż, jak w téjże fazie wygląda Rumunia,

Do rozpatrywania się w rumuńskiéj sprawie, jak ona przedstawia się w obecnéj chwili, za punkt wychodni wziąć należy ten fakt, że Rumunia *wprosiła* się na teatr wojny. Rumuńscy mężowie stanu publicyści i historycy będą temu zaprzeczali, powołując się na świadectwo konwencyi i faktów. Konwencya nic we względzie tym nie mówi; co się zaś faktów tyczy, to te wykazują siłę rzeczy, która na drodze logicznych wyników sprowadziła w rezultacie potrzebę postąpienia tak a nie inaczéj. Okoliczności potęga jest wielką. Jakże się okoliczności nastawiły? Przed wybuchem wojny, w chwili gdy takowa stawała się coraz to bardziéj prawdopodobną, gabinet bukaresztski zwrócił się był do dworów, podpisanych na konwencyi paryskiéj, gwarantującéj byt Rumunii, głównie zaś do Berlina z prośbą o radę i z kategoryczném żądaniem sankcyonowania zbiorową Europy powagą zasady neutralności, którą ogłosić zamierzał. Na te prośbę i na to żądanie gabinety, nie wyjmuj[illegible] berlińskiego, odpowiedziały milczeniem, stawiając przez to Rumunią w po[illegible]łożeniu arcykłopo-

tliwém. Geografia ulokowała ją na drodze przechodu wojsk rosyjskich. Co miała począć?—opierać się?—krzyknąć „nie pozwalam!“ i uciec na Pragę?—udawać, że nie wié co się dzieje i traktować żołnierzy rosyjskich jak prostych pasażerów?—przybrać postawę biernéj rezygnacyi?—starać się z okoliczności korzyść jakowąś wyciągnąć?... O oporze myśleć nie mogła; protestowanie sensu by nie miało; biernemu zachowywaniu się przeszkadzała sama natura rzeczy: nie pozostawało jéj przeto, jak zastosować się do okoliczności, starając się wyciągnąć z nich, co się wyciągnąć da. Cóż się do wyciągnięcia przedstawiało? Sojusz z takiém jak Rosya mocarstwem, sam przez się, przedstawiał się jako korzyść moralna ogromna. Był to dla Rumunii zaszczyt, który, gdyby się na nim skończyć miało, wystarczał na usprawiedliwienie wmieszania się do wojny. Zaszczyt ów podnosiła obietnica niepodległości, stanowiącéj, od chwili zjednoczenia księstw rumuńskich, przedmiot gorących pragnień patryotów Mołdawii i Wołoszczyzny, cel ich zabiegów i temat niewyczerpany ćwiczeń publicystycznych. Nad tę obietnicę niczego więcéj domagać się nie mogli, gdyby się bowiem domagali, to by ich nie słuchano; gdyby zaś słuchano, to w epoce zawierania konwencyi nie przedstawiało się nic takiego, coby postawić się dało, ze strony Rumunii, jako żądanie, ze strony Rosyi, jako ustępstwo, lub téż, jako zobowiązanie. Zresztą Rosya żadnego we względzie tym zobowiązania brać na siebie nie mogła i nie potrzebowała, nie potrzebowała bowiem kupować sobie spółdziałania Rumuńców. Siły jéj wystarczającemi były do dopięcia zamierzonego celu. Rumuni przydali się ewentualnie, niezbędnymi jednak nie byli.

Zachodziła okoliczność jedna, która bukaresztskich mężów stanu, odcienia tego mianowicie do jakiego należał p. Bratiano et Co., parła do wzięcia w wojnie udziału. Stałém panów tych dążeniem było zmilitaryzowanie narodu. W kierunku tym działali i agitowali usilnie, gdy się nie znajdowali u władzy, pobudzając w ten sposób opinią publiczną, a przez nią rząd do zwracania bacznéj uwagi na organizacyą siły zbrojnéj, którą téż, o ile na to środki pozwalały, rozwijano i doskonalono ustawicznie, trzymając się modelów dawniéj francuskich, późniéj pruskich. To jednak nie wystarczało. Armia rumuńska, stosunkowo liczna, była armią od parady. Wartość jéj bojowa przedstawiała się jako zagadka. Za panowania Kuzy, użyta raz przeciwko powstańcom inorodnym, dała się pobić o dziesięć razy słabszemu przeciwnikowi. Nietylko nie bijała się sama, ale brakło jéj tradycyj, któreby w niéj utrzymywały ducha wojowniczego, a których nie zastępowały przedawnione wspomnienia z czasów Stefana *czel Mare* i Michała *czel wojnikul*. Wspomnienia te zresztą obce

były ludowi, zapełniającemu szeregi; korpus zaś oficerów, złożony z młodych bojarów, cechowało jeno naśladownictwo przywar, jakie się w armiach europejskich postrzegać dają. O wartości bojowéj armii téj nie świadczyło nic. Potrzeba było chrztu ognia, ażeby w niéj militarność wypróbować i rozwinąć; potrzeba było sposobności, ażeby chrzest możliwym uczynić. Sposobność się nastręczała. Nie można było młodego wojska w dogodniejszych w ogień prowadzić warunkach, jak w towarzystwie i pod skrzydłem armii rosyjskiéj. Skorzystano téż ze sposobności téj. Odezwy rządowe i rozumowane artykuły dziennikarstwa ministeryalnego, jakie się pojawiały w chwili, kiedy wojska rumuńskie ku Dunajowi, w celu przekroczenia onego, maszerowały, składają świadectwo zadowolnienia dumą podszytego, właściwego parweniuszowi, zaproszonemu na ucztę do magnata.

Do nastroju tego przyczyniła się niemało ta okoliczność, że tron hospodarski zajmował Hohenzollern. Hohenzollerni nie zwykli unikać sposobności powojowania, zwłaszcza gdy w perspektywie ukazuje się możliwość wywojowania czegoś. Potężny sojusznik nie zobowiązywał się wprawdzie w téj mierze do niczego, lecz inny był sojusznik, na którego rachunek przedstawiał szanse niejakie. Każda wojna kończy się pokojem, a każdy pokój poprzedzają pertraktacye. Pertraktacye odbywać się mające na gruncie kwestyi wschodniéj, zapowiadały z góry zbiorowo-europejską dyplomatyczną akcyą, a w téj, na poczestném miejscu, patryarchę Hohenzollernów rodu. Wydyplomatyzowanie przeto dla Rumunii, obok niepodległości, *czegoś jeszcze*, stanowiło nimb złotéj nadziei, opromieniający sztandary rumuńskie, powiewające nad hufcami, które z Oltenicy i z Kałafatu słały na brzeg przeciwny Dunaju pociski działowe i pod Plewną kompletowały obsaczenie Osmana paszy.

Rumuni spodziewali się, obok niepodległości uzyskać „*coś jeszcze*". Owemu „*coś jeszcze*" przypatrzéć się warto zbliska, wylało się ono bowiem po zakończeniu wojny potokami żalów, skarg i rekryminacyj. Czémże ono mogło być? w jakie nadzieja owa ubierała się ciało? czy nie unosiła się ona w próżni?.... Zapytanie ostatnie, wyrzeczone z odrzuceniem dwóch początkowych wyrazów, daje odpowiedź stanowczą. Pierwsze kroki wystąpienia rosyjskiego, formowanie bodaj w Rumunii legionów bólgarskich, znamionowały sprawę słowiańską, w obec któréj Rumunia zajmuje stanowisko anklawowe. Wkluczoną jest ona w otaczający ją do koła słowiański świat, w któréj rumunizm przenika odpryskami, pomieszanemi mocno z innemi narodowościami. Ani kolébka jéj, Siedmiogród, ani Banat, ani komitet

Marmaroszski, ani Bukowina, ani Bessarabia, nie są to ani tak czysto, ani nawet tak dalece przeważnie rumuńskie krainy, ażeby zjednoczone księstwa mogły rościć do nich pretensye na podstawie etnograficznéj. Podstawa historyczna nie jest także o wiele legalniejszą, odnosząc się jeno do Bukowiny i do północno-zachodniéj części Bessarabii, któréj część południowo-wschodnia stanowiła tak zwany Budżak, ten zaś nigdy, ani nawet za najświetniejszych czasów, nie podlegał władzy hospodarów multańskich. We względzie przeto owego „*coś jeszcze*“, mogącego się jeno tłómaczyć za pomocą przyrostu terrytoryalnego, odgadnąć trudno, w którą mianowicie stronę zwracać się mogły oczy patryotyzmu rumuńskiego. Nie ku Bukowinie w każdym razie, ani też ku północno-zachodniéj połaci Bessarabii, a zatém ku Bulgaryi, co nasuwa na myśl przypuszczenie, że liczył on na to, iż Rossya, wziąwszy w ręce swoje sprawę słowiańską, rozstrzygać ją będzie na korzyść sprawy rumuńskiéj, to jest, że w Bulgaryi wykroi dla Rumunii wynagrodzenie za waleczność, bez któréj obejśćby się ostatecznie mogła. Cóż ztąd wynikło? zawód srogi w nadziejach, zawód, który w niemożności wypowiedzenia wyraźnie, o co w istocie rzeczy chodziło, wyraził się pod postacią dwojakiéj pretensyi: o to, że traktat san-stefański nie zastrzegł i nie wyznaczył na korzyść Rumunii zwrotu kosztów wojennych i o to, że Rossya zażądała oddania jéj téj części Bessarabii, którą ustąpiła na mocy traktatu paryskiego, ofiarując Rumunii w zamian Dobrudżę.

Istota podwójnéj téj pretensyi rozbija się pomiędzy następującém podwójném zapytaniem: Czy Rossya, postąpiwszy sobie we względzie Rumunii, jak postąpiła, okazała się niesprawiedliwą, czyli téż nie dość wspaniałomyślną? Niesprawiedliwość wynikaćby mogła, ze złamania układów, z niedotrzymania przyrzeczeń, z niewynagrodzenia wreszcie odpowiednio usług żądanych i potrzebowanych. Skoro nie zaszło nic podobnego; gdy przytém Rossya, przypuszczając wojska rumuńskie do chrztu bojowego, wyświadczyła Rumunii usługę ogromną, zarzut niesprawiedliwości upada sam przez się i ustępuje miejsca zarzutowi drugiemu, tak nieokreślonemu, że gdyby była koszta wojenne podwójnie z własnéj wypłaciła szkatuły i Bessarabii nie odbiérała, ale jeszcze do niéj coś dodała, a do Dobrudżi przyłączyła sandżaki silistrzański, ruszczucki, szumelski i warneński, to i w takim razie we wspaniałomyślności odkryćby się dały braki jakieś. Na drodze pretensyi w ten wyrażającéj się sposób granicy nie ma. Idzie ona w bezmiar, z którego, gdy ją na grunt realny zwrócimy, to znajdziemy, że uskarżająca się Rumunia wyszła na wojnie bardzo dobrze. Zamiana Bessarabii na Dobrudżę nie jest stratą, a zyskiem. A najprzód, zamieniała 150 mil kwadratowych i 135000 mie-

szkańców na 239 mil kw. i 172000 mieszk.; powtóre zaś, straciła krainę stojącą pod względem produkcyjnym znacznie niżéj od téj, co się jéj w udziale dostała. W rzeczy saméj, Bessarabia niedawno rumuńska, w jednéj części bagnista, w drugiéj bezwodna i bezleśna, w pobliżu morza piaszczysta, pozbawiona, z powodu zamulenia Kilijskiego ujścia Dunaju, przyszłości handlowéj dla okolicy połowę prawie obszaru jéj obejmującéj, w porównanie iść nie może z Dobrudżą, zaopatrzoną hojnie w warunki dobrobytu. Gleba żyzna, lasów dostatek, wody brak uczuwać się jeno daje na południe od drogi żelaznéj łączącéj Czernowodę z Kiustendżą. Bessarabia dochodzi do morza, lecz żadnéj to jéj nie przynosi korzyści, gdyż na wybrzeżu tém, od ujścia Dunaju do Odessy, nie masz przystępu dla statków innych jak łodzie rybackie. Dobrudża zaś posiada dwa porty, Sulinę i Kiustendżę, i trzy przystanie wygodne, Kara Irman, Tuzlę i Mangalią, nie licząc jeziora Razin, które, z morzem połączone, wielkie oddaje usługi rybołóstwu, a mogłoby zdaniem znawców, za pomocą pogłębienia i oczyszczenia jednego z boghazów, zostać wygodnym portem wewnętrznym, przydatnym do utrzymywania marynarki wojennéj. Pomijając jednak to, co byćby mogło a nie jest, to sama ta okoliczność, że Dunaj od Silistryi do ujścia, z wyjątkiem krótkiéj pomiędzy ujściem Prutu a odłamaniem się Kilijskiego ramienia przestrzeni, na któréj lewy brzeg jest rosyjskim, staje się wewnętrzną rumuńską rzeką, i że Rumunia zostaje panią jedynego spławnego ujścia onéj, podnosi wysoko nowego tego niepodległego państwa powagę i znaczenie. Nie mają więc Rumuni słusznéj do rozwodzenia żalów i narzekań racyi. Wyszli oni na wojnie dobrze. Że zaś im tego za mało, to nie dziw, zwłaszcza jeżelibyśmy korzyści osiągnięte porównali z rojonemi, odnoszonemi do obszarów, jakie kiedykolwiek zajmowała Dacya starożytna. Pieszczochy fortuny, wydaje się im krzywdą wszystko, co wyniosłość ich lotu obniża i cel pożądań w dal usuwa. Krzywda największa, jaką im wojna wyrządziła, wyraża się za pomocą zawikłania finansów, albo raczéj, spotęgowania zawikłania tego, jakie przed wojną panowało. Na to rady innéj nie masz, jak rządność i oszczędność. Kraj bogaty i resursów pełen podoła długom, pod warunkiem, jeżeli władza więcéj się będzie troszczyła o podniesienie rolnictwa, przemysłu, handlu i oświaty, aniżeli o wielkość państwową.

Za krzywdę też biorą Rumuni włożony na nich przez kongres berliński obowiązek równouprawnienia żydów. Trudna jednak rada. Płynąć potrzeba z wodą. W Rumunii żydzi, pomimo upośledzenia, w jakiém ich prawodawstwo krajowe trzyma, zabiérają, z szybkością coraz to wzrastającą, stanowiska dominujące w ekonomicznym względ-

dzie. Przy równouprawnieniu, przewidywać można w niedalekiéj przyszłości chwilę, w któréj zajmą miejsca bojarów, stanowiących dotychczas główną inteligencyi narodowéj potęgę. Wypadek ten tém pewniéj przewidywać się daje, że Rumunia, z racyi resursów swoich i wielce dogodnego pod względem handlowym położenia, posiada dla potomków Izraela nieprzepartą siłę atrakcyi. Siłę tę neutralizowały prawa wyjątkowe. Wołoszczyzna, z wyjątkiem dawniéj w niewielkiéj liczbie osiadłych żydów hiszpańskich, dla żydów niemieckimi lub polskimi zwanych była krainą zakazaną. Nie wolno im było przekraczać wysychających latem nurtów Miłkowa. Obecnie zakaz ten już nie istnieje. Nic im nie przeszkodzi napełnić Wołoszczyznę po brzegi, jak napełniają Mołdawią i, za pomocą wypróbowanych sposobów, wziąć ją w garść, wprowadzając na miejsce czokoizmu żiupunizm.

Rumunia przeto w nową kwestyi wschodniéj fazę wchodzi niezadowolniona, niepodległa, sławą wojenną okryta i w żydów ubrana.

Obyż jéj przyszłość lekką była!....

Rzućmy z kolei okiem na Serbią, biorąc ją w tym momencie, kiedy ona, po wojnie, która ją znękała i po czerniajewskich eksperymentach, które jéj wiarę w siebie odjęły, zmuszoną się widziała traktat pokoju z W. Portą podpisać, uszczęśliwiona, że traktat ów przywracał ją do *statu quo ante*. Traciła wiele, cały nakład wojenny szedł na marne, ale téż i zyskiwała nieco, najprzód to więcéj, coby jeszcze stracić mogła, następnie zwrót zdobytych przez wojska tureckie okolic, nadewszystko zaś doświadczenie. Poznała lekkomyślność własną, z jaką się dała w wojnę uplątać. Dla Serbów, odznaczających się śród Słowian wysoko rozwiniętym zmysłem politycznym, było w tém, obok klęski materyalnéj, upokorzenie dotkliwe. Dali się wyprowadzić w pole:—komu jednak? Jedni obwiniali omładinę, inni młodego księcia. Ten ostatni przedstawiał się jako przedmiot ujętniejszy, aniżeli cokolwiekbądź innego, do dźwigania ciężaru odpowiedzialności, za krew przelaną, za kraj zniszczony, za pieniądze zmarnowane, za efekta potracone i za nadzieje zawiedzione. Sam fakt zawarcia pokoju w chwili, kiedy się w Konstantynopolu konferencya zbiérała, znamionować się zdawał, że wszystko skończone i na długo. Z tego powodu położenie księcia w obec narodu stało się niezmiernie drażliwém, i trzeba było takiego znękania i znużenia, jakie w zimie z r. 1876 na 1877 w Serbji panowało, ażeby się *proprio motu* nie zbiegła wielka skupsztina i nie zawołała na Milana tém samém „*nie tiemo!*“, które dziada jego, Miłosza i stryja Michała, zniewoliło było do opuszczenia tronu i kraju.

Niedojście konferencyi konstantynopolskiéj i wojenne nastawienie się interesów położenie Milana pogorszało. Serbowie, odnosząc wypadki do siebie, wytłómaczyć sobie nie umieli tego, co się dzieje. W przekonaniu, nabytém w epoce sposobienia się do pierwszéj z Turcyą wojny, że na Bałkańskim półwyspie o nich, jeżeli nie wyłącznie, to głównie chodzi, pojąć nie byli w stanie znaczenia i celu téj wojny, którą wydaje Turcyi Rosya, a wydaje w takim tonie i z takim akcentem, jakby dla niéj Serbia nie istniała wcale. Miłość własna, rozwinięta w Serbach w stopniu wysokim, cierpiała na tém mocno. Niezadowolnienie było wielkie. Poczęto mówić o Karagiorgiewiczu i dawać posłuch agentom internacionalu. Ten nastrój umysłów nie rokował nic dobrego, i przypuszczać się godzi, iżby katastrofę jakąś do zażegnania trudną sprowadził, gdyby nie rozpoczęła się była tymczasem nad Dunajem wojna, która na siebie całą zwróciła uwagę.

Wojna wielką Serbii, większą jednak księciu Milanowi przysługę oddała. Dzięki jéj, wewnątrz kraju panował spokój, utrzymywany wyczekiwaniem na to, co się stanie i roztrząsaniem tego, co zaszło. Podróż księcia do Rumunii, celem złożenia hołdu przyjeżdżającemu na teatr wojny monarsze rosyjskiemu, przyczyniła się wielce do uspokojenia umysłów, dając onym na pastwę zadanie do rozwiązania: czy Serbja w wojnie pomiędzy Rossyą a Turcyą weźmie udział, czy też nie weźmie? Wypadki świadczą, że wzięcie udziału postanowioném zostało z góry i że jedna tylko Anglia sprzeciwiać się temu mogła na seryo, nie dając jednak sprzeciwianiu się swemu akcentu wyraźnego, a to dla téj przyczyny, że nie mogła onego popierać inaczéj, jak tylko słowami. Gabinet londyński za dużo posiada doświadczenia i taktu dyplomatycznego, ażeby srożyć się i z pogróżkami występować miał tam, gdzie akcyi dyplomatycznéj skombinować nie może z akcyą floty wojennéj. Serbji ani jeden kawałeczek gruntu nie leży pod dosięgłością armstrongów angielskich. Dla tego też sprzeciwianie się Anglii być musiało nader miękkiém i wcale niestanowczém, działając, że się tak wyrazimy, z po za plec Austryi, któréj, z samego położenia geograficznego, pierwsza w téj mierze przypadała rola. Ta była w stanie sprzeciwić się skutecznie. Czy sprzeciwiała się jednak? Pogłoski, szerzone w czasach owych, i półsłówka, jakiemi ministrowie austryaccy zbywali ciekawych w obu połowach monarchii, którzy interpelowali rząd na drodze parlamentarnéj, dawać się zdają na zapytanie powyższe odpowiedź potwierdzającą. Gdyby atoli tak było, toć Serbia ruszyćby się nie śmiała; ponieważ zaś ruszyła się, więc zapewnienie mieć musiała, że się Austrya nietylko nie sprzeciwia, ale nie ma nic przeciwko akcyi

wojennéj serbskiéj. Na pozór przybranie postawy takiéj w téj kwestyi specyalnéj wygląda przynajmniéj dziwnie. Przestaje atoli być dziwném, gdy zastanowimy się bliżéj nad pobudkami postępowania gabinetu wiedeńskiego ogólnemi, od początku do końca, postępowania, które stale, jednostajnie, wbrew i naprzekór turkofilskim manifestacyom w Węgrzech, przychylném się okazywało Rossyi. Na potwierdzenie słów tych, przypomnimy jeno usługi, jakie, z pogwałceniem obowiązków neutralności, koleje austryackie oddawały armii rosyjskiéj. Postępowanie to nie było bez racyi, racya zaś tkwić nie mogła w czém inném, jeno w obrachowaniach, odnoszących się do wątpliwości nieulegającego rezultatu zapasów wojennych. Austrya widziała z góry Turcyą pokonaną; widziała z góry interwencyą europejską w układach pokojowych; widziała z góry możliwość wypośrodkowania za pomocą układów korzyści jakowejś dla siebie. Z góry też miała oko na Bośnią i Hercegowinę. Od lat trzech sprawa ta stała w Austryi na porządku dziennym, gromiona na meetyngach węgierskich, omawiana wszechstronnie przez dziennikarstwo. Interes jéj przeto wymagał tego, ażeby gestem najmniejszym nie zdradzała zbytniéj troskliwości o integralność państwa Ottomańskiego, troskliwości, któréj logicznym następstwem byćby musiało to, iżby zabroniła sobie zabrania przyległości dalmatyńskich. Przeciwnie. Im bardziéj integralność owa zagrożoną by była, tém pomyślniéj interesa się jéj układały. Ten nie inny jest powód, dla którego nie sprzeciwiała się, nie powstrzymywała Serbii na drodze jéj postanowienia; czekając końca cierpliwie, pozwalała wypadkom na półwyspie rozwijać się swobodnie. Serbia przeto, bez żadnéj ze strony potężnéj sąsiadki przeszkody, złamała niedobrze jeszcze oschły traktat z Turcyą i, bez najmniejszéj o tyły swoje obawy, wystąpić mogła w pole.

Zachodzi pytanie: dla czegóż z wystąpieniem w pole tak długo zwlekała? czemu nie uczyniła tego równocześnie z Rumunią? czy nie dowierzając szczęściu oręża rosyjskiego, czekała na upadek Plewny? Zwlekanie Serbii tłómaczy się naturalnie, bardzo jasno i samo przez się. Zniszczoną była do gruntu, znękaną i środków pozbawioną. W wojnie z Turcyą r. 1876 postawiła była na kartę wszystko i przegrała: zdezorganizowała sobie siłę zbrojną; straciła część znaczną materyałów w ludziach, zabitych i rannych; materyał w orężu, w amunicyi i w efektach wymagał przysposobienia. Fabryki broni kragujewackie i ludwisarnie nie były w stanie załatwić się dość prędko, chociażby tylko o reparacyą chodziło, a przytém, co nie jest rzeczą małoważną, kontyngens serbski wojenny pozostaje całkowicie po za szeregami; należy go powoływać, do powołania zaś nie posiada rząd

w armii na stopie pokojowéj dostatecznéj powagi i siły. Nie mogła więc Serbia z dziś na jutro zerwać się i wystąpić. Zwłoka była konieczną, a byłaby się w nieskończoność przeciągnąć musiała, gdyby nie subsydya pieniężne, dzięki którym mogła nakoniec po upadku Plewny, rychléj wszelako aniżeli Grecya, wziąć w wojnie udział.

Udział ten pomyślnie wypadł dla oręża serbskiego. Rzecz to atoli podrzędna, zważywszy na wielkie ułatwienia, jakie na drodze swojéj spotkała akcya wojenna. Wojska tureckie, szczupłe co do liczby i zdemoralizowane, nie były w stanie stawić należycie czoła hufcom serbskim, wetującym sobie zeszłoroczne cięgi. Szło więc tym ostatnim łatwo i prędko; posuwały się naprzód zwycięsko; zawieszenie broni powstrzymało je na drodze sukcessów, na któréj wyprzedziła je armia rosyjska.

Nastąpił pokój san-stefański; nastąpił kongres berliński.

Gdyby Serbia nie była stoczyła w r. 1876 wojny, poczętéj w szerokich wyswobodzenia południowéj Słowiańszczyzny celach, rezultat pokoju w San-Stefano, bardziéj zaś jeszcze rezultat kongresu w Berlinie mógłby ją zadowolnić zupełnie. Zyskała, pod względem obszaru i nabytku w poddanych, więcéj i bezwzględnie i stosunkowo aniżeli Rumunia, bo 210 mil. kwadr. i 280.000 mieszkańców. Przyrost ten atoli wart mniéj aniżeli Dobrudża, ani bowiem granic nie zaokrągla, ani téż we względzie handlowym nie zapewnia korzyści osobliwych. Trudna jednak rada. Położenie Serbii nie pozwalało wykroić dla niéj wynagrodzenia w innéj stronie, chyba iżby jéj przyznano, okrom tego co przyznano, Bośnią jeszcze i starą Serbią. Ale Bośnią zabrała Austrya, a Stara Serbia pozostała przy Turcyi. O krainach tych pomówimy na swojém miejscu, tu zaś zaznaczamy jeno niezadowolenie Serbii, podobne, jak jedna do drugiéj dwie wody kropli, do niezadowolnienia Rumunii. Różnica odnosi się do możliwych następstw, groźniéj się zapowiadających ze strony Serbii. Rumunia najmniejszego na zamieszkujące Bałkański półwysep narodowości nie wywierała i wywierać nie może wpływu politycznego. Serbia wpływ ten wywierała i wywierać może. Powinowactwo krwi zapewnia jéj takowy, przedewszystkiém w Bośni, nie mniéj jednak i w innych kierunkach, sięgających z jednéj strony po za Alpy Dynarskie, z drugiéj po przez Dunaj i Sawę. Czy z możności téj korzystać zechce? to inne pytanie. W każdym razie, trudno jéj będzie rozstać się z tą myślą, z którą się zrosła, że zadaniem jéj bytu jest zostanie Piemontem południowo-słowiańskim. Traktat san-stefański i kongres berliński strąciły ją z tego wyrojonego, wypieszczonego i wychuchanego piedestału. Dla tego też można z jéj strony spodzie-

wać się tego, co nosi nazwę brużdżenia i co gabinetom interesowanym w kwestyi wschodniéj da nie jeden twardy do zgryzienia orzech.

Grecya niezadowolniona, Rumunia niezadowolniona, Serbia niezadowolniona: może przeto Czarnogóra z zadowolnieniem z krwawéj wyszła kąpieli?

Czytaliśmy w swoim czasie w dziennikach, że pełnomocnik księcia Nikity podskoczył z uradowania wielkiego, kiedy mu pokazano na mapie granice, jakie traktat san-stefański ojczyznie jego zakreślił. O podaniu tém powiedzieć można: *si non e vero e bene trovato.* Wyobraźnię pełnomocnika zafrasować mógł rozrost księstwa, duszącego się dotychczas w ciasnocie zbytecznéj. Rozszerzenie przeto granic, osobliwie zaś otworzenie przystępu do morza jest dla Czarnogóry dobrodziejstwem, ale względném; a względném dla dwóch powodów: raz dla ograniczeń, jakie je warunkują, powtóre, dla konfliktów, jakiemi są brzemienne. Ograniczenia, tyczące się używalności morza, oddają do pewnego stopnia państewko za niepodległe uznane pod opiekę Austryi. Ile w tém upokorzenia i niedogodności, nad tém rozwodzenie się zbyteczném by było. Gdyby jednak dało się, bądź opiekę tę usunąć, bądź też urządzić znośny z Austryą *modus vivendi*, to i w takim razie pozostanie ujemna tego nabytku strona, wynikająca z saméj natury gruntu, z właściwości topograficznego położenia. Naturalnym w odniesieniu do Czarnogórza portem jest nie Antiwari, położona w najskrajniejszéj południowo-zachodniéj kończynie onego, ani Spitza, ani Budna nawet, ale Cattaro (Kotor), ku któremu ono cięży całkowicie. W Cattaro, w zatoce Kotorskiéj, znajduje się punkt wagi jego ekonomicznéj i handlowéj. Antiwari odnosi się do doliny Driny, niewkluczonéj w nowe granice Czarnogóry, która, jeżeli się tego portu domagała, to najprzód dla tego, że domagać się innego nie mogła, powtóre dla tego, że chodziło jéj nie o handlowe dogodności, a o uzyskanie jakiegokolwiek na morze wylotu, celem ułatwienia sobie sprowadzania broni i amunicyi. Czy dopięła celu tego? Wcale nie. Pani przystępu do morza będzie musiała i nadal, omijając dozór austryacki, przekradać kontrabandę wojenną. Wskórała więc na morzu niewiele. Co się zaś tyczy konfliktów, jakiemi zagrażają jéj terytoryalne nabytki, to te odnoszą się do porzecza Moraczy i do okolic jeziora Skadarskiego. Kraina ta, dzięki nieustającemu prawie od wieków stanowi wojennemu, wyludniła się z żywiołu serbskiego. Miejsce Serbów zajęli Arnauci. Tych będzie potrzeba albo orężem do posłuszeństwa nowéj władzy zmusić, albo też z kraju wyrzucić. W pierwszym razie otwiéra się perspektywa niewesoła długiego szeregu wojen domowych,

w drugim—uzyska Czarnogóra sąsiedztwo, które jéj długo, długo odetchnąć spokojnie nie da. Na granicy północnéj, gdzie dostał się jéj Niksicz z przyległościami, położenie również osłaniają barwy posępne. Tam sprawa hercegowińska na rozwiązanie czeka, a czeka pomimo, że ją w ręce swoje wziął gabinet wiedeński, odgrażający się misyą cywilizacyjną. Przed misyą tą, któżby czoła nie uchylił!.... Mimowolnie jednak rodzi się, co do tego, w umyśle wątpliwość, gdy się pomyśli o Bokhezach, których Austrya cywilizowała, cywilizowała i ani to z nich sobie nader wiernych zrobiła poddanych, ani téż wyróżnić ich tak bardzo zdołała od nawpół dzikich poddanych księcia Nikity. Bokhezi służą we względzie tym jako precedens; precedens zaś ten wskazuje, że uspokojenie i racyonalne zadowolnienie Czarnogóry polega nie na takiém nakreśleniu jéj granic, jakiego kongres berliński dokonał, ale na oddaniu jéj całego tego kottorskiego wybrzeża, które pozostaje we władaniu Austryi. Waga sprawy czarnogórskiéj spoczywa tam—w Cattaro, nie gdzieindziéj. To nietrudno zrozumieć; nietrudno téż przewidzieć, że zadowolnienie czarnogórskie potrwa tak długo, jak długo trwa żywot motyla; nowe granice, mimo przymorze, okażą się równie ciasnemi jak stare; i znów niebawem rozpocząć się musi stara historya, polegająca na wylatywaniu sokołów z gniazda.

Nie wspominamy o kolejach wojennych, jakie przechodziła Czarnogóra. Cóż bo jest o nich do wspominania? to chyba tylko, że dają świadectwo braku poczucia solidarności, zachodzącego pomiędzy księstwem Czarnogórskiém a księstwem Serbskiém. Brak ów zamanifestował się w czasie wojny r. 1876, a okazał szczególnie na skombinowanéj operacyi, do któréj ze strony serbskiéj wyznaczonym był korpus gnła Zacha. Zadanie tego korpusu polegało na opanowaniu jedynéj drogi komunikacyjnéj, łączącéj przez Nowibazar i Sienicę państwo Ottomańskie z Hercegowiną i Bośnią, zależało zaś od spółdziałania Czarnogórców, którzy tak się urządzili, że przez cały czas wojny nie wysłali w tę stronę ani jednéj czety junaków. Ani się dowiadywali, co się z Zachem dzieje; mimo że ten kilkakrotnie próbował uwagę sprzymierzeńców ściągnąć na siebie. Serbia toczyła wojnę na swoję rękę, Czarnogóra na swoję. Korzyść jedyna a ogólna dla sprzymierzeńców polegała na spółczesności akcyi wojennéj, sprowadzającéj dywersyą wzajemną. Ta wszakże nie przeszkodziła temu, że Serbia, oddzielnie pokonana, zmuszoną została do proszenia oddzielnie o pokój. Czarnogóra prowadziła wojnę daléj; byłaby atoli i ona do proszenia o pokój zmuszoną, gdyby nie wypadki nad Dunajem. Doczekała się dywersyi rosyjskiéj, a z nią sukcesów oręż-

żnych, stanowiących uwieńczenie homerycznych bojów, które oczekują na poetów i malarzy.

Od sprawy czarnogórskiéj prostém i naturalném jest przejście do sprawy hercegowińsko-bośniackiéj. Hercegowina ostatnim wypadkom na Wschodzie początek dała, początek, o którym w swoim czasie rozpisywano się szeroko, przenosząc podejrzenia z jednego „palca“ na drugi. Podejrzywano kolejno „palec“ czarnogórski, „palec“ serbski rządowy, „palec“ serbski omładiński, „palec“ rosyjski, „palec“ nawet austryacki (podróż znana Franciszka Józefa po Dalmacyi, która poprzedziła wypadki). Zbadanie tajemnicy „palca“ owego przedstawia się jako wielce ciekawy przedmiot studyów szczegółowych. My atoli w szczegóły wdawać się nie możemy,—ani pora, ani miejsce po temu; z ogólnego zaś na rzeczy te zapatrując się stanowiska, widzimy w powstaniu hercegowińskiém bardzo wyraźnie po nad wszystkiemi możliwemi palcami palec turecki. Powstanie wywołali Turcy sami,—w jaki sposób? o tém pisaliśmy już w „Ateneum“ (zob. Ateneum z r. 1877, za Kwiecień i Maj, „Słowiańszczyzna Południowa“). Gdyby nie oni, żaden poradzićby nie zdołał palec. Pierwotna, istotna przyczyna tkwi w nich, wszystko inne zresztą, coby o szczegółach ruchu powiedzieć się dało, jest prostym, logicznym a naturalnym przyczyny téj wynikiem. Hercegowińcy nie potrzebowali żadnego „palca“ do porwania się do oręża; znajdowali takowy na gruncie; Czarnogóra zaś i Serbia, samym widokiem swoim, służyli im za podnietę. Widzieli w nich antecedens. I one niegdyś uchylały kornie głowy przed handżarem tureckim. Przykład ich zachęcał do próbowania szczęścia na téjże saméj drodze; *planiny* i *szumy* (góry i lasy) nadawały się na wygodny punkt wychodni do rozpoczynania walki o swobodę kiedykolwiek. Rozpoczynali téż ją często. Czy to tak dawno bili się pod Łuką Wukałowiczem?

Ta ciągłość insurrekcyjna, ta niepoprawność buntownicza, czysto a nawskroś instynktowa, posiada przymioty, równające ją z wysokim a bardzo subtelnym rozumem politycznym. Zobaczmyż, na czém ów rozum polega. Hercegowińcy nie mogli z jarzma tureckiego własnemi wyłamać się siłami; nie mogli obejść się bez pomocy zewnętrznéj; nie mogli pomocy téj ani wyprosić, ani wymodlić, ani wydyplomatyzować, i nic pozostawało im przeto innego nic, jak tylko sprowadzić ją gwałtem prawie, wykołatać orężem, wyraźnie mówiąc, powstać w takim momencie, w którymby była ona faktycznie możliwą. Moment tego rodzaju ukrywał się głęboko w tajemnicach dyplomatycznych, których oni zbadać w stanie nie byli. Należało przeto postępować tak, jak postępują żołnierze na polu bitwy, co strzelając na chybił trafił puszczają kulę, ażeby sama winowajcy szu-

kała, to jest, powstawać tak długo, powstawać póty, aż jedno z powstań samo utrafi na moment sposobny. Było to instynktowie, zarazem jednak rozumnie, czyli, zapatrując się na ten szczegół z punktu ogólnie dziejowego, postępowanie Hercegowińców wchodzi do kategoryi tych faktów, które składają się na akcentowanie wielkiéj ewolucyi historycznéj, znamionującéj rozwój ludzkościowy, a odbywającéj się w czasach naszych. Powstawali, aż po szeregu wybuchów daremnych, w których zawsze oglądali się na pomoc Czarnogóry i Serbii, na interwencyą Austryi i Rosyi, powstali i w moment sposobny utrafili. Dzięki zabiegom dyplomatycznym, nieustającym od czasu traktatu paryskiego a wzmożonym od wojny francusko-pruskiéj (rewizya trakt. par. w Londynie), kwestya wschodnia przygotowaną została do rozwiązania, wymagającego, wyrażając się figurycznie, podłożenia zapałki pod nagromadzone materyały palne. Zerwanie się Hercegowińców stało się właśnie zapałką ową. Z téj to racyi, pomoc, napróżno niegdyś tylokrotnie wyglądana, znalazła się dla nich wnet, w ludziach, w radach, w orężu i w pieniądzach. Pospieszyła z takową Czarnogóra, pospieszyła i Serbia. Znalazła się też i interwencya. Wysoka Porta, od pierwszych niemal strzałów poznawszy co się święci, okazała gotowość do wielkich na rzecz buntowników ustępstw: przebaczała im, do łask ich przypuszczała, samorządem prowincyonalnym obdarzała. Chodziło jéj o zażegnanie burzy, która do zażegnania już nie była. Turcya powinna była w r. 1875 jeszcze zacząć do wielkiéj sposobić się wojny, jak skoro Austrya statkom jéj, dowożącym wojska i amunicyą, wzbroniła wstępu na kleckie wody. Był to pierwszy znak widomy dyplomatycznéj akcyi, minującéj grunt kwestyi wschodniéj, pierwszy oraz znak tego, że gabinet wiedeński skierował wędkę po nad mętne wody, a mianowicie, po nad wody bośniackie. Wzbronienie to nagłe miało znaczenie bardzo wyraźne. Gabinet wiedeński uważał zrazu Hercegowińców za prostych buntowników przeciwko władzy prawowitéj i sprzyjał téj ostatniéj; okręty przewozowe tureckie swobodnie wpływały do zatoki kleckiéj, przybijając do wybrzeża, będącego własnością ottomańską; zmienił atoli zapatrywanie się; dostrzegł, czego nie widział przedtém, że Turcya posiada wprawdzie prawo własności do wybrzeża, ale nie do obmywających je wód i zamknął dla prawowitéj władzy jedyną wygodną drogę, którą ona dostawiać mogła wojska, celem stłumienia buntu, popieranego już w epoce onéj otwarcie przez Czarnogórę. Z buntu hercegowińskiego wysnuł się bośniacki; z popierania czarnogórskiego wyszło serbskie. Hercegowina i Bośnia akcyą powstańczą przylgnęły: pierwsza do Czarnogóry, druga do Serbii, niby do rezer w naturalnych, z których płynęła do nich

pomoc wszelakiego rodzaju w obfitości takiéj właśnie, jakiéj potrzeba do utrzymania zarzewia w stanie palącym się ustawicznie ogieńkami gęstemi. W téj epoce powstania nie potrzeba już poszukiwać „palców“: widne są one. Czarnogóra i Serbia zachęcane zachęcały i same się do akcyi sposobiły.

Rola, jaką odegrała Austrya w stopniowym wypadków tych rozwoju, na szczególną zasługuje uwagę. Wypadki rozdzielają się pomiędzy cztery epoki następujące jedna po drugiéj: pierwsza powstanie hercegowińsko-bośniackie, druga wojna przeciwko Turcyi czarnogórsko-serbska, trzecia wojna rosyjska z wkluczeniem do onéj konferencyj konstantynopolskich, czwarta kongres berliński. W pierwszéj gabinet wiedeński zachowywał się najprzód przyjaźnie w obec Turcyi, następnie postępowanie zmienił i z jednéj strony utrudniając władzy tureckiéj operacye wojenne, z drugiéj—dawał przytułek chroniącym się na terytorium jego powstańcom. W drugiéj powstanie osłabło, zeszło na plan drugi, stanęło jako partyzantka w stosunku do sił zbrojnych regularnych, reprezentowanych przez Czarnogórę i Serbią, których wystąpienie przeciwko Turcyi orężne byłoby nastąpić nie mogło, gdyby nie Austryi zezwolenie. Nie mówimy, rzecz prosta, o zezwoleniu wyraźném, głośném, dokumentalném, ale o dyplomatyczném. Jeden ze strony Austryi gest, a żadne omładiny, żadne agitacye, żadne najpoważniejsze namowy nie byłyby w stanie, Serbii zwłaszcza, wypchnąć w pole. Austrya jest jéj zaplecznikiem geograficznym: gdyby przeto zaplecznik ów kazał się domyślać jeno, że mieć może ochotę pogonić w pięty, czyżby Serbia odważyć się mogła pójść naprzód i kraj cały na łaskę i niełaskę mu wypuścić?... Epokę trzecią upamiętniają kolejne srożenia się i spuszczania z tonu gabinetu wiedeńskiego, partego do zainterweniowania na korzyść Turcyi przez Anglią i przez Węgrów. Odgrażał się, czekając wciąż na coś, ażeby się wmieszać ze swojém *veto*. Czekał najprzód na rezultat plewnieńskiéj rozprawy i miał nie pozwolić rosyjskiéj armii przekroczyć linii bałkańskiéj; czekał następnie na rezultat przekroczenia i miał nie pozwolić Serbii wystąpić na teatr wojny powtórnie. Nic nie pozwolił na nie, a tylko zaciągnął 60 milionów złr. pożyczki na cele utrzymania powagi głosu austryacko-węgierskiego i w parlamentach obu połów monarchii wypierał się, za pomocą gry wyrazów, zamiaru zajęcia Bośni i Hercegowiny. O zamiar ten podejrzywanym już był silnie. Wypierał się jednak. Mimo to istniał on już natenczas, powziętym zaś został nierównie wcześniéj około tego czasu, kiedy Turkom wstępu na zatokę klecką wzbroniono. Świadczy o tém całe od owéj chwili do kongresu berlińskiego Austryi postępowanie. Powzięła zamiar i, jak twierdzą niektórzy, wahała się; nam

jednak widzi się, że to co na wahanie się wygląda było następstwem obmyślonego planu, nakazującego jéj czekanie. Czekała, ażeby dojrzały owoc sam jéj do kosza wpadł. Ci co wahanie się gabinetowi wiedeńskiemu przypisują, surowo mu to naganiają (zob. *Allg. Augs. Zeitung*, *Journ. des Debats* i inne poważniejsze dzienniki) i mocno zachowywanie się jego krytykują. Równa nagana i równa krytyka należy się i czekaniu. Powiadają: „czas płaci, czas traci.“ Austrya przeczekała sposobną porę, kiedy w Bośni i Hercegowinie odegrać mogła rolę pacyfikatorki i rozjemczyni. Przemądrowała—że się tak, dla dobitności, wyrazimy. Gdyby była wkroczyła wcześniéj, wkraczać by musiała z Rosyą lub przeciw Rosyi, za Turcyą lub przeciw Turcyi. Czy tak, czy owak, krok ten we właściwéj dokonany chwili, miałby poważne znaczenie militarnéj akcyi, któraby przeciwników onéj grozą napełniła. Psychiczny moment stosownie pochwycony posiada siłę nieprzepartą. Zresztą, sama siła rzeczy ułatwiłaby okupacyjne zadanie: przypuściwszy bowiem, iżby szeregi austryackie wkroczyły były pod egidą aliansu z Rosyą, to miałyby przeciwko sobie ludność mahometańską, ale za to ludność chrześciańska obu wyznań otwartemi przyjęłaby je ramiony; gdyby zaś Austrya wkroczyła w charakterze aliantki tureckiéj, w takim razie mahometańscy bejowie i spajowie i chrześcianie katolicy stanęliby przy niéj. W tym i w owym razie liczyć by mogła na znaczną większość populacyi miejscowéj, na jéj, w razie potrzeby, czynne i życzliwe współdziałanie. Tak zaś—co? Do wkroczenia wybrała moment, gdy obecność jéj zgoła nie jest w Bośni i Hercegowinie potrzebną, gdy cele jakiemi się osłania, nie mają ani znaczenia, ani sensu. Że cele inne, nieproklamowane, są na widoku, o tém mówiliśmy powyżéj, gdyśmy kwestyą wschodnią ze stanowiska dyplomatycznego rozpatrywali. Rozpatrując ją wszelako ze stanowiska narodowego, brać potrzeba na uwagę to, czém narodowi oczy mydlą, i to jakiém sercem mydlenie naród przyjmuje. Owóż cele owe, które ger. Filipowicz tak pięknie w sentymentalno-oficialnéj wyraził prozie, wystąpiły nie w porę—o rok jaki zapóźno—i pojawiły się w warunkach, których usprawiedliwienie ogromnym podlega trudnościom. Ta niewczesność i te trudności w fałszywéj Austryaków stawiają pozycyi, co z tego się już pokazuje, że dawniejsi powstańcy i dawniejsi powstańców pogromcy, podawszy sobie dłoń zgody, przyjmują ich nie chlebem i solą, a kulami. Czy to tak się przyjmuje pacyfikatorów i rozjemców? Austryacka różczka oliwna wywołuje symptomata zgoła nie pokojowe, co zaś gorzéj, zagraża rozbudzeniem tych namiętności, które drzémały przez ciąg cały walki zawziętéj.

Mając przeciwko sobie przeważną większość ludności, Austrya-

cy nie mają pod nogami gruntu—muszą więc stworzyć sobie grunt sztuczny. Jakże to zrobić mogą? Na to jeden jest tylko, od wieków znany i wypróbowany sposób, polegający na ujęciu dla siebie mniejszości. Sposobu tego cztery wieki temu chwycili się byli Turcy, gdy w zamian za wiarę zapewnili włastielinom prerogatywy społeczne. Dawniejsi włastielini, dzisiejsi bejowie i spajowie, wespół ze wczorajszymi powstańcami, stanowią większość ogromną mieszkańców, występujących w obec austryackiego zaboru nieprzyjaznie. Przeciwko nim postawić potrzeba mniejszość, czy to miejscową, czy też napływową, dla której wynaleść należy jakąś wyróżniającą ją, a zarazem do austryackich sztandarów przywiązującą cechę. Cecha tego rodzaju może być albo polityczna albo społeczna, albo religijna. Dwie, pierwsze trudne są do sfabrykowania w czasach naszych naprędce, mimo że rząd wiedeński, wabiąc na urzędy do Bośni Polaków, celem nadania im téj niezaszczytnéj funkcyi, jaką w Galicyi do r. 1853 pełnili Czesi, pomyślał już o piérwszéj; nie przewidywał atoli wyższego ze strony Bośniaków oporu, udaremniającego do pewnego stopnia polityczne cehowanie mniejszości. Pozostaje mu przeto do rozporządzenia trzecia jeno, do któréj materyał znajduje się na gruncie, pod postacią ludności wyznania katolickiego. Ta, podniesiona, wyróżniona i ufaworyzowana, posłużyć może jako grunt. Austrya wprawdzie w państwowym względzie nie jest już dziś katolicką; konstytucya, równouprawniająca wyznania, oddzieliła religią od państwa—sekularyzowała to ostatnie; ale... wiele ten czyni, co musi, zwłaszcza że Bośnia nie została jeszcze wkluczoną do kompleksu państwowego.

W czasie powstania o religii mowy nie było; stawali buntownicy przeciwko władzy; bili się poddani—rajowie—o swobodę bez różnicy wyznania; z szeregów powstańczych nie wypychano nikogo, dla tego, że katolik, izraelita, a nawet muzułmanin:—owszem, wabiono ich do takowych, muzułmanów zwłaszcza. Świadczą o tém manifesty i odezwy powstańców, manifesty i odezwy książąt Czarnogóry i Serbii, jako też fakta same. Władze tureckie ze swojéj strony wystrzegały się pobudzania fanatyzmu religijnego. Austryą dopiéro fałszywość położenia stawia w konieczności szukania w tym ostatnim punktu oparcia. Będzie musiała używać na ten cel franciszkanów; będzie też zapewne musiała wezwać na pomoc czczonego powszechnie w południowéj Słowiańszczyznie, przez katolików i prawosławnych zarówno, Strossmajera, biskupa diakowarskiego: zachodzi jeno pytanie czy Strossmajer użyć się da za narzędzie do naprawiania błędów polityki austryackiéj i prostowania jéj ścieżek.

Że Austrya opór złamie, mogąc na grunt bośniacki wprowadzić

drugie i trzecie dziewięćdziesiąt tysięcy wojska, że kraj w końcu upacyfikuje i mieszkańców do posłuszeństwa zniewoli, to wątpliwości nie ulega najmniejszéj. Prędzéj, późniéj, nastąpić to musi. Nie zdoła atoli wydrzéć niezadowolnienia z duszy narodu, który nie w tym celu hojnie krew przelewał, ażeby z pod panowania tureckiego przejść pod austryackie, albo pod węgierskie, niewiadomo bowiem do któréj z dwóch połów monarchii wkluczona będzie Bośnia z Hercegowiną. Czy wszakże wkluczoną zostanie do Węgier, czy do Austryi, rzecz to mniejszéj wagi. We względzie tym zachodzi kwestya sosu. Rzecz główna stanowi niezadowolnienie, pochodzące z chybienia celu walki, celu, który tą się odznacza osobliwością, że w manifestach i proklamacyach wyraził się inaczéj, aniżeli się wyraża w narodowych aspiracyach. W manifestach i proklamacyach Hercegowina zdradzała ochotę zlania się w jedno polityczne ciało z Czarnogórą, Bośnia—z Serbją. Aspiracye narodowe co innego na widoku mają. Wytykają one sobie za cel niepodległość, wynikającą nietylko z tradycyj, ale oraz i—że się tak wyrazimy—z natury gruntu społecznego, w Czarnogórze i Serbii jednolitego, w Bośni i Hercegowinie różnorodnego. Różnica ta zasadnicza przeszkadza *a priori* zlaniu się proklamowanemu, którego téż proklamowanie miało znaczenie czysto wojenne, wynikające z potrzeby chwili, w któréj powstańcy oglądać się musieli na przymierza. Książętom Serbii i Czarnogóry, równie jak Serbom i Czarnogórcom miłém by było zapewne powiększenie dzierżaw; powiększenie to atoli zagrażało im kłopotami wielkiemi, do usunięcia bardzo trudnemi, tak że Serbia i Czarnogóra winszować sobie do pewnego stopnia mogą, iż zlania się nie nastąpiły. Wielkość państwowa i pomyślność narodowa nie zawsze chodzą w parze.

Austrya—jak rzekliśmy wyżéj—opór złamie, kraj uspokoi, niezadowolnienia z duszy narodu nie wydrze; nie idzie jednak zatém, ażeby panowanie jéj wywrzéć nie miało na ludność Bośni i Hercegowiny wpływu pod pewnym względem korzystnego. Samo owo zbliżenie się pomiędzy bejami i spajami a powstańcami, czyli pomiędzy Bośniako-Hercegowińcami muzułmanami a Bosniako-Hercegowińcami chrześcianami wschodniego przeważnie obrządku, jest już korzyścią niemałą, posłużyć mogącą jako punkt wychodni do uregulowania stosunków, pozostających przez ciąg wieków w stanie ustawicznego naprężenia. Kwestyi téj ani rząd serbski, ani téż, tém mniéj, rząd czarnogórski rozstrzygnąć by nie był w stanie w sposób zadawalniający. Pod rządem austryackim, kto wié azali nie rozstrzygnie się ona sama przez się, na drodze ustępstw, jakie wzajemnie czynić sobie muszą ci, co się zobopólnie potrzebują. Jestto ze strony naszéj

przypuszczenie tylko, które atoli urzeczywistnić się może, jeżeli rząd austryacki swoje *divide et impera* zwróci, jak się na to zanosi, w stronę katolicką. Do możliwéj korzyści téj dołączyć należy inne niewątpliwe, polegające na różnicy, jaka zachodzi pomiędzy władzą otomańską, a władzą austryacką. Bądź co bądź, ta ostatnia, o wiele jest znośniejszą od tamtéj i, bezwzględnie rzecz biorąc, wyznać potrzeba, że Bośnia i Hercegowina, gdy w księdze przeznaczeń ich zapisaném było, iż tym razem niepodległemi zostać nie mogą, zyskały na tém niemało, że się Austryi dostały. Austrya zaś zyskała w nich etap militarny, którego doniosłość, w kwestyi wschodniéj, wykazaliśmy powyżéj. Patrzy z niego ona na Konstantynopol i zarazem na wodzy trzyma Serbią z jednéj, Czarnogórę z drugiéj strony. Położenie takie wymaga baczności ogromnéj i czujności ustawicznéj, boć przypuścić nie sposób, ażeby Serbii i Czarnogórze podobać się miał ten dozór, i ażeby państewka te nie były w pogotowiu popiérać gorliwie wszelkie knowania, przeciwko panowaniu austryackiemu zwrócone. Zmuszone uległy; geograficzne położenie wystawia je na bezpośrednie wpływy polityczne gabinetu wiedeńskiego; lecz, że nie jednego one zmartwienia austryackim mężom stanu przyczyną będą, o tém wątpić się nie godzi.

Jakże inaczéj postać rzeczy przedstawia się w Bólgaryi! Dla téj nie istnieje żadna przeszłość, któraby ją wiązała jakiemiś stosunkami, lub zależną czyniła od jakichś celów, planów, widoków i nadziei, lub téż na szalę kładła ciężar świadomie poniesionych ofiar; po za nią nie ma nic, z wyjątkiem chyba ech zamarłych, napół zaledwie zrozumiałych, w obec których zjawia się nagle przyszłość, urokiem niepodległości narodowéj owiana.

Żadnemu narodowi nie udało się tak szybko i tak pomyślnie przejść z niewoli do wolności.

Grecya, Serbia i Czarnogóra—to się krwawo dokupowały; Bośnia i Hercegowina, mimo wysiłki heroiczne, cofnionemi zostały wstecz, kto wié na jak długo; Rumunia nie bijała się wprawdzie, ale się przynajmniéj krzątała i w momentach pewnych dawała o sobie dużo do mówienia. Bólgarya jedna, niby Minerwa, dorosła i w rynsztunku całkowitym z głowy Jowisza wyskoczyła. Rozpoczyna się oto dla niéj miodowy miesiąc zaślubin z niepodległością, która jéj niby z nieba spadła.

W ruchach ku wyzwoleniu, jakie się na Bałkańskim półwyspie od początku wieku XIX manifestowały, Bólgarya, rzec można, bez ubliżenia patryotyzmowi bólgarskiemu, żadnego nie brała udziału. Najpoważniejszy poczucia się jéj narodowego objaw polegał na upo-

mnieniu się o język słowiański w liturgii kościelnéj i o hierarchią kościelną narodową. Po nim idą starania o szkoły, o wytworzenie piśmiennictwa, o rozbudzenie życia umysłowego. Miejsce ostatnie zajmują ruchy orężne, znamionujące właściwy ruch ku wyzwoleniu: te mają charakter sporadyczny—wybuchają tu i owdzie i wnet gasną, nie poruszając narodu. We względzie tym nie stanowią wyjątku te nawet, które miały miejsce w czasie pierwszéj wojny serbskiéj i ściągnęły takie straszne, takie okrutne ze strony Turków represalia.

Przyszłości wszelkiéj punktem wychodnim jest teraźniejszość, tę zaś otaczają wróżby, złe lub dobre. Pod nienajlepszemi, jak to powyżéj wykazaliśmy, otwiera się przyszłość dla Grecyi, Serbii, Czarnogóry, dla Bośni i Hercegowiny; pytanie: pod jakiémiż otwiera się ona dla Bólgaryi?

Państwo Bólgarskie znajduje się w chwili obecnéj pod kuratelą, z któréj wyjść ma po upływie miesięcy dziewięciu: o celach przeto państwowych, o widokach, o dążnościach onego, to chyba tylko powiedzieć można, że nie ma jeszcze żadnych. Pod względem tym jest to karta biała, na któréj w dniu jutrzejszym coś się pisać zacznie.— Dziś ono jeszcze o niczém nie wié, ani o tém nawet, że traktat sanstefański zakreślił mu granice szerokie, kongres zaś berliński granice te przemazał i wyznaczył inne, szczuplejsze. Co je to obchodzi! Uszczerbek ten poniosło przedtém, zanim istnieć zaczęło. Dowié się o tém późniéj i przyszła ta świadomość zarysowuje się z góry, jako jedna z najpierwszych pretensyj, z którą państwo wystąpi na polu działalności swojéj politycznéj. Samo to, że na papiérze istniał fakt Bólgaryi, sięgającéj do morza Egejskiego, wytyka onéj a priori cel dążności politycznéj, cel tém wyraźniejszy, że popiérają takowy dwa inne fakta, jeden historyczny, drugi etnograficzny. Za Simeona Wielkiego Bólgaria szerzyła się do morza Egiejskiego, obejmowała znaczną część Tracyi i Macedonią całą; Ochrida była stolicą metropolity bólgarskiego. Południowe stoki Bałkanów zamieszkuje ludność bólgarska, równie jak góry Rhodopskie, i pomieszana z ludnością grecką sięga brzegów morskich, zajmuje miasta nie wyłączając Konstantynopola. Z tych dwóch względów Rumelia, oderwana w Berlinie od san-stefańskiéj Bólgaryi, zapowiada się pod postacią punktu spornego, wystawionego na działalność czworaką: obronną ze strony Turcyi która Rumelią posiada; dozorczą ze strony Austryi, która ma wytyczne skierowane na Salonikę i Konstantynopol, i pretensyjną ze strony, dwóch współzawodniczek, Bólgaryi i Grecyi, jednakowe historyczno-etnograficzne prawa roszczących. Na tym punkcie przewidywać się dają akcya polityczna i akcya dyplomatyczna, wciągające w sferę

swoję, ponieważ to o Konstantynopol chodzi, gabinety pierwszorzędne, zwłaszcza zaś trzy, jako najbliżéj interesowane, wiedeński, londyński i petersburgski.

Gabinet petersburgski, twórca Bólgaryi san-stefańskiéj, przedstawia się jako naturalny, życzliwy a jedyny sprzymierzeniec-opiekun Bólgaryi naddunajskiéj. Wiąże je stosunek rodzicielski, stosunek bardzo podobny do tego, jaki zachodzi pomiędzy matką a córką.— Rossya w bólach wydała Bólgaryą na świat, piastuje ją i wyznaczyła dla niéj posag, którego połowa na drodze procesu odsądzoną jéj została. Pretensyi się nie zrzekła, będzie więc sprawę posagową popiérała. Przyrównanie to na pole polityczne przeniosłszy, widzimy stosunek rodzicielski wrośnięty w stosunek interesowy, który do stopnia nierozerwalności wzmacnia węzły wiążące Rosyą z Bólgaryą i uniemożebnia ze strony pierwszéj zobojętnienie, ze strony drugiéj niewdzięczność. Z punktu interesu zapatrując się, Bólgarya jest dla gabinetu petersburgskiego posterunkiem wysuniętym, zajętym przezeń na spornym gruncie kwestyi wschodniéj. Posterunek to bardzo ważny, flankowy w stosunku do domniemalnéj austryackiéj linii pochodu. Dla tego téż flankonowi pełnomocnicy rosyjscy na kongresie berlińskim domagali się tak usilnie miasta Sofii dla pupilki swojéj. Odstąpili od pretensyi do Bałkanów; przystali na to, ażeby Turcya fortyfikowała przejścia górskie; upierali się jeno przy Sofii, przy sofijskim sandżaku. Racya upierania się tego tkwiła w tém, że sandżak ów posiada właściwości stanowiska militarnego, nie względem jednak Turcyi, Rumelii, osłonionéj w tém miejscu przeszkodami naturalnemi, których czasu onego przełamać nie mógł Huniadi, ale dla akcyi militarnéj, prowadzonéj z północo-zachodu ku południowemu wschodowi, to jest dla akcyi, któréj, śród warunków istniejących, podjąć nikt inny nie byłby w stanie, tylko gabinet wiedeński. Ten jeden szczegół tłómaczy dostatecznie, jak dla Rosyi ważnym jest posterunek bólgarski. A o ile jest on ważnym, o tyle téż zapewnioną ma na przyszłość pieczołowitość gabinetu petersburgskiego, pieczołowitość dbającą nietylko o jego byt, ale także o wzrost w pomyślnościach i w sile.

Wolno-ż, w obec zapewnienia tego co do pieczołowitości, przypuszczać ze strony Bólgaryi niewdzięczność? Mogłaby ona zachwiać się i zgasnąć, gdyby nie odnosiła się do interesów nowonarodzonéj Bólgaryi, otoczonéj przez zawistników i nieprzyjaciół. Jakiém okiem patrzy na nią Rumunia, jéj kosztem (Dobrudża) powiększona i, rzecz prosta, pożądająca w téj stronie powiększenia znaczniejszego, obejmującego Silistryą, Turtukaj, zwłaszcza zaś ogromnie dla niéj przydatną linię kolei żelaznéj, prowadzącéj z Bukaresztu na Ruszczuk i Szumlę do

Warny? Jakiém okiem spogląda na nią Serbja, któréj ona, przez to samo, że w charakterze niepodległego państwa stanęła, skrzydła obcięła, znaczenie odjęła, roli Piemontu słowiańskiego pozbawiła? Jakiém okiem ze szczytu Bałkanów spogląda na nią Turcya? jakiém,— spółubiegająca się z nią na gruncie rumelskim, Grecya? W położeniu takiém nie pozostaje jéj nikt inny, tylko Rossya i jedyna jéj nadzieja, jedyna otucha, jedyna obrona widnieje na liniach prostych, przeprowadzonych z portów rosyjskich na morzu Czarném do Warny. Mogłażby Bólgarya względem Rossyi niewdzięczną się okazać?

Przyszła tedy polityka jéj zarysowuje się pod postacią dążności, skierowanéj ku opanowaniu Rumelii a oglądającéj się na gabinet petersburgski. Życzliwość, poparcie, spółdziałanie, jakie ona na téj drodze spotkać może, odnoszą się, przedewszystkiém, do gabinetu petersburgskiego, następnie, do ludności szczepu bólgarskiego, zamieszkującéj w Turcyi i Macedonii, pozostawionych pod berłem sułtanów tureckich. Po za tém, i tu i tam i wszędzie niechęć, nieżyczliwość i zawiść. Rada na to: zamknąć się w sobie i zająć się sprawami wewnętrznemi, pomiędzy któremi jedną z najważniejszych i do rozwiązania najtrudniejszych jest uregulowanie stosunków pomiędzy populacyą chrześciańską a wynoszącą procentów czterdzieści zaludnienia ogólnego populacyą muzułmańską. Tak zaiste,—ta rada dobrą jest i zbawienną, pod jednym wszelako warunkiem, pod tym mianowicie, ażeby, gdy Bólgarja w sobie się zamknie i nikogo zaczepiać nie będzie, i jéj też nie zaczepiał nikt. Czy to jednak rzecz możliwa? Byłaby możliwą, gdyby pobudki do zaczepek, pomijając te, które wynikają z niechęci, nieżyczliwości i zawiści ościennych, nie tkwiły w samém-że łonie Bólgarii, w owych czterdziestu procentach muzułmanów, będących nie „poturczeńcami,“ jak bośniaccy, bejowie i spajowie, ale rodowitymi Turkami, od wieków osiadłymi i zagospodarowanymi. Nie sposób przypuszczać, ażeby całych oni nie dokładali usilności, w celu utrudnienia rządowi bólgarskiemu zadania, tak wewnątrz, jak na zewnątrz. A jest ich sporo: dwóch Turków na trzech Bólgarów, z pomiędzy których procent pewien odpada na Rumunów, gęsto wzdłuż wybrzeży Dunaju osiadłych i niekoniecznie Bólgarom przyjaznych. Ztąd dla Bólgaryi przewidywać należy ogromne kłopoty, tak ciągłe, jak niespodziankowe. Zachodzi też wielkie pytanie: jak ona z nich wybrnie?

Kłopoty te atoli odnoszą się do jutra, zaledwie witającego dla młodego księstwa; dziś zaś?—dziś ono jeszcze nie wié o niczém, o żadnych pożądaniach, o żadnych dążeniach, o żadnych celach państwowych i zadaniach narodowych. Nie wié o niczém i położenia własnego nie rozumié. Szczęśliwa!.....

Dobiegliśmy tedy do kresu przeglądu stosunków, jakie dla kwestyi wschodniéj kongres berliński wytworzył. Nie wkluczyliśmy do przeglądu tego ludów pod panowaniem tureckiém pozostawionych. Uczyniliśmy to nie przez przeoczenie, ale dla téj przyczyny, iżbyśmy we względzie tym nic nowego do powiedzenia nie mieli. Cóż bowiem? Zaświtała dla nich nadzieja reform, zawarta częścią w obietnicach, częścią w zobowiązaniach się ze strony W. Porty. Obietnice odnoszą się przeważnie do Azyi, zobowiązania do Europy. Nad pierwszemi rozciąga się kontrola Anglii, nad drugiemi kontrola mocarstw na traktacie berlińskim podpisanych. Turcya dostała się w kuratelę, na któréj, spodziewać się należy, wyjdzie dobrze ona, wyjdą dobrze i ludy. Co do tych ostatnich atoli, kuratela wyłącznie angielska pewniejszą się wydaje, aniżeli wszecheuropejska, a to z tego powodu, że tam gdzie pierwsza się zwraca, tam téż zachodzi jednorodność pomiędzy interesami ludów, państwa Ottomańskiego i Anglii, podczas gdy tam, gdzie się skierowuje druga, łączność działania zależy od różniących się widoków gabinetów, mogących szkodliwe wywierać wpływy. Tyczy się to szczególnie Rumelii i Albanii, w których knowania zewnętrzne zejść się muszą z zabiegami władzy, chociażby ta przejętą była intencyami jak najlepszemi. Zabronić nie można kontrolerom.... intrygować, agentów nasyłać i grunt minować. Dla Rumelii ogniska tego rodzaju kontroli, przygotowane dla siebie z góry, są w Bólgaryi i w Grecyi, dla Albanii, — we Włoszech. Turcya, przypuszczamy, pozmienia wszystkie przejścia i przesmyki bałkańskie w niedostępne warownie, działami je naszpikuje i wartami poobsadza, przeszkodzić jednak nie zdoła temu, ażeby nie fermentowały słuszne aspiracye narodów, mających do niezależnego bytu prawa te same, co narody uniezależnione. Państwo Ottomańskie znajduje się na pochyłości bardzo dla niego niebezpiecznéj; patrzy w grobowy dół, od wpadnięcia w który ratują je lekarze interesowni: czy wszakże na długo starczą te rekonfortatywy, które mu zadają? Zależy to w znacznéj części od lekarzy, którzy się byli w Berlinie na konsultacyą zgromadzili i uradzili, ale—co!

Kwestya wschodnia, z dołu, z punktu politycznego rozpatrywana, przedstawia się w chwili obecnéj w stanie zawikłania bez porównania większego, aniżeli to, w jakiém ją wypadki zachwyciły. Zawikłano ją i podano narodom: macie! To téż, ciekawym by był wywód, którzyby w obradach kongresowych wykazał podstawy ogólne, jakich się trzymano. Co kwestya, to podstawa,—rozwiązania zataczają się śród względów historycznych, etnograficznych, ekonomicznych, handlowych, religijnych, politycznych i militarnych, a także

i sprawiedliwości, któréj wszakże zadość nie czynią, którą nierzadko gwałcą. Bo, czyż oddanie Bośni i Hercegowiny na łup Austryi nie jest sprawiedliwości pogwałceniem?—czyż zadośćuczynieniem sprawiedliwości jest pozostawienie Krety *in statu quo*? Kreteńczyków, Bośniaków i inne jeszcze plemiona, narodowości i prowincye wtrącił kongres w stan rozpaczy, niektóre postawił w położeniu trudném, lub fałszywém, wszystkie nie zadowolnił i oto jak z punktu politycznego kwestyą wschodnią rozstrzygnął.

Spojrzawszy atoli na kwestyą tę z góry, z punktu dyplomatycznego, przedstawia się ona inaczéj—jasno, wyraźnie. Na widok występuje rywalizacya dwóch gabinetów, które po raz pierwszy stanęły w obec siebie bez masek, i wnet powikłania dalsze rozpadają się na działy, wchodzące, odpowiednio naturze swojéj, do kategoryi wielkich interesów, podporządkowywujących interesa małe. Grunt kwestyi wschodniéj przedstawia się nakształt szachownicy z rozstawionemi na takowéj w ciągu gry pionami i matadorami szachowemi: śród tych ostatnich widzi się nieład, gra atoli idzie porządnie, a idzie na rachunek nie pionów i matador, ale szachistów, z których jeden wygra, drugi przegra. Kto wygra, kto przegra na szachownicy kwestyi wschodniéj, odgadnąć trudno w téj chwili. Gra jest w ciągu i z nastawienia się onéj oceniać do pewnego stopnia można położenie przeciwników.

Gabinet londyński chwali się głośno zajęciem położenia lepszego: czy słusznie? Tak to ono na pozór wygląda, zważywszy zwłaszcza, że nie poprzestając na pozycyach głównych, zamyśla wspierać je pomocniczemi. Raz po raz pojawiają się w pismach angielskich wiadomości, to o opanowaniu Sokatory, wyspy strażniczéj morza Czerwonego, to o studyowaniu Mezopotamii, krainy przylegającéj do przejścia, do którego odnosi się militarnie Cypr. Wieści te, chociażby nawet mylnemi były, wskazują kierunek, w którym się zwraca baczność angielska, wychodząca ku jednemu punktowi z dwóch stron, z Anglii i z Indyów, których zjednoczona potęga, zręcznie przez pierwszego ministra pokazana, świat w zdumienie wprawiła. Do niéj przeto, do téj potęgi głównie odnosi się lepszość położenia angielskiego.

Czém jest jednak potęga państwowa?

Na zapytanie to odpowiedziéćbyśmy mogli przykładami mocarstw bardzo potężnych, po których wspomnienia jeno w historyi pozostały. Nie potrzebujemy jednak sięgać w przeszłość tak daleko. Dosyć okiem rzucić na fundamenta potęgi angielskiéj w Indyach. Na czém się ona opiéra? Na podboju, dokonanym nie wcześniéj jak sześćdziesiąt lat temu, to jest tak świeżym, że Anglia czasu jeszcze

nie miała wkorzenić się w Indyach tak, ażeby ztamtąd wyrzuconą być nie mogła przy lada okazyi. Wkorzenienie to wówczas dopiéro nastąpić może, gdy Anglicy przestaną być rasą panującą, a Indyanie podległą, gdy pomiędzy jednymi a drugimi odbędzie się proces chemiczny, za pomocą którego wytworzy się rasa nowa indyjsko-angielska, jak się wytworzyła rasa anglo-saska. Póki to nie nastąpi—a nie zdaje się, ażeby nastąpić mogło rychło—póty garstka przybyszów niknąć będzie śród tłumów tuziemców, udzielając się tym ostatnim—w jakim względzie?—we względzie cywilizacyjnym—tak, ale... podawanym na ostrzu oręża, wyglądającym z paszczy dział i z luf karabinów, kształtującym się wedle reguł regulaminu wojskowego. Sztuka wojowania jest wiadomością najpierwszą, którą Indyanie na drodze cywilizacyjnéj od Anglików przejmują. Widzieć się to dało w praktyce, lat dwadzieścia temu, gdy się Cipaje zbuntowali. Bunt ten uważać można za próbę, która się tuziemcom nie powiodła, dla tego tylko, że była zawczesną—że wojska krajowe, które Anglicy trzymać i ćwiczyć muszą, nie wyrobiły się jeszcze były do tyla, ażeby liczbą swoją zgnieść mogły szczupłe czysto-angielskie hufce. Od onego czasu wyrobiły się już snadź lepiéj, kiedy lord Beaconsfield nie zawahał się Europie je pokazać, i wzrosły w liczbę, kiedy odważył się cisnąć je Rosyi pod nogę jako rękawicę. Wzroslo jednakże na indyjskim gruncie i niebezpieczeństwo dla Anglii, władającéj w prezydenturach bezpośrednio, w królestwach zaś i księstwach lennych za pośrednictwem władców miejscowych, niepozbawionych do tego stopnia uzdolnień umysłowych, energii i ambicyi, ażeby się śród nich nie znalazł nigdy ani jeden, sposobny do uzyskania popularności śród ludu i w szeregach pozostającéj w służbie angielskiéj armii i popularności téj nie użył w celach takich samych, w jakich książe Milan wytaczał dwukrotnie wojnę sułtanowi. Jestto jedna tylko z postaci, pod którą wyrazić się może bunt przeciwko władaniu angielskiemu nad Indusem i Gangesem. Pobudek do buntu znalazłoby się więcéj, gdybyśmy wszystkie wyszukiwać chcieli. Zestawiając je, pokazałoby się, że potęga angielska w Indyach na wcale kruchych opiéra się podstawach. Dziś wielka, jutro zmaléć może, a pojutrze zejść do zera. Przypuszczając, że jutro, pojutrze zachwieje się jeno: w co, w razie takim, obraca się nastawienie się jéj w kwestyi wschodniéj? Lordowi Beaconsfield udało się rozwinąć ją we właściwszym momencie: czy sztuka podobna uda się następcy jego.

Są to w chwili obecnéj, kiedy się na polu kwestyi wschodniéj nowa nadziemna i podziemna rozpoczyna akcya, zapytania bardzo stosowne, zapytania, które Anglicy najpierwsi zadają sobie i które

ich frasują wielce. Lord Beaconsfield bodaj czy nie zahazardował się zanadto: wykazał potęgę Anglii, zarazem jednak w potędze téj wykazał i słabą onéj stronę, na którą ściągnął uwagę spółzawodniczą. Kto wié, czy w tym kierunku nie rozpoczną się zabiegi i czy na têm polu nie będą się przygotowywały materyały, posłużyć mogące do poruszenia znów sprawy, albo raczéj spraw, nagromadzonych na Bałkańskim półwyspie!

Bądź co bądź jednak—powtarzamy, cośmy w ciągu pracy niniejszéj raz już wyrazili—nie zdaje się, ażeby ponowne kwestyi wschodniéj poruszenie nastąpić mogło rychło. Samo znękanie stron interesowanych nie pozwala na to; nastawienie się jednak ogólne interesów politycznych nie pozwala ze swojéj strony mocarstwom na rozzbrajanie się: z czego wypada, że otwiéra się przed nami kto wié jak daleka perspektywa tego zbrojnego pokoju, który tak mocno cięży Europie od lat trzydziestu i tak dotkliwie czuć się daje wszystkim razem i każdemu z osobna. Kwestya wschodnia, dzięki rozwiązaniu jakie wyniosła z Berlina, stan ten znacznie pogorsza, raz dla tego, że stwarza nowe zagadkowe stosunki, w obec których mocarstwa mieć się muszą na baczności, powtóre dla tego, że śród potęg militarnych stawia nową militarną potęgę, która się dotychczas trzymała na stronie i nie zdradzała żadnych wojowniczych zachcianek. Przez to przybywa podnieta jedna więcéj do podnoszenia coraz to wyżéj sił zbrojnych i do podnoszenia coraz to wyżéj budżetów. Na czém to się skończy? Ha!... żyjemy w epoce bardzo ciekawéj, rozpoczynającéj sobą okres zagadek pełen. Nigdy tak wiele o pokoju nie mówiono, nigdy takich armij olbrzymich nie trzymano i nigdy sprawy równie ważne, na rozstrzygnięcie oręźne oczekujące, nie stały na porządku dziennym. Przyszłość zapowiada się pod wróżbami wcale groźnemi, ogniskującemi się szczególnie w zakątku Europy, obdarzonym od natury we wszystko co pokój zapewnia, a zmienionym przez ludzi w wieczystą kość niezgody.

Z ARCHIWUM MNISZCHÓW.

I.

Było to latem w r. 1850. Zamiłowany w swym zawodzie pedagog, a przytém jeden z najruchliwszych wówczas, lubo niegłośnych literatów lwowskich, znany pod pseudonimem Jacentego Toporka— Wincenty Smagłowski, dla poratowania nadwątlonego pracą zdrowia, podążył wraz z rodziną do Truskawca, aby się kąpać i pić żętycę. Ponieważ Truskawiec nie obfitował jeszcze w owéj porze w zapasy, niezbędne do życia, wypadło zaopatrzéć się w nie w pobliskiém miasteczku samborskiém. Zwróciło to uwagę autora *Krakowiaków porabacyjnych*, że przyniesione przez służącego świéce, mydło i t. p. były poobwijane w jakieś stare, pożółkłe od starości papiéry.

Papiéry te zaciekawiły mocno zacnego pana Wincentego, któremu wszelkie piśmienne materyały były arcy-pożądane, bo właśnie pracował nad publikacyą większych niż dotąd rozmiarów. Był to kalendarz rolniczo-gospodarski, nazwany „Liwoczaninem“ dla tego, że miał odsłaniać „lico jednéj części Podgórza od góry Liwocza“.... Smagłowski miał wcale szczęśliwy pomysł zapoznawania szerszéj publiczności z różnemi częściami kraju, odżwierciadlając w wydawanych przez siebie kalendarzach co rok inną stronę rodzinnéj ziemi.

Na papiérze, który służył świecom za okrycie, wyczytał nasz literat następne wyrazy: „Karabela w jaszczur oprawna—siodło husarskie—delia rysiami podbita“... i t. d. Pan Jacenty Toporek, choć pisarz niewielkich zdolności, zrozumiał całą doniosłość odkrycia: domyślił się, że jeśli żyd obwija swój towar w podobne papiéry, musi ich

mieć dość dużo, a wśród nich kryją się może rzeczy niepośledniéj wagi, daléj zaś, że tego skarbu nie ceni wysoko, skoro z niego tak małą ciągnie korzyść. Poszedłszy zatém co prędzéj do kupca, poprosił go o wskazanie materyału na tytki. Żyd zaprowadziwszy ciekawego do brudnéj komory, gdzie w najwilgotniejszym kącie na gołéj ziemi walała się kupa na wpół zgniłych papierów, dowiedział się nie bez zdziwienia, że podróżny gotów ten zapas starzyzny zakupić. Rozpoczął się targ bez zwłoki: handlarz, widząc zapał literata, drożył się trochę. W końcu pozbył się towaru, jak opowiada w pierwszym tomie *Materyałów do konfederacyi barskiéj* Szczęsny Morawski, mniéj więcéj za 60 złotych; wpierw jednak przekonał się, czy nie ma pomiędzy papiérami „not bankowych lub wekslów,“ gdyż nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby skromnie podróżujący człowiek chciał płacić tyle za stos nadbutwiałéj bibuły....

Cenna zdobycz, którą pan Jacenty Toporek składał troskliwie na góralski wózek, znajdowała się już wówczas w bardzo smutnym stanie. Mimo troskliwe starania, nie wykryto dotąd, kiedy i jaką drogą przeszła w ręce synów Izraela. Utrzymują niektórzy, a między nimi Bielowski (w przemówieniu o archiwach familijnych, ogłoszoném w r. 1854 w „Dodatku Tygodniowym do *Gazety lwowskiéj*“), że kiedy Laszki murowane przeszły w obce posiadanie, a nowy właściciel rozrzuciwszy stary zamek, pozostałe z niego kamienie obrócił na gospodarskie budynki, „archiwum przypadkiem czy téż z umysłu, przerzucone zostało na strych żydowski, gdzie przez długi czas trupieszało“....

Wersya powyższa wskazywałaby, że potomek wojewody sandomierskiego, żegnając starodawną siedzibę przodków, nie najmniejszą część odziedziczonéj po nich puścizny, tę właśnie, która najlepiéj odźwierciadla minioną sławę domu, zostawił lekkomyślnie na igraszkę losów, na łaskę ludzi obojętnych i obcych.

Byłaby to niezawodnie płochość niegodna rodu z taką przeszłością; szczęściem można powiedziéć niemal na pewno, że nie dopuścił jéj się praprawnuk Jerzego Mniszcha. Przynajmniéj dobrze jak się zdaje powiadomiony autor (*Gniazda Nieczujów* w rozprawce p. t. „O wartości źródeł rękopiśmiennych i ustnych tradycyj do historyi drugiéj połowy XVIII wieku“ (1) zaręcza stanowczo, „że wszelkie

---

(1) Rzecz ta, napisana w r. 1862, doczekała się druku dopiero niedawno, w pierwszym tomie zbiorowego wydania powieści Kaczkowskiego, ogłoszonego przez Ungra. Autograf téj cennéj rozprawy znajduje się między rękopismami Zakładu n. Im. Ossolińskich (l. 2365), nosi zaś tytuł: „Związek braterski—praca więzienna.“ Miał to być

książki i rękopisma, jakie przy sprzedaży Laszek tamże się znajdowały, zapakowano w skrzyń kilkanaście i zawieziono do Ulanowa, gdzie się dotychczas znajdują.“

Wedle Kaczkowskiego zatém hr. Alfons Mniszech, o którego zbiorach dotąd było głucho, posiadałby część rodzinnego archiwum, podczas gdy reszta wpierw zapewne *jure caduco* przeniosła się z zamku do pobliskiego miasteczka. Nie potrzebujemy się rozwodzić, jak dalece pożądaną byłaby o ile można dokładna wiadomość, co mieściły owe przewiezione do Ulanowa skrzynie; zbiór ten bowiem wespół z papiérami, ocalonemi przez ś. p. Smagłowskiego, złożyłby może całość piśmiennéj spuścizny domu, który wydał cały szereg pierwszych w Rzplitéj dygnitarzy i—carową.

Nie omylimy się podobno, utrzymując, że archiwum, dopóki było w zamku, znajdowało się w dobrym stanie, a dopiéro zaciekanie dachu w żydowskiém mieszkaniu sprawiło w niém znaczne spustoszenie i przyczyniło się do częściowego zniszczenia tych nieocenionych materyałów (1).

Nie myśląc się kusić o wykrycie kolei, przez jakie one przechodziły, zanim je troskliwa ręka ocaliła od niechybnéj zagłady, sądzimy, że istnieje może pewna analogia pomiędzy losem archiwum Mniszchów a Cetnerów. Przed kilkudziesięciu laty zwróciła uwagę jednego z miłośników cudzéj własności duża stara skrzynia, umieszczona dawno w Krakowie w browarze. Otworzywszy ją jednak doznał złodziéj gorzkiego rozczarowania; zamiast spodziewanych skarbów, znalazłszy tylko stare papiéry z archiwum wojewody bełzkiego, skończył na skradzeniu potężnéj kłódki... Żyd propinator browaru, mniéj od złodzieja ciekawy, a więcéj praktyczny, korzystał z odbicia skrzyni, używając papiéru do zatykania drożdży w browarze, dopóki jakaś poczciwa dusza nie ocaliła szczątków. W podobny sposób obchodzono się z archiwum rodzinném Koniecpolskich, zanim go nie wzięła pod swą opiekę ordynacya Krasińskich.

W ogólności powiedzieć trzeba na wstyd naszego oświeconego wieku, że prawdziwie po wandalsku niszczył najcenniejsze zabytki

---

wstęp do powieści, osnutéj na zagnieżdżaniu się u nas w przeszłym wieku wolnomularstwa, o czém świadczą końcowe kartki rozprawy, nieogłoszone dotąd drukiem.

(1) Zapewne, że drobne ułamki z tych zbiorów błąkają się luzem po świecie; i tak przed kilku laty miałem sposobność przeglądać u niezmordowanego J. I. Kraszewskiego w Dreźnie spory tom oryginalnych listów Brühla i jego żony, pisanych do córki Amalii, wydanéj za Jerzego Mniszcha. Mniemam, że korespondencya ta znajdowała się dawniéj w archiwum Mniszchów.

tak piśmienne, jak architektoniczne, piękne owoce pracy i troskliwości ubiegłych stuleci, a dziś jeszcze nawet względnie ukształcony ogół nie dość rozumie potrzebę pieczołowitości w obec tych starych pamiątek, czy one są publiczną czy prywatną własnością. Jeśli prof. Stanisław Karwowski w przedmowie do świeżo wydanéj *Kroniki miasta Leszna* skarży się, że w tamtejszém archiwum miejskiém „wśród kurzu i zgnilizny zaledwie zdołał cośkolwiek odszukać,“ nie myślimy, aby skarcone przezeń występne niedbalstwo było odosobnionym wypadkiem. Nienaruszalności i bezpieczeństwa tych ważnych zabytków strzegły dawniéj prawa a za ich całość odpowiadali urzędnicy. Już Jan Olbracht rozporządza w r. 1496, aby po zgonie lub ustąpieniu starosty składano księgi grodzkie na ratuszu w osobnych, na ten cel przeznaczonych skrzyniach pod trzema kluczami, z których jeden miał zostawać u wojewody, drugi u sędziego ziemskiego, trzeci u starosty. Ścisły nadzór i częste rewizye, podczas których spisywano urzędowe protokóły, dawały rękojmię nietykalności tych nieocenionych materyałów do historyi kraju.

Mimo godną uznania czujność praw zdarzały się wprawdzie tu i owdzie nadużycia. Opowiada Matuszewicz (Pamiętniki, tom I, str. 96), jak źle i nieporządnie pomieszczone były akta w brzeskim klasztorze Augustynów. „Tam,“ mówi, „przez wilgoć muru, ile podczas mroźnéj zimy, a potém z odwilży akta bardzo mokre znaleźliśmy, tak dalece, że na spodzie będące więcéj dwóchset arkuszy tak zgniły, że się rozpłynęły, gdy lód roztopniał.“ Niezrażony tém pamiętnikarz przeprowadził mozolne poszukiwania, jak zapewnia, „nie bez nabrania się z pogniłych wielu ksiąg kataru“ a my dziś na podstawie licznych przykładów dodać możemy, że i płuca jego nie wyszły zapewne z téj potrzeby bez szwanku, gdyż wapory, wydzielane przez zgniłe a niewysuszone papiéry, oddziaływają fatalnie na ten delikatny przyrząd.

Ale powyższe zdarzenie należy, powtarzam, do wyjątków, podczas gdy o naszym wieku, zwłaszcza pod rządem pruskim też same tak bacznie do niedawna strzeżone akta stawały się pastwą niewiadomo czy więcéj złych, czy téż więcéj głupich ludzi. Że nie przesadzamy, świadczy przedmowa d-ra Wojciecha Kętrzyńskiego do dzieła o „narodowości polskiéj w Prusach Zachodnich za czasów Krzyżackich.“ Autor tego studyum, robiąc na miejscu rozległe poszukiwania archiwalne, miał wyborną sposobność przekonania się, jak sobie poczynało „z zabytkami własnéj i naszéj przeszłości“ państwo, chełpiące się wyniośle, że ono dopiéro obdarzyło nas cywilizacyą. Dla sprawdzenia tego tak stanowczo wypowiedzianego sądu, nie od rze-

czy więc będzie zobaczyć, co czynili nasi germańscy cywilizatorowie z pomnikami krajowéj cywilizacyi, jakiemi są niechybnie archiwalne zabytki. Otóż wskazują najwymowniejsze jak zwykle fakta, że najszczęśliwszy stosunkowo los przypadł w udziale takim zbiorom, jak archiwum radzyńskie i gołubskie, które dr. Kętrzyński odkrył na poddaszach „zasypane pyłem i gruzem,“ lub archiwum grudziądzkie, uważane przez magistrat za spalone przez Szwedów, dopóki go nie odkrył Ksawery Froehlich. Nie najgorzéj jeszcze wiodło się archiwum łaszczyńskiemu w szopie obok miejskich sikawek, bo choć tu gniło i szczurom służyło za pokarm, ocalało jednak z niego kilka tomów, co niezawsze udawało się w innych miejscowościach, gdzie „palono aktami w piecach, sprzedawano je kramarzom lub używano ich na inne cele...“ Tak archiwum wębrzeskie jeszcze przed kilkunastu laty sprzedawano na funty, tak zaledwie resztki z miejskiego archiwum malborskiego „udało się z kramów kupieckich wydobyć“ tak urzędnicy pruscy, którzy miejscową ludność przyszli cywilizować, po zajęciu Gdańska najstarsze tomy akt sądowych starego miasta umieścili na poddaszu, zkąd powoli wprawdzie, lecz tak systematycznie „wędrowały do złotników i kupców,“ że uratowano nie więcéj, jak kilka kart pergaminowych.

Każde jednak z miejsc powyżéj wspomnianych było szczęśliwszém od tych, których nie wymieniliśmy; „archiwa innych miast,“ mówi Kętrzyński, „które wedle pewnych wskazówek za czasów Rzeczypospolitéj istniały, za pruskich czasów przepadły bez śladu.“

II.

Ocalone szczęśliwie od ostatecznéj zagłady archiwum Mniszchów aż do początku r. 1854 znajdowało się w ręku Smagłowskich. Na dniu 28 Stycznia tegoż roku pomiędzy panią Wincentową Smagłowską a zakładem nauk. im. Ossolińskich stanął układ sprzedaży zbioru za kwotę 1500 złr. mon. konw., które jéj wypłacono w tydzień późniéj.

W kilka miesięcy potém, na doroczném posiedzeniu (12 Października) ówczesny zastępca dyrektora, Bielowski, zdając sprawę z nowego nabytku, powiedział, że się znajduje w złym stanie, że mianowice „niektóre dokumenta zaledwie są już czytelne i prędkiego odpisania wymagają,“ poczém dodaje: „tém większa była potrzeba, iżby archiwum przeszło na własność Zakładu, jako mogącego mieć na ten cel fundusz potrzebny do rozrządzenia; temi wzglę-

dami kierowany JW. kurator, skoro się o tém dowiedział, nie omieszkał uczynić tego natychmiast, i co tylko uratowane być mogło, zostało uratowane.“

Z powyższych słów możnaby sądzić, że fakt wydobycia archiwum z rąk żydowskich, do roku 1854 publiczności nieznany, w téj dopiéro porze dzięki przypadkowi doszedł do wiadomości kuratoryi, że daléj, zakład nabywszy zbiór od pani Smagłowskiéj przystąpił niezwłocznie do uporządkowania go i zapobieżenia dalszéj zagładzie papiérów, które zostawione w dotychczasowym stanie musiały coraz więcéj niszczyć się i marnićć. Tak jednak bynajmniéj nie było. Czytający ogół już w r. 1851 z wspomnianego wstępu p. Morawskiego do *Materyałów* wiedział, jaki skarb odkrył w samborskiém miasteczku p. Jacenty Toporek, wielu literatów w pierwszych zaraz miesiącach po odkryciu przejrzało z grubszego tę nieocenioną zdobycz, a pan M. już z niéj nawet do swego wydawnictwa korzystał. Zarząd też Zakładu przez długie lata niczém nie usprawiedliwił słów Bielowskiego, zarówno już wyżéj przytoczonych, jako i tych, które je poprzedziły a mianowicie, że „wszelkiego rodzaju zbiory wtedy dopiéro są wielce użytecznemi dla kraju i przeznaczeniu swemu należycie odpowiadają, jeżeli tak przystęp do nich, jako i możliwość użytkowania z nich przez uporządkowanie wewnętrzne i spisy dokładne ułatwione zostały....“

Zdawałoby się, że uczony autor *Wstępu krytycznego do dziejów Polski*, rozumiejąc tak doskonale niezbędną potrzebę „wewnętrznego uporządkowania i dokładnych spisów,“ uważał za pierwsze zadanie przyprowadzenie archiwum Mniszchów do takiego stanu, aby było zabezpieczone przed dalszym rozkładem oraz stało się przystępném dla badaczy. Nie znamy przeszkód, które tym zamysłom stanęły na zawadzie; dość, że do ostatnich czasów podobne zajęcie się tym zbiorem nie wychodziło po za sferę pobożnych życzeń. Z pobieżnéj wzmianki, uczynionéj w r. 1862 przez Kaczkowskiego, że Zakład umieścił archiwum „w swoich salach,“ możnaby wprawdzie wnosić o pewnym porządku; ale trudno budować jakiekolwiek przypuszczenia na wyrzeczeniu jeśli w prost nie błędném to przynajmniéj niedokładném: archiwum bowiem nie było złożonem w salach, lecz po prostu zamknięte w jednéj ze szaf bibliotecznych, zkąd arcy-rzadko wydobywano je na światło dzienne, aby każdego z poszukujących przekonać o staréj prawdzie, że niepodobna korzystać na razie z chaotycznie rozrzuconéj kupy papierów.

Rażąca niedbałość, jakiéj ofiarą padło archiwum, wywoływało od czasu do czasu z różnych stron skargi i upomnienia, zawsze nie-

stety daremne. I tak w r. 1865, gdy nadchodził termin oddania Zakładu pod opiekę księciu Jerzemu Lubomirskiemu, sąd krajowy pismem z dnia 8 lutego zawezwał ówczesnego zastępcę kuratora, „aby wszelkich dołożył starań do jaknajrychlejszego sporządzenia i uzupełnienia inwentarzy przedmiotów, dotąd nieinwentowanych a mianowicie... archiwum tak zwanego Mniszchów...“ Jak mało skutkowały podobne odezwy, widać z następującéj rady, zapisanéj na dniu 10 Listopada r. 1872 przez Szujskiego w „księdze życzeń i zażaleń:“ „pożądanem i konieczném byłoby przystąpić jaknajspieszniéj do chronologicznego uporządkowania listów po Mniszchach“ i t. d. W interesie uratowania mocno przez zaniedbanie nadpsutego zbioru, zaleca szanowny profesor „sprawić pudełka na listy, popodklejać te, które się łamią i kruszą za dotknięciem.“

Słuszne te uwagi nie trafiły snać do przekonania zarządu, gdyż pomiędzy rokiem 1872 a 1877 nie tknięto się wcale, archiwum, a jedyny wypadek zajęcia się niém należy odnieść do wcześniejszéj pory i to podobno do r. 1865 bezpośrednio po znanéj nam odezwie sądu krajowego. Ówczesny kustosz Zakładu, ś. p. Ksawery Godebski, któremu nie można odmówić zalety pracowitości, podjął się niemałego, choć niestety bezowocnego trudu około uporządkowania archiwum. Ażeby dla wiadomości sądu módz podać ogólną cyfrę listów, porozdzielał je na paczki, obejmujące po sto sztuk, czyli na tak zwane centurye, przyczém jednak nie kierował się żadnym systemem, żadną zasadą, wkładając w każdą „centuryą“ bez względu na jakikolwiek porządek wszystko co się nawinęło pod rękę...

Żałować trzeba, że ten szanowny człowiek zamiast wprowadzić pewien ład w utworzone przez siebie centurye, wolał podejmować zupełnie zbyteczną pracę, z niemałym trudem dopisując w oryginałach atramentem różne objaśnienia. I tak w każdym odczytanym przez siebie liście do wymienionéj tylko wedle godności osoby dodawał odsyłacz, na dole zaś wypisywał imię i nazwisko a nierzadko dołączał całe komentarze, jak np. w liście Szembeka, kanclerza w. kor. z r. 1726: „Mowa tu o weselu Wacława Rzewuskiego, syna Stanisława, z Anną Lubomirską, wojewodzianką czerniechowską.“

Podobne przypiski zajmowały autorowi wiele czasu, stanowiły zaś zabawkę nietylko bezcelową, lecz co gorsza, sprzeczną z pierwszemi zasadami bibliotekarstwa. Mówię bezcelową, bo przypuścić należy, że każdy ze światłych czytelników i badaczy, a tacy tylko zwykli zaglądać do źródeł, albo z pamięci będą wiedzieli, jak się nazywał ten lub ów kasztelan, wojewoda, biskup, hetman, kanclerz, podskarbi i t. p., albo téż będą się mogli przekonać o tém snadnie

z tych dzieł pomocniczych, jakich używał niedość z kądinąd z materyałami do historyi XVIII wieku obeznany Godebski, ztąd też niekiedy popełniający rażące pomyłki.

Ożywiony najlepszemi chęciami, miał on zamiar opisać całe archiwum, ale z niewiadomych nam znowu powodów, rozpoczęty przezeń w *Bibliotece Ossolińskich* z r. 1862 artykuł nie doczekał się nigdy dalszego ciągu a obejmuje zaledwie pięć kartek. Nic znajdujemy w nim nic więcéj, okrom wydrukowanych *in extenso* czterech dokumentów z epoki Samozwańców, a mianowicie oryginalnych listów z pieczęciami i własnoręcznemi podpisami: Dymitra I do Stanisława z Wielkich Kończyc Mniszcha, starosty sanockiego, pisany z Moskwy dnia 13 Sierpnia r. 1605, Dymitra II do Jerzego Mniszcha, wojewody sandomierskiego, pisany w obozie pod Moskwą 14 Października r. 1608; carowéj Maryny do ojca, pisany w obozie 13 Stycznia r. 1609 (1); i wreszcie Zygmunta III do Stanisława Bonifacego Mniszcha, starosty lwowskiego.

Wydania tych materyałów nie można nazwać krytycznėm, jakkolwiek Godebski miał do pomocy pod ręką dwa dzieła historyczne: Kognowickiego *Życia Sapiehów*, Niemcewicza *Dzieje panowania Zygmunta III* dla porównania z tém, co znalazł w listach. Rzecz naturalna, że ta pomoc nie mogła być wystarczającą; szczególniéj żałować wypada, że szanowny autor znał rosyjskie wydawnictwa do tego przedmiotu jedynie z cytaty, podanéj w dyletanckiéj książce Niemcewicza, który się powołuje na *Sobranie gosudarstwiennych gramot i dogoworow* Rumiancowa.

Pierwszy z pomiędzy wspomnianych listów, z wyjątkiem łacińskiego tytułu u wstępu, zredagowany jest w całości po polsku. Donosi w nim Dymitr przyrodniemu bratu Maryny, że „od ojca świętego patryarchy, według starożytnego obyczaju koronowany i świętym olejem pomazany nietylko na jednę szeroką ojczyznę naszą, ale i na wszystkie te tatarskie królestwa, które z dawna naszéj monarchii posłuszne były,“ wyprawia w poselstwie do Zygmunta III, podskarbiego nadwornego Afanazya Iwanowicza Własiejowa, upoważnionego przez carską parę do traktowania z Jerzym Mniszchem. Sama „cesarzowa jejmość“ zaprosiła listownie „jaśnie wielmożnego pana ojca,“ by niezwłocznie podążył w miejsce pobytu króla, do czego i pan starosta sanocki ma go nakłaniać, „gdyż na tém siła należy.“

---

(1) Listy te, oddzielone już dawno od archiwum, umieszczono pomiędzy autografami, zobacz numera 39, 40, 2438.

Drugi z kolei list, w którym Dymitr II obiecuje wojewodzie sandomierskiemu „trzykroć stotysięcy rublów,“ gdy go „Pan Bóg na stolicy osadzi,“ znany jest z niebardzo poprawnego przedruku Rumiańcowa i Niemcewicza. Dokument ten w sto kilkadziesiąt lat późniéj (1736) doczekał się oblaty w grodzie warszawskim za staraniem marszałka w. kor. Józefa Mniszcha, który, mając nadzieję, że cesarzowa Anna spełni obietnicę Samozwańca, nie szczędził zabiegów przez Keyserlinga, Mniszcha i Löwenwolda; Piotr I w skutek starań, czynionych w r. 1720 przez posła polskiego w Petersburgu, Stan. Chomętowskiego, przyrzekł przez usta Dołkowskiego marszałkowi sześć tysięcy czerwonych złotych towarami, co temu oczywiście nie przypadło do smaku. Pan marszałek skarży się z goryczą, że jego pradziad poniósł „koszta wielkie na ornamenta i przeprowadzenie córki na stolicę moskiewską.“ Owe „ornamenta“ pozostały w Moskwie, wspomniane wynagrodzenie nigdy nie zostało spłacone, a nadto zabrano panu wojewodzie sandomierskiemu „pieniądze, klejnoty, apparencye i splendory wszelkie, jego z ludzi zacnych, przy nim na ten czas będących.“ Wspomniawszy o tylu niepowetowanych szkodach, napomyka pan marszałek, że posiada w swym ręku „zapisy oryginalne na pewne ziemie w państwie rosyjskiém domowi jego służące, *donativo* modo uczynione.“

Wzruszającą do głębi jest treść listu Maryny do ojca pisanego 13 Stycznia r. 1609 z obozu, z którego już uszedł nędzny Samozwaniec. „Nieszczęsna córka“ wojewody, opuszczona przez dotychczasowych stronników, w obec groźnego niebezpieczeństwa prosi go o opiekę, przyczém wypowiada słowa, charakteryzujące wiernie i ówczesne położenie ambitnéj kobiéty i stan jéj wyniosłéj duszy, słowa pełne ujmującéj prostoty: „Wielki gniew pański teraz tkwi nademną, rady zdrowéj i pomocy zniskąd mieć nie mogę tylko się Bogu najwyższemu poruczam, a czekam wyroku pańskiego, gdzie podobno ciężki żal mój poda mię w grób bez czasu, cobym już wolała, niżeliby świat miał więcéj tryumfować z nieszczęścia mego“...

Ostatni z rzędu, ogłoszony w *Bibliotece Ossolińskich* list Zygmunta III tyczy się kup swawolnych rozzuchwalonego żołnierstwa, które nie wahało się w ojczyźnie poczynać sobie jak w kraju nieprzyjacielskim, wydanym na łup zwycięzcy.

III.

Opowiedziawszy koleje, przez jakie przechodziła ocalona w r. 1850 część archiwum Mniszchów, poświęciwszy należną wzmiankę tym, co dotąd o niém pisali, uczyńmy je teraz przedmiotem szczegó-

łowszéj rozprawki, zużytkujmy zwięźle co ważniejsze i charakterystyczniejsze szczegóły, dobyte z téj bogatéj skarbnicy, którą piszący miał sposobność poznać gruntownie, dokonawszy z polecenia dyrekcyi zakładu systematycznego uporządkowania zbioru, rozdzielonego już obecnie na kilkadziesiąt starannie oprawnych tomów, tak że odtąd nie grozi mu zagłada, a uczeni, pragnący z niego korzystać, zamiast dawniejszego chaosu, spotykają materyał, przygotowany odpowiednio do naukowego użytku.

Metoda, jakiéj się trzymać będziemy w téj pracy, nie zyska może aprobaty w kole samych pracowników naukowych, którzy chcieliby od nas bibliograficznego regestru, dokładnego wyszczególnienia wszystkiego tego, co się tutaj znajduje. Przyznaję, że byłoby to rzeczą arcy-wygodną dla interesowanych pisarzy i uczonych, lecz wyznaję zarazem, iż nie mogłem się zdecydować na ograniczenie użyteczności artykułu do tak szczupłéj liczby osób; że wolałem raczéj napisać rzecz, w któréj obok ogólnych wskazówek natury bibliograficznéj znajdzie nietylko człowiek naukowy nowe materyały w rodzaju pamiątkowéj mozaiki, ale nawet inteligentny profan ciekawą i zajmującą opowieść, wysnutą z poufnych listownych wynurzeń i zwierzeń, dozwalającą nam zajrzéć głębiéj za kulisy ówczesnych politycznych wypadków i rzucić niejeden promień światła na historyą wybitniejszych rodów optymatów polskich w najmniéj stosunkowo znanéj epoce. Nie będzie to wcale małoznacząca zdobycz; słusznie bowiem i pięknie mówi Kaczkowski, „że jak obrazu jakiéjś skomplikowanéj machiny nikt nie odtworzy, dopóki budowy wszystkich pojedyńczych trybów i sprężyn nie obejrzy i nie dojdzie jak one za siebie chwytały i ruch nadawały całości, tak i dziejom naszym nikt nie nada prawdziwego kolorytu życia, dopóki tego ducha, który ożywiał pojedyńcze rodziny, nie zbada w nich samych, z nich nie dobędzie i nie przeleje w puste dotychczas dziejowego szkieletu arterye“...

Były czasy, gdy ród Mniszchów, dopiéro w pierwszéj połowie XVI wieku do Polski przybyły, jeśli nie trząsł całą Rzecząpospolitą, gdyż to bywało zwykle przywilejem starszych domów, to przynajmniéj zajmował w niéj najpierwsze urzędy, a nawet wywierał znaczny wpływ na losy kraju. Pierwszy z nich Mikołaj, wychodźca czeski, uszedłszy z kraju przed niełaską króla Ferdynanda, dobrze się zasługuje przybranéj ojczyznie, a Zygmunt Stary w nagrodę za to, niemniéj dla przywiązania do kraju, przybysza, obdarza go starostwami, mianuje podkomorzym w. koronnym. Ale syn udarowanego, Jerzy Mniszech, źle się odpłaca synowi dobroczyńcy; jak wiadomo, on to z klasztoru Bernadynek warszawskich wykrada dziwnie do Barbary

Radziwiłłównéj podobną Giżankę, aby za pomocą jéj wdzięków opanować chylącego się do grobu Augusta i tak wypróżnić pełne kosztowności i klejnotów skrzynie królewskie, że ostatniego z Jagiellonów nie będzie w czém pochować. Jestto ten sam Jerzy, wojewoda sandomierski, ojciec ambitnéj Maryny, a teść Dymitra, ten sam, którego sędziwy Żołkiewski w *Historyi wojny moskiewskiéj* mieni podobnym do Bryssoneta; Bryssonet zaś, „*podły i lekki człowiek*, perswazyami swemi przywiódł Karola VIII, króla francuskiego, na wojnę do królestwa neapolitańskiego“...

Znane są powszechnie klęski, jakie sprowadziły na Polskę, „ambicya i chciwość“ wojewody; pomijamy milczeniem tę smutną epokę wybujania potęgi czeskich przybyszów, czynimy to zaś tém chętniéj, że do wiadomych już wypadków nie moglibyśmy dodać nic nowego, a z licznych niezawodnie dokumentów, odnoszących się do owéj pory, przechowało się zaledwie kilkanaście. Okrom wydanych przez Godebskiego, są między niemi jeszcze następujące: własnoręczny memoryał Stanisława Mniszcha, starosty lwowskiego, wystosowany do Dymitra bez daty, wyjaśniający stosunki rodzinne i proszący o pośrednictwo; dwa memoryały samegoż Jerzego Mniszcha: „pamięć do pokazania krzywd, które Rzeczplita z królem Jegomością wzięła od narodu moskiewskiego“ i „Motiva niektóre, dla których Rzplita i król Jegomość o wybawieniu swych tu zatrzymanych słusznie radzić ma“; „regestr pieniędzy, które Moskwa pokazywała z listów JMPana Wojewodzinych od Dmitra pobranych“, czyli wyszczególnienie sum nadsyłanych Ministrowi przez Dymitra różnemi czasy; wreście plan malowideł i ozdób dla sal zamku carskiego w Moskwie, rodzaj ilustracyi wypadków, których sceną była Moskwa od śmierci Borysa Godunowa aż do objęcia władzy przez Dymitra. Uwagi, dopisane na tym planie ołówkiem, uchodzą za własnoręczną notatkę Jerzego Mniszcha.

Można powiedzieć, że materyały, znajdujące się w niniejszym zbiorze, pochodzą niemal wyłącznie z XVIII wieku, głównie z pierwszéj jego połowy; dokumentów z poprzedniego stulecia jest bardzo szczupła liczba, a zawdzięczamy je nie Mniszchom, lecz innym rodzinom, spokrewnionym z nimi prędzéj lub późniéj, jak Potockim, Ossolińskim itd. Z pośród Mniszchowskich pamiątek owéj epoki przechowała się jeszcze tylko obalona późniéj umowa z r. 1620 o nabycie dóbr: Laszek i Chirowa pomiędzy Stanisławem Bonifacyuszem, starostą lwowskim, i Franciszkiem, sanockim z jednéj a hrabią Jerzym Drugieth'em z Homonny, Węgrem, z drugiéj strony. Nie brak natomiast cennych zabytków, sięgających mniéj więcéj od środka XVII aż do drugiéj połowy XVIII wieku, jako to: relacye, mowy, pisemka polemicz-

ne, instrukcye udzielane posłom przez rożne ziemie, drohicką, łomżyńską, olszańską—lauda sejmików łomżyńskiego, średzkiego, wisznieńskiego itd.

Listów z tego okresu jest zaledwie kilka; przybywa ich dopiéro z początkiem XVIII stulecia, to jest z chwilą, gdy Józef Mniszech, syn Jerzego, wojewody wołyńskiego, występuje na widownię polityczną, aby w krótkim czasie dojść do najwyższych w Rzeczyplitéj godności. Odtąd rośnie korespondencya w nieprzebrane mnóstwo dłuższych i krótszych listów, bo ruchliwy dygnitarz utrzymuje tak szerokie stosunki, że nie ma prawie znaczniejszéj osobistości w kraju, z którąby się nie znosił dość często.

Rzecz szczególna, że człowiek, który od młodych lat zajmował pierwszorzędne stanowiska w Rzeczyplitéj, piastując kolejno godność marszałka nadwornego i generała artyleryi, a od r. 1713 przez lat kilkadziesiąt dzierżył wysoki urząd marszałka w. koronnego, że mówię, taki człowiek nie pozostawił w dziejach żadnego śladu po sobie, że nie upamiętnił swego imienia żadnym godnym pamięci czynem, że nawet pisarze, zniewoleni o nim wspomniéć, kończą na wymienieniu dat i tytułów dygnitarza (1), nie zadając sobie trudu ocenienia jego charakteru.

Możnaby ztąd wnosić, że służył w słodkiéj bezczynności, ale zbiór niniejszy świadczy wymownie przeciw podobnemu przypuszczeniu. Nie cała wprawdzie współczesna mu korespondencya zawdzięcza swą egzystencyą marszałkowi, weszło bowiem w skład archiwum wiele papiérów pozostałych po spokrewnionych z Mniszchami domach, jak Ossolińskich i Potockich; szczególniéj zięcia marszałkowego, Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego; ale pisane do niego samego listy dowodzą, że nie należał do owych w próżniaczém życiu rozmiłowanych magnatów, jakich nie brak u nas w XVIII wieku, lecz że interesował się żywo sprawami publicznemi, choć sam w nich nie przyjmował osobiście czynnego udziału i miał rozgałęzione stosunki w różnych częściach kraju.

Ale materyały te nie wystarczają bynajmniéj do odmalowania postaci, rysującéj się bądź co bądź dziwnie blado na tle współcze-

(1) Tyle nawet nie uczyniono w Encyklopedyi Orgelbranda. W ogólności powiedzieć możemy, że o ile sumiennie napisane są w niéj biografie Bartoszewicza, o tyle znów artykuły p. Sobieszczańskiego, a szczególniéj p. Wójcickiego, zasługują na surowe skarcenie. Panowie ci nietylko przepisywali dosłownie całe karty z pierwszego lepszego herbarza, lecz nawet mówiąc o jakimś głównym rodzie, pomijali jego najznakomitszych członków, tak że „Encyklopedya“ potrzebuje koniecznie w tym kierunku dopełnienia—o czém na inném miejscu obszerniéj.

snych wypadków; jak mało bowiem uczestniczył marszałek w ważnych wypadkach wojny północnéj, widać już ztąd, iż Nordberg, tak dobrze z polskiemi sprawami obeznany, ani słowem o nim nie wspomina. Wybitnie politycznéj roli nie odegrał on nigdy, choć nie brakło po temu ochoty na stare lata, po śmierci Augusta II, za popędem danym przez ambitną drugą z kolei żonę, któréj się królować chciało, Konstancyą Tarłówną, wojewodziankę lubelską, śmiertelną nieprzyjaciółkę Konstancyi Poniatowskiéj, matki Stanisława Augusta. Jak gorąco ją kochał i jak pokornie ulegał jéj woli (1) wskazuje cały stós pisywanych do niéj listów, szkoda, że zapełnionych niemal wyłącznie najtkliwszemi wynurzeniami nieostygłego nigdy przywiązania. W każdym z tych romansowych pism obok rozczulającéj troskliwości o ukochaną osobę spotykamy zapewnienia, podobne do następnego: „Ani czas piękny, ani nocleg wygodny, ani okrzyk słowików ukontentować i uspokoić mię nie mogą, oddalonego od ciebie, serce moje jedyne“... Korespondencya między zakochaną w sobie parą rozpoczyna się w roku 1710, tj. wówczas gdy byli dopiéro narzeczonymi, gdy pan Józef w znak i w zakład „wiernéj a słodkiéj niewoli“ przesyłał ukochanéj „sygnecik“ z prośbą, aby go zawsze nosiła, podobnie jak on ofiarowany sobie nosi „przy zielonéj wstążce“—gdy upewniał, „że między żyjącymi od wieków na świecie, nikt bardziéj, nikt wiernéj, nikt stateczniéj doświadczać passyi miłości nie mógł.“

Olśnieni superlatywami pochwał, oddawanych „jedynéj, najśliczniejszéj Kostuleńce,“ żałujemy, że nie dano nam było poznać bliżéj ideału Mniszcha i przekonać się, czy ta „najdoskonalsza w świecie dama“ posiadała istotnie przypisywane sobie przymioty i talenta. Tyle można powiedziéć na pewne, że pisała bardzo niekaligraficznie i nie ortograficznie, o czém przekonywa własnoręczna jéj notatka na jednym z mężowskich listów: „lysty do Lwowa, do mnie piszane“..:

Zdaje się, że głęboka miłość do żony była największą cnotą marszałka, który pod innemi względami nie stał wyżéj od upadłego moralnie wieku. Aż pod koniec panowania Augusta II odgrywał on niezaszczytną rolę królewskiego narzędzia, za co, jak zaręcza Loe-

(1) Że pani Konstancya lepiéj umiała chodzić koło interesów i zręczniéj od małżonka intrygować na dworze, świadczy np. list marszałka do żony, przebywającéj we Lwowie z powodu wiadomości o konaniu Sieniawskiéj (r. 1729): „Dla Boga trzeba jako najprędzéj jechać i śpieszno, wszak moje serce wiesz, jak u dworu rzeczy idą, kto nieprzytomny. W niebytności WCi mnie duszno, nie wiem, co czynić... Trzebaby choć o niedzieli wyjechać, proszę, proszę, moja duszo, i serdecznie obliguję, powracaj jak najprędzéj, bo o rzecz wielką idzie.“

wenwolde, pobiérał z prywatnéj jego szkatuły 12.000 talarów rocznie. Później brał pensyą od Rosyi i wraz z innymi magnatami żądał pomocy państw postronnych przeciw królowi; podczas bezkrólewia zachowywał się dwuznacznie, sam wzdychając do korony, a gdy go ominęła nadzieja, stanął po stronie Leszczyńskiego, popiérał go nawet przez pewien czas szczerze, lubo zawsze ostrożnie i nie narażając się zbytecznie.

Zestawiając obok siebie listy Fryderyka Augusta z listami Leszczyńskiego, widzimy, że marszałek łudził z razu obydwóch płonnemi obietnicami, sam łudzony przez rosyjskiego ambasadora, który chwali jego dobroduszność (*welchen einen der ehrlichsten finde*). Był to w istocie, o ile sądzić można, raczéj słaby, niż zły człowiek, a nieszczęście chciało, że rządy nad nim dostały się kobiecie chciwéj i skoréj do intryg. Zawiódł się jednak poseł, licząc na jego słowa, wyrzeczone w Lutym r. 1733.

„*Roi ou point roi, je ne me departirai jamais des interêts de Votre cour.*“

Z pierwszego listu, jaki Leszczyński wystosował bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości o zgonie Augusta II, dowiadujemy się o dawnych między nimi stosunkach, którychbyśmy się nie spodziewali ze względu na przeszłość marszałka. „Pamiętny W-u Panu,“ pisze Stanisław 13 Lutego r. 1733 w Chambord, „rozumiem afekt i estymacya moja ku zacnéj jego osobie. Nie zapomniałem i ja tego, któryś mi zawsze w podających się afektach świadczył, a zatém niepłonnie się spodziéwam, że przy teraźniejszéj zechcesz odnowić obligacye swoje i *pro authoritate ministerii sui dirigere negotia publica* tak żeby i Ojczyzna i ten, którego interesa są złączone z dobrem pospolitém, jak najskuteczniejsze mógł odnieść *resolatium.*“

O zachowaniu Mniszcha w r. 1733, zwłaszcza przed elekcyą, wiemy nieco z relacyj braci Loewenwoldów, ogłoszonych przez Gieriego, oraz z relacyj hr. Wilczka i markiza Monti, zużytkowanych w naszéj rozprawie p. n. *Po zgonie Augusta II* (*Przewodnik naukowy i literacki* od Sierpnia do końca roku 1877); wzmianki te uzupełnia ją się oryginalnemi listami króla Stanisława. Pod dniem 23 Października już z Gdańska dziękuje mu król „*tenerrime* za pamięć i te starania (dodaje), które masz do przełamania uporu naszych adwersarzów, których zawziętość i *tenacitatem* słodzi mi przywiązanie WPana do interesów Ojczyzny, z osobą moją nierozdzielnych.“

Podobnież 15 Stycznia następnego roku donosząc przez Eperyasza, że „nieomylnie spodziewa się posiłków,“ nie ma słów na podziękowanie „za tak chwalebne województw małopolskich do ratun-

ku Ojczyzny rezolucye, do których wiem, żeś WPan wielkim był powodem." I później jeszcze dziękując jak najgoręcéj „za tak wielkie prace i starania, które marszałek ma koło dobra pospolitego," przemawia słowami, pełnemi życzliwości i przyjaźni a „JMćPanią marszałkową i całą familią serdecznie ściska"...

Pod dniem 27 Lipca, a więc bezpośrednio po szczęśliwéj ucieczce z miasta, przyprowadzonego do ostateczności, rozpoczyna krótki list od słów: „Wszechmocna ręka boska jakim cudem wyprowadziła mie ze Gdańska, już się nieprzyjacielowi poddającego, rozumiem, że już wiadomo WMPanu."

Od 25 Sierpnia począwszy wspomina Leszczyński kilkakrotnie o jakimś obmyślanym przez siebie a nieznanym nam bliżéj sposobie ocalenia zagrożonéj swéj sprawy. Mówi, że „ułożył plantę do tego według sumienia," którą już komunikował wojewodzie kijowskiemu, Józefowi Potockiemu. „Podaję ją", pisze daléj „*judicio* WMPana, pewien, że ją *aprobabis* i wielkim kredytem swoim *cooperabis* do wykonania, czego życzę i co mi się zda w teraźniejszéj konjunkturze *unice salutare*."

W kilkanaście dni później (9 Września) powtórzywszy zapewnienie, że w owéj plancie zakłada nadzieję „*salutis publicae*", posyła z bliższemi wyjaśnieniami stolnika brzesko-kujawskiego, „to zaś, co doniesie stolnik, prosi jeszcze mieć *sub arcano* a według tego brać *mensuras*." Król uchwycił się swéj planty, jak ostatniéj deski ocalenia; widać to ze słów następnych: „Ja zdanie moje podałem—nie mogę *convinci*, żeby nie miało być *saluberrimum*. Jestem pewien, że WMPan miarkując wszystkie *circumstantias*, *approbabis*, *resolves* skrupuły, jeżeliby były jakie. Ja *teste conscientia* nic widzę przeciwko temu żadnych racyi, owszem sądzę *hoc unicum salutare*."

Nie znamy odpowiedzi Mniszcha; wiemy tylko, że wyjawił swe zdanie w dwóch listach, „których *contenta* (donosi król 15 Września) *penetrant intima cordis*"...

Snać był Stanisław zadowolonym z zachowania marszałka, powiada bowiem, że od rotmistrza Raczyńskiego odebrał ustną relacyą „*de dignissimo* WMPana *sensu* w teraźniejszych naszych nieszczęśliwych cyrkumstancyach, za którego radą daj Boże, aby jako najprędzéj kochana Ojczyna mogła *solari*, jako mam w łasce jego świętéj zupełną nadzieję... To tylko *optandum*, żeby za powodem WMPana zgodnie wszystko *decidatur et celerrime exequatur*."

W końcu proponuje Leszczyński, aby się Mniszech przeniósł do jego rezydencyi wraz z rodziną; ucieszyłoby go to niezmiernie, bo

miałby „w ukochanéj jego osobie *angelum consilii*...“ Próbę tę powtarza następnie usilniéj, ale bez skutku, gdyż położenie królewskie stawało się coraz groźniejszém. Musiał biedny tułacz okupywać sobie względy Fryderyka Wilhelma I ulubionymi dlań rekrutami olbrzymiéj postawy. Dnia 21 Września r. 1734 pisze do marszałka: „żebyś mi kilku ludzi wielkiego wzrostu kazał się starać dostać, żebym sobie mógł króla IMci pruskiego obligować, co WMPan osądziwszy za rzecz potrzebną w teraźniejszych konjunkturach, wiem, że zechcesz mię w téj materyi, o co bardzo proszę, obligować. *N'epargnez pas, je Vous prie, la peine en cela*“...

Nie tracił jeszcze Stanisław nadziei, że kraj się poruszy i pogromi nieproszonych opiekunów a marszałek przyrzekał, że dołoży wszelkich starań w tym celu. To téż wdzięczny król woła 29 Września: „Całem życiem zawdzięczę, jak da Pan Bóg, dopomożesz do konfederacyi generalnéj“ a 7 Grudnia pisze uradowany: „Pobłogosławił Pan Bóg *conatibus* WMPana w zjednoczonéj Rzeczyplitéj przez konfederacyą generalną, przy któréj tak pożytecznem i przezornem postanowieniu tem skuteczniéj nieporównana WMPana *activitas cooperabit* do ratunku Ojczyzny.“

Ale ostatnia to już pochwała, po któréj następują wyrzuty i żale; w niespełna bowiem dwa miesiące potem (5 Lutego r. 1735) pisze Leszczyński. „Niepodobna *combinare integritatem* WMPana z wiadomością fatalną, którą odbieram o rezolucyi, którą bierzecie z JMPanem wojewodą kijowskim“... Z bólem widzi nieszczęśliwy król, że wierni mu dotychczas stronnicy dążą „przez jakieś armisticium w nieochybną kapitulacyą o zgubę Ojczyzny.“ Chciałby, jeśli jeszcze można, odwieść opuszczających go przyjaciół od powziętego zamysłu, gdzie mówi: „*Lator plura deferet*, jeżeli temu jeszcze czas.“ Wahając się między nadzieją a zwątpieniem, woła: „Ja sercem z żalu ściśnionem *obnutesco*, póki mię WMPan nie odżywisz tak, abym całe życie był WPana kochający Stanisław król.“

Przytoczyliśmy umyślnie szereg wyjątków z listów Leszczyńskiego, gdyż one rzucają dużo światła na stanowisko marszałka w owéj porze i przedstawiają nam go w charakterze troskliwego o dobro kraju obywatela, pracującego wytrwale w raz obranym kierunku, czego nie można o nim powiedzieć ani w poprzedzającéj, ani w następnéj epoce. Nie powinniśmy się dziwić, że człowiek z natury słabego charakteru nie dochował do ostatka wierności prawowicie wybranemu królowi, skoro nie było już widoków, ażeby opuszczony przez Francyą i większą część własnego narodu zdołał powrócić na tron, odebrany mu przemocą. Godzi się owszem uznać, że Mni-

szech nie oświadczył się prędzéj za Augustem III, który już blizko rokiem wprzód 7 Marca r. 1734 pisał doń, że tłómacząc sobie przychylnie usunięcie się marszałka na wieś chce chętnie wierzyć, że nie zjechał na koronacyą jego i elektorowéj do Krakowa jedynie gwoli niepewności dróg, zapewnia go przeto o swych względach, na wypadek, gdyby się chciał połączyć z nim w Piotrkowie, Łęczycy lub Toruniu, dokąd się wybiera (1).

IV.

Lata 1734 i 1735 należały do wyjątkowych w długiém życiu Mniszcha; wówczas bowiem zajął pewne samodzielne stanowisko polityczne i w myśl jego działał dość stanowczo, lubo zawsze oględnie i niejako pośrednio, nie uczestnicząc osobiście w zaciętéj walce, jaka się toczyła między stronnictwami, po części dla sędziwego już wieku, w części zaś, jak się zdaje, dla braku osobistéj śmiałości i odwagi. Niemniéj przeto próbował różnych sposobów dla poratowania słabo bronionéj sprawy, a szczególniéj usiłował nakłonić Tatarów i Turków do czynnego upomnienia się u Rossyi o mieszanie się do polskiéj elekcyi. Mniszech, podobnie jak Poniatowski, Józef Potocki i Michał Potocki, wojew. wołyński, który nawet podejmował w tym celu podróże, usiłowali nakłonić to Portę ottomańską, to przynajmniéj Ordę do wojny, ale starania te nie przynosiły pożądanych owoców. Dość obfita korespondencya wchodzi w szczegóły, malujące ówczesny stosunek Muzułmanów do Polski. I tak Jan Jakub Kolumna Pogroszewski, podsędek ziemi podolskiéj, pisze z Kamieńca pod dniem 31 Maja roku 1734: „Od Chocimia nic pociesznego occurrit do oznajmienia nadto, iż przez tak długi czas uwodząc han JMć tatarski, tak wielkie od JWnych WMpanów i Dobr. zabrawszy upominki, na końcu powiedział: iż ta być moją nie może rezolucya wkraczać do Polski, póki fermanu od Porty mieć nie będę. Ferman zaś być nie może, pó-

(1) „..Je serai ravi de Vous y voir et de Vous donner des marques de Ma clémence Royale.“ Mniszech uznał Augusta III w liście z 30 Stycznia r. 1735, na co mu odpowiada król 17 Lutego między innemi: „Votre engagement de répondre pour le palatin de Kijovie a donné du poids aux promesses, qu'il M'a fait faire de sa dévotion sincère pour ma personne et la part, que Vous prennez naturellement a ses avantages, ne m'a pas peu porté a mettre le Castellan de Cracovie en état de Vous montrer un document de mes intentions favorables, pour ce que le dit palatin désire.

ki senator znaczny od Najjaśniejszego Króla JMci Stanisława i wszystkich marszałków przy dostojeństwie jego skonfederowanych *in ordine* z Portą o takowe *subsidium* posłany nie będzie do Porty.“

Na tym samym punkcie stały rzeczy przez długie miesiące, jak widać z listu atamana Kozackiego Orlika, pisanego z obozu pod Koszanami na dniu 1 Sierpnia 1734 r. Donosi w nim Orlik Mniszchowi, że han z najżywszą niecierpliwością (*impatience extrême*) oczekuje potwierdzenia wieści o szczęśliwéj ucieczce króla Stanisława z Gdańska. „Proszę wierzyć,“ brzmią dalsze słowa listu, „że nie przestajemy pracować tutaj u boku hana JMci (*auprès la Majeste le Khan*), aby go nakłonić do wyruszenia w pole, on jednak nie mogąc, ani nie mając prawa działać na własną rękę, nie przestaje zagrzewać Porty do spełnienia obietnic, dawanych tylokrotnie Rzeczypospolitéj, ale Porta pragnie widzieć posła, zaopatrzonego w autentyczne pełnomocnictwa króla i Rzeczypospolitéj, ażeby ułożyć warunki korzystne dla stron obu.“

Żądaniu temu nie można było uczynić zadość; dla tego też Porta nie posłuchała błagalnego głosu Stanisławowczyków.

Pora zawieruchy politycznéj od początku bezkrólewia aż do sejmu pacyfikacyjnego maluje się tu barwnie i dosadnie; z wszystkich stron bowiem, a szczególniéj z Kamieńca Podolskiego dochodziły marszałka to krótsze, to obszerniejsze relacye. Niektóre z nich noszą charakter wyłącznie sprawozdawczy i zbliżają się do gazetek pisanych, inne zawierają prośby i skargi. I tak korespondencya Jana Jordana (na wiosnę r. 1734), skierowana przeważnie przeciw gwałtom, jakich się dopuszczał niedoszły król zuchwały Teodor Lubomirski, wojewoda krakowski. „Tę, jakem pisał,“ mówi 29 Marca r. 1734, „hydrę, koniecznie zetrzeć potrzeba. Z trzynastu miast spiskich z wsiami, które do tych miast należą, kazał każdemu miastu wystawić po 400 ludzi, 600 *actualiter* już zebrał, okrył, zaciągnął Rossyi i Kozakom dał wczas.“ Cała okolica jęczy pod srogim uciskiem, „starostwu czorsztyńskiemu, nowotarskiemu nakazał nieznośny prowiant, *tandem* za wielkiem miłosierdziem zgodzili się panowie gubernatorowie starostw za 16 tysięcy, nowotarskie już dało 2000 *ad rationem*.

Tak dotkliwego ciemięztwa nie myślą dłużéj cierpieć mieszkańcy: „niech przynajmniéj 200 przyjdzie koni,“ woła Jordan, „a my się nie damy.“

Do osobistéj protekcyi marszałka odwołują się bardzo często tak swoi, jak obcy, a między nimi jakiś awanturniczy książę Fala-

ry (1), i potężny w późniejszych latach hetman, teraz zaś chorąży koronny, Jan Klemens Branicki, który gorliwą służbę Augustowi przypłacił utratą swobody. W czasie gdy jeszcze zostawał na wolnéj stopie, dnia 25 Września r. 1733 posłyszawszy o zrzeczeniu się przez przyszłego teścia swego Stanisława Poniatowskiego generalnego regimentarstwa na rzecz Józefa Potockiego, donosi marszałkowi, że „mieć sobie będzie *pro gloria* pod tak zacną zostawać komendą.“ „Proszę,“ dodaje, „abyś raczył JMPana wojewodę sprawić na mnie łaskawego, żeby mię nie tak, jako przeszły regimentarz zagrzewał *indiscrete* ordynansami w tych zwłaszcza konjunktorach“, a którzy dopraszając się wstawienia u nowego naczelnika, aby mu „nie odbierał tych kilkunastu ludzi,“ których ma pod ręką.

Zawiodły jednak pana chorążego nadzieje, pokładane w nowym naczelniku; bo już na początku wiosny następnego roku znajdował się w jego ręku jako surowo traktowany więzień (2). Katastrofa ta nastąpiła pomiędzy 12-m Marca, w którym to dniu jeszcze jako wolny człowiek „ubolewa nad nieszczęśliwością Ojczyzny“ a 4 Kwie-

---

(1) Duc de Falary, bo tak się podpisuje na listach snać w arcy-kłopotliwém znajdował się położeniu, skoro oświadcza 13 Sierpnia r. 1726 w Warszawie: należy słuchać Bożych i królewskich rozkazów, lecz nakaz króla polskiego tém trudniejszy dla mnie do spełnienia, „que je ne puis partir, à moins que je ne m'en aille en demandant la charité.“ Książę błaga, aby mu przynajmniéj udzielono pieniędzy na podróż, przyrzekając w zamian wdzięczność ze strony papieża, na którego dworze posiada wysoki stopień. W trzy dni późniéj wzywa Mniszcha, ażeby nie dopuścił „qu'une personne de mon rang et recommandé par le pape, périsse à Varsovie de misère. Je n'ay de quoy vivre, ni de quoy partir, ne veulant pas, que je sois réduit a demander la charité.“

W zimie tegoż roku spotykamy prześladowanego od losu księcia w Wolborzu, u biskupa Kujawskiego, zkąd pod dniem 1 Grudnia donosi marszałkowi, że dowiedziawszy się w Grodnie, dla czego August nie chciał mu powierzyć żadnego urzędu na swym dworze, żąda zadośćuczynienia. Hr. Lagnasco na wezwanie księcia Richelieu, posła francuskiego w Wiedniu, uwiadomił króla, jakoby Falary miał się dopuścić zdrożnych czynów w stolicy Austryi. Otóż dotknięty tém oszczerstwem książę postarał się o świadectwa swéj konduity na dworze tamtejszym od ministrów cesarskich i od nuncyusza Grimaldi'ego; domaga się przeto w imię sprawiedliwości, aby król polecił sprawdzić, czy owe świadectwa nie zbijają zupełnie fałszów, rozsiewanych przez Richelieu'go celem zgubienia go w oczach królewskich.

Jaki skutek wywarło słuszne żądanie księcia, nie wiemy.

(2) Jak widać z *Kroniki Podhoreckiéj* Leona hr. Rzewuskiego (str. 20) schwycił go Adam Tarło, starosta jasielski i oddał Potockiemu. Do historyi obrony Kamieńca pod wodzą Wacława Rzewuskiego, znajduje się w archiwum sporo materyałów dopełniających opowiadanie Leona Rzewuskiego; ciekawe są zwłaszcza piękne, szlachetném uczuciem tchnące listy samego pisarza koronnego.

tnia, gdyż wówczas z Jarosławia prosi marszałka o „łaskę i interpozycyą,“ o „kompassyą nad teraźniejszą sytuacyą“ a ufny w skuteczność próśb niewieścich, następnemi słowy kończy list, z którego już ocalały strzępki: „Niech także uprasza JMPani Dobrodzika JMPana regimentarza, aby był łaskawszy na mnie.“

W dwa dni później błaga Mniszcha „aby go na parol swój wziąć raczył“ a w krótkim przypisku zdradza wewnętrzny stan swéj duszy: „Choć dziś wyjeżdżamy, nie wiemy dokąd, czy do Zamościa czy do Stanisławowa. Jeżeli do Stanisławowa *per omnia sacra* suplikuję, doczekaj mię WMPan Dobrodziéj, bobym już cale o sobie desperował.“

Zamiast do Zamościa lub Stanisławowa, jak się obawiał, zawieziono Branickiego do Kamieńca podolskiego, zkąd 26 Listopada pisze znowu błagalnemi słowy do marszałka w. kor.: „Zapomniany i cale w tak nieszczęśliwéj sytuacyi mojéj od wszystkich opuszczony, w samego tylko WMPana Dobr. dawnych respektach moje składając nadzieje, do jego protekcyi *ex carcere* wyciągam rękę zdesperowany, upraszając o kompassyą chrześciańską i miłosierdzie nad osobą moją, który dla tyle niefortunnych przypadków, a najbardziéj dla zrujnowanego ośmmiesięczną detencyą i ustawicznemi niewygodami zdrowia, jakobym miał *subsistere*, sposobu nie znajduję. Jeżeli zaś kredytu mieć nie mogę, to przynajmniéj ażebym na parolu WMPana zostawał jako najuniżeniéj suplikuję, gdziebym mógł ostatniéj zdrowia mego *subvenire ruinae.*“

Nie wiadomo, o ile pan marszałek okazał serca na niedolę chorążego; wiemy tylko, że z dawien dawna stali w przeciwnych obozach, podczas bowiem, gdy drugi jako jeden z naczelników konfederacyi tarnogrodzkiéj bił ciemiężców saskich, pierwszy trzymał się statecznie dworskiéj klamki, lubo odgrywał tu raczéj bierną, niż czynną rolę. Dość powiedzieć, że podczas całego zatargu ówczesnego króla z gnębionym narodem, raz tylko słyszymy o Mniszchu, a jakże nieszczególną rolę odegrał w tém wystąpieniu, rolę pospolitego królewskiego narzędzia, używanego przeciw objawom wolnomyślności obywatelskiéj. Oto gdy w r. 1714 poseł, wyprawiony przez wojsko, domagał się słusznie: „żeby ministrowie sascy w Saksonii się rządzili, nie *in libero regno*“ a podkanclerzy litewski na to „*civilissime* odpowiedział od tronu,“ nie kto inny, jak marszałek wielki kor. objawił temu dostojnikowi wolą Augusta, „żeby więcéj na pokojach królewskich nie bywał“.... (Pamiętniki Otwinowskiego, wydanie Czecha, str. 218).

Za tę bezwzględną, niekiedy w obec narodowych obowiązków wprost grzeszną powolność, dobrze się działo Mniszchowi, bo August

był szczodrym panem dla swych ulubieńców i narzędzi. Sam opływając w dostatki i biorąc jedno starostwo za drugiém, miał marszałek niemały wpływ na rozdawnictwo urzędów i królewszczyzn. To téż skoro umarł jaki starosta lub dygnitarz, nie mógł się opędzić usilnym, a często natarczywym prośbom mężczyzn i kobiet. Tak np. po śmierci Tyzenhauza, wojewody mścisławskiego, pisze pani Róża z Ogińskich Krasińska, kasztelanowa płocka (z Krasnodworu 30 Kwietnia r. 1724): „Zostały po wojewodzie starostwa kupiskie i pieniańskie, żebyś Dobrodzieju które wyrobił dla panów Massalskich, obligować nas wszystkich do usług swoich będziesz. Tak téż i województwo wakuje. *U mnie taka stanęła ordynacya*, aby niem JWMPana podskarbiego n. w. x. lit. król Jegomość ukontentował o podskarbstwo panu Massalskiemu. Jeżeli się to będzie WMPanu zdało, ja uniżenie suplikuję, abyś to uczynił i JMości kochanéj Dobr. proszę, aby się przyłożyła instancyą swoją.“

Czasami do próśb dołączali petenci propozycye, i tak niejaki Terlecki z Unihowa listem pisanym 27 Lutego r. 1730 w Rosochach prosi o wakujące wójtostwo w miasteczku Niżankowicach, starostwie przemyskiém, obiecując w zamian wypłacić do skarbu marszałka w. kor. na koszta kancelaryi..... „500 bitych talerów *sub verbo nobili, fide et honore.*“

Niejeden z upominających się darowizny czy awansu dostaje odprawę raz, drugi i trzeci, co zamiast go odstręczyć od dalszego próbowania szczęścia, staje się owszem pobudką do natręctwa i gorzkich wyrzutów, niekiedy nawet wprost do wypowiedzenia usług. Stefan Humiecki, wojewoda podolski, grozi 8 Marca r. 1718, że „czeka nietylko dalszych rozkazów Pańskich, ale téż nagrody *meritorum*, bo w podeszłym wieku, swego azardować życia na prace nie odważy się bez pociechy drobnym sukcesorom.“ Jeszcze wymowniéj pisze *M. Podoski* z Radomia 22 Maja 1729 r. „J. W. Mci Dobrodzieju, gdybym tak długo i na galerach, jak Rzeczypospolitéj służył, albo uwolnienia z więzów, albo bym się jakiéj szarży dosłużył a tu *nulla meritorum habetur ratio.*“

Śmiały szlachcic przypomniawszy, że „kto kościołowi służy, to mu z zakrystyi płacą,“ woła z oburzeniem: „dacie za nas Bogu rachunek, którzy sercem Pańskiem rządzicie, Bóg na to patrzy!“

Uspokajał go wprawdzie dawniéj Mniszech, mówiąc:

— „Już się nie turbuj, całe ministeryum myśli o ukontentowaniu twojem“—ale były to płonne przyrzeczenia, gdyż w trzy lata późniéj błaga marszałka, aby „miał pamięć na jego prace i fatygi, które *in usum publicum* z ruiną zdrowia i fortuny *przy trzydziestu i sześciu* (sic) *funkcyach ex senatoris ex equestri ordine* odprawio-

nych podejmuje"; a 12 Sierpnia r. 1732 powtórzywszy ulubiony frazes o galerach, o starganém na służbie publicznéj zdrowiu i uszczuplonéj fortunie, mówi z goryczą: „że zaś tak nieszczęśliwy jestem, iż każda konkurencya, o jakikolwiek zamyślę wakans, zawsze na racyach *evanescit*, więc podniósłszy serce do Boga, pod jego nogi składam moję niedolę."

Zdaje się, że biedny Podoski doznawał istotnie krzywdy, podczas gdy ulubieńcy, ulubienice i ich rodziny otrzymywały, czego m się tylko zachciało.

Chcąc coś wymódz na Auguście, trzeba było przypuszczać szturm śmiało i mieć przy jego boku takich, coby umieli przypominać mu sprawę w najwłaściwszéj porze. Nie brakło ich Mniszchowi, a może najzręczniejszym i najenergiczniejszym między nimi był Krzysztof Towiański, podczaszy a późniéj podkomorzy koronny, którego listy pisane dosadnie i żywo, lubo już bardzo zniszczone, zawierają wiele ciekawych szczegółów.

„Byle się okazya najmniejsza nadarzyła," pisze z Drezna 15 Listopada r. 1727, „zaraz biegę obces do króla i mówię o WMPanu bardziéj, aniżeli o sobie" a na stwierdzenie prawdy słów swoich, opowiada szczegółowo charakterystyczne zajścia dnia poprzedniego: „Wczoraj rano JMć X. podkanclerzy (Jan Lipski, późniejszy kardynał), nie mogąc widziéć króla, mówił mi, że WMPan życzysz sobie starostwa warszawskiego, którego mógłbyś dostąpić, gdyby król dał starostwo kamienieckie panu wojewodzie kijowskiemu (Józefowi Potockiemu) *in praesenti*. Więc pobiegłem a raczéj wszedłem do króla."

Targ się nie powiódł dla tego, że August II nie ufał Potockiemu, pomny jego konszachtów z Turkami w czasie pobytu Karola XII w Benderze. Na przedstawienia więc Towiańskiego odpowiedział odmownie:

— Cela se pourroit faire, Monsieur, si la starostie de Kamieniec n'étoit pas si prêt des Turcs, avec les quels le palatin a de mik mak, et il en auroi encore d'avantage, étant staroste de Kamieniec. Cela est de dangereuses conséquences. Mais, s'il y a quelque autre bonne starostie, je la donnerai au grand maréchal.

Do téj wiernie powtórzonéj odpowiedzi królewskiéj dołącza korespondent następne objaśnienie: „Pan wojewoda kijowski nie jest tu, widzę bardzo dobrze w łasce Pańskiéj *positus*, jako i dom Potockich, krom jednego pana wojewody wołyńskiego (Michała), i ten prawda nie ze wszystkiem dobrze, ale lepiej, niżeli kto z tej familii. Stara się najbardziéj pan wojewoda kijowski o strażnikowstwo na syna, ale deklaracyi nie odbiera, ani odbierze. Namieniłem także

o buławie małéj, *in quantum* by wakowała, że pan wojewoda kijowski i dla niej ustąpiłby starostwa warszawskiego, ale i to się nie zdało królowi...“

Jeśli podejrzliwy król nie chciał oddać Potockiemu pogranicznego starostwa, nie dziw, że mu odmawiał jednéj z buław, z powodu których pod koniec jego panowania rwał się jeden sejm za drugim. Ambitny wojewoda pragnął usilnie władzy nad wojskiem, coby go uczyniło panem sytuacyi. Wiedział on, że August odtrącający teraz wojewodę musiałby się liczyć z hetmanem i dla tego nie szczędził starań, ani wydatków, aby stanąć u celu swych życzeń; król nawzajem z téjże saméj przyczyny na stanowisku wodzów siły zbrojnéj chciał widzieć ludzi sobie oddanych. Na środki i sposoby, jakich używał Potocki, dla ziszczenia przedmiotu swych westchnień, rzuca ciekawe światło list, wprawdzie niedokończony (urywa się na pierwszym arkusiku), a ztąd bezimienny, lecz niewątpliwie pisany a raczéj dyktowany przez wojewodę kijowskiego do wspomnianego powyżéj syna, ze Zbaraża 10 Czerwca r. 1726, a więc na rok z górą przed relacyą Towiańskiego. Poleca w nim Potocki przybyłemu na dwór synowi, aby się często „prezentował na pokojach“ królowi i królewiczowi i ujmował sobie wszystkich tych, którzy wywierają wpływ na umysły obydwóch, a więc aby z IMPanem starostą tymbarskim konferował często „w wiadomym o buławę interesie“ i aby wedle jego wskazówek odwiedzał ministrów, szczególniéj kanclerza w. kor., Jana Szembeka i wojewodę płockiego Denhofa, który jako „marszałek królewiczowski,“ przytém osobiście ojcu przychylny, dla syna skarbić będzie względy królewicza. Ma też młodzieniec „przypomnieć się respektowi i protekcyi“ prymasa, słuchać pilnie jego rad i zleceń, nie sprzeciwiając się w niczém, aby nie zniechęcić dygnitarza kościelnego, który przyrzekł forytować krewniaka do buławy, „zabrać konfidencyą“ z majorem Jauchem „blizkim boku królewskiego“ a wojewodzie kijowskiemu „srodze życzliwym,“ oraz z niejakim François, „baptystą,“ zasługującym dla tego na uwagę, że „ma pozwolenie najczęściéj bywać u IMPanny contessy Orzelskiéj...“ Jeśliby sam miał sposobność zapoznać się z ulubioną córką naturalną Augusta, niech to uczyni, „rekomendując“ i siebie i ojca „w teraźniejszéj o buławę konkurencyi *promotioni* onéj, a ta dama, jako *cor principis possidet*, tak najskuteczniéj dopomódz mogłaby, gdyby szczerze chciała...“

Jak dalece biegłym był pan wojewoda w dyplomatycznym kunszcie, wskazuje ostatni ustęp niedokończonego listu: „Bliższych boku tak królewskiego, jako też królewiczowskiego zapraszaj WMość, choć

nierazem wszystkich do siebie na obiad, akkomodując się im i dla maniery i bardziéj dla interesu a mogą i ci *prodesse*, gdy dobrze o nas wspominać będą, osobliwie IChmość Sułkowski i Moszyński *ex veteri et constanter perseveranti obsequio* są w partykularnych respektach u królewica IMci. Ci siła u Najjaśniejszego (sic) pana swego a on u ojca sprawić mogą... Gwałtem nie wymusimy, tylko trzeba starać się usilnie, czekać cierpliwie, promocyi szukać, nieukontentowaniem z niepomyślności w jakowéj okazyi doznaném nie zrażać się, a tak temi drogami możemy trafić na pożądane nadziejom naszym skutki i jeśli Bóg zechce, pobłogosławi krokom naszym."

Towiański, z powodu wzmianki którego daliśmy głos Potockiemu, bardzo często mówi o opróżnionych dostojeństwach i starostwach, a gdy ich braknie, woła na pół żartem, na pół seryo: „Rogate tam widzę dusze w Polsce, nikt mający królewszczyznę ani myśli umierać..." Augustowi naprzykrza się nieustannie, czém ten znudzony zbywa go jak może: „Mówiłem ja obszernie dosyć królowi, że się dziwują w Polsce, że jednym nic chce tu nic deklarować z wakansów, drugim zaś wszystko, o co proszą, daje, ale mi nato inaczéj nic odpowiedział, tylko:

— *Vous ne sauriez croire, comme j'étois tourmenté!*

Ale *on a beau de le tourmenter* kiedy nie chce, to nic nie uczyni.

Listy pana podkomorzego tém większą mają wagę, że z epoki, do któréj się odnoszą, posiadamy tak mało materyałów, że ograniczonym niemal wyłącznie na pamiętniki jednostronnie widzącego szlachcica i na korespondencyą urzędową, braknie nam poufnych zwierzeń ludzi, którzy stali przy wielkim ołtarzu, pilnie przed tłumem strzegąc swych zakulisowych robót. Sądzimy więc, że nie od rzeczy będzie przytoczyć opis odwiedzin Towiańskiego, odbytych w Gdańsku u ostatniego potomka Gotarda Kettlera linii mężkiéj, u zamieszkałego po za granicami kraju księcia kurlandzkiego, Ferdynanda.

„Pełnię rozkaz WMMPana," z tego tu miejsca czytamy pod dniem 12 Kwietnia r. 1726, „oraz donoszę, żem sam z siebie był u księcia kurlandzkiego z wizytą. Po zwyczajnych ludzkości komplementach zaczął dyskurs o swéj inwestyturze, żaląc się, że nie wie, *quo fato* naznaczona *pro 4 aprilis* od króla, *evanuit* a zatym niespodziane ode dworu czynią mu propozycye, ażeby *usitato* od antecessorów jegosz *modo* znał się na dyskrecyi *in honorario* tak królowi, jako tesz niektórym JChmościom. Potwierdziłem tosz samo repliką moją, upewniając, że jedno bez drugiego nie będzie i nie zapomniałem po Pa-

nu—domawiać się o WMPana. Na co mi odpowiedział, że by się znał na téj dyskrecyi, gdyby *in plena* był, jako przodkowie jego *possessione* dóbr kurlandzkich oraz zaś swój *exposuit* naprzeciwko JPPanów Komisarzów na on czas do Kurlandii naznaczonych, to jest na IPana Wojewodę Potockiego i IP. referendarza Dunina, że IChmość zakazali, żeby tameczne ministerium nie oddawało mu dotąd *reditus*, póki nie uczyni inwestytury, *interea* ażeby te pieniądze *pro deportatione* długów kurlandzkich od antecessorów jego zaciągnionych obracało, co oni na własny obracali użytek, albowiem i tenże między innymi, poseł ten kurlandzki, którego to do Kamieńca posłać teraz miano, od lat pięciu w dobrach księcia należących siedzi i stamtąd cztery tysiące talerów co rok prowentu zabiera. *Tandem* po długich w téj materyi dysertacyach tym zakończył, że niech mię król i Rzplita, którym dotąd byłem wierny, na posesyą dóbr *reinducant*, znać się będę do powinności méj ku Panu, jako téż osobliwie i ku WMMPanu a lubo mam i teraz trochę grosza, niepewny losu mego, chować go *pro ultima* muszę *sitti*, żadnych nie mając dochodów, *insuper* gdybym żył po książęcu, jusz bym był dawno *mendicans*. Jusz tedy, kochany Dobrodzieju, widzę, że *vana spes nostra*"...

Pod wielką tajemnicą („o czem zaklinam nic nie mówić—niech to w sercu tkwi WMPana") zwłaszcza czując się pewniejszym, gdy wyjeżdża od dworu („nie pisałbym tak śmiele z Drezna") przesyła Towiański marszałkowi nowiny przeznaczone tylko dla szczupłego koła wybrańców. Odnoszą się one przeważnie do króla i jego trybu życia, na który nasz korespondent często narzeka, ubolewając, „że się cale nie ochrania, pije i dosyć często — a mówić i prosić, aby nie pił, albo nic nie mówić, to wszystko za jedno"...

Przez pewien czas pod wrażeniem lekarskich przestróg hamował nieco swe zapały do butelki. „Król z łaski Bożéj zdrów," czytamy w jednym z listów, pozbawionych daty, „śpi, pije dobrze, czasem się i napije nadto, lecz to przecie rzadko. Noga, lubo ranka, jak pół szeląga, nie zgoiła się dotąd, co przecie, między nami, znak krwi nie ze wszystkiem dobréj: jeśli się ochraniać nie będzie, nie dobry koniec *ominatur*."

Sprawdziła się później wróżba, król bowiem umarł na nogę. Czuł on potrzebę wstrzemięźliwości, ale nie przywykły do trudnéj sztuki panowania nad sobą, folgował niekiedy ulubionéj słabości. „Pan z łaski Bożéj zdrów," pisze Towiański z Drezna 30 Grudnia r. 1727, „i ciała znacznie nabrał i codzień nabiéra; żyje *très sobrement*, tylko w Pilnicach raz był wypił półtory butele wina *de Champagne*. Od tego czasu, czemu już niedziel pięć, i kieliszka nie wypił."

Dość często uwiadamiał pan podkomorzy, oddalonego od stolicy marszałka o zajściach i intrygach dworskich. I tak pisze pod datą co dopiéro wymienioną z nieukrywaném zadowoleniem: „Pan generał Lubomirski stanął tu ongi, ale nie bardzo dobrze przyjęty. Przysłał przodem z kartką o mil cztery będąc od Drezna, swego kamerdynera do pana Loosa, aby króla prosił o stancyą dla niego. Gdy o to mówił królowi, rzekł król:

— *Vous n'avez, que lui dire, que je n'ai pas ou le loger.*

„Stałem przy królu i tosz słyszałem. Bardzo go to tedy zmortyfikowało, bo sobie siła dobrych obiecywał rzeczy, między inszymi, że ordre mieć będzie, którego jako mi ongi król mówił, widzę że mieć nie będzie a zatem *avec un pied de nez* w kilka dni ma odjechać. Otóż tobie *faire les yeux doux*!"

Jako dworak duszą i ciałem, lubi się Towiański zajmować wszystkimi i wszystkiém, co żyje w dworskich kołach; to też obok ploteczek udaje mu się częstokroć podać bardzo ciekawy szczegół. Krótko od śmierci Fleminga mówi o pozostałéj po nim wdowie znanéj z lekkomyślnego życia, Tekli z książąt Radziwiłłów, późniejszéj księżnéj Michałowéj Wiśniowieckiéj. „Pani feldmarszałkowa bodaj nie pójdzie za pana Rutowskiego (generała, naturalnego syna Augusta II.) obawiając się, żeby trzech albo czterech kroć stu tysięcy talerów nie płaciła, co nieboszczyk małżonek *zemknął* Panu *visiblement*. Upomina się ich król seryo i zaraz propozycyą uczyniono Jejmci, jeśli pójdzie za pana Rutowskiego. Responsu rzetelnego nie dała dotąd, ale widzę, że się nadstawia temu konkurentowi"...

Niemniéj złośliwie wyraża się podkomorzy o owdowiałéj po Stanisławie Denhofie wojewodzinie połockiéj, Zofii z Sieniawskich, z powodu jéj związku z księciem Augustem Czartoryskim: „Matrona, która, *fota* męża nieboszczyka i z racyą opłakiwała (1), tak że o nieprzyjaznych nieboszczykowi nie chciała i słuchać mowy a zwłaszcza o książętach Czartoryskich, na których i czci nie zostawowała, a *tandem* miłość górę wzięła, ale o tem sam siła opowiem *particularitates* Dobrodziejowi memu i dokumenta na piśmie do mnie w tej materyi wyrażone pokażę. *Elle a fait faux ton a tous ses meilleurs amis*—dla tego ja teraz zdaleka."

---

(1) Słowa powyższe odnoszą się zapewne do bardzo żałosnych listów, któremi owdowiała wojewodzina donosiła o świeżéj stracie. Kopiaryusz tych listów znajduje się w archiwum. Jeden z nich tak się rozpoczyna: „Ciężkość żalu mego a przez nią oppressya serca, wszystkie przechodzące expressye, łzy nieutulone wyciska i zamiast odetchnienia, samem dychać jęczeniem pozwala"... itd.

I z Mniszchami nieszczególne stosunki łączyły bogatą dziedziczkę; odpisując bowiem marszałkowéj wielkiéj kor. (16 Sierpnia r. 1731 z Warszawy) na powinszowanie odbytych przed dwoma miesiącami zaślubin, wspomina o „dawniejszych dyfferencyach z JMcią Panem marszałkiem“ (1). Pomiędzy księciem Augustem a Mniszchami nie było nigdy szczeréj zgody, choć jednano się od czasu do czasu, jak np. 3 Lipca r. 1733, gdy B. Gozdzki pisze z Dąbrówki nie wiadomo do kogo: „Donoszę też JWPani Dobrodziejce, że już po napisanym liście zaszła mnie wiadomość o zgodzie wojewody ruskiego z panem marszałkiem.“

Sama matka księżnéj Augustowéj, słynna z rozumu i wpływu na sprawy publiczne Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska, hetmanowa w. koronna, kobiéta wedle Otwinowskiego, „tak dobrego obrotu, że z całą Europą miała konferencye“ z natury żywa i energiczna, nie wahała się wystąpić przeciw Mniszchowi ostro, lubo zwykle przemawiała doń tonem życzliwym i przyjaznym. List (bez daty), zdradzający gwałtowne usposobienie dostojnéj pani, przytaczamy tém chętniéj, że w innych mówi niemal wyłącznie o sprawach potocznych, niezasługujących wcale na uwagę:

„Donosi mi podstarości mój, Czerniakowski, że tam WMIWPan jakichś ubogich chorych w szpitalu lokować ordynujesz, zaczem proszę WMMPana, żebyś tę *charitatem* nie w moich dziedzicznych dobrach, ale po Warszawie lub na innem miejscu do swojéj należącym jurysdykcyi pokazać i rozłożyć raczył, bo nietylko że sama do Warszawy najdaléj za trzy niedziele zjadę a w Czerniakowie stać będę, żadnych tam nie życzę sobie zastać chorób, ale i ludzi moich chcę mieć od téj zarazy wolnymi. Upewniam zaś WMPana, że tego pozwolić nie mogę i szpital zamknąć i zapieczętować każę; jeżelibym zaś w tem miała jaką wiolencyą, musiałabym w sądzie szukać sprawiedliwości, który i sędziów sądzi. Upraszam tedy i powtórnie, abyś był na mnie łaskawszy, niż jesteś, bo ja jestem etc.

Słynny mezalians księcia Teodora Lubomirskiego z uwiedzioną mieszczką krakowską, Krystyną Kominżanką, wywołuje w dumnéj siostrze słowa lekceważenia i pogardy. „Słyszę,“ pisze 10 Lipca r. 1727 z Wilanowa, „że i mój brat się ożenił, starosta spiski, czego mię aż wstyd, z Chrystą—bardzo piękna kolligacya!“

---

(1) W tym samym liście donosi księżna, że mąż pojechał do Drezna „dziękować królowi JMci za konferowany sobie order bardzo piękny z brylantami i bardzo obligujące przytém w liście expressye.“

Dość charakterystycznym i ciekawym jest list pani kasztelanowéj pisany kilku miesiącami wprzód, 26 Lutego z Jarosławia: „Chciałam ztąd jechać, ale mnie Jan nie puszcza a potem na śledzionę strasznie choruję, nudności straszne, ludzi nie lubię, tylko mnie melankolia jakaś opanowała straszna. Chcę do Warszawy jechać, jeżeli króla zastanę jeszcze—niezmiernie teraz zła droga, bo puszcza strasznie. Królewicz Jakób ongi mało nie umarł w Złoczowie, tak był zemglał, że się go ledwie dotrzyżwili i jeszcze choruje. W Złoczowie z królewiczową źle bardzo. Mnie chcieli do zgody, alem ja się wymówiła, ale się królewiczowa poprzyznawała do blankietów, jako on powiada. Dla tego do tych kłótni wdawać się nie chcę“.,. (1).

Jak widzimy w smutnym stanie zdrowia i usposobienia znajdowała się ta niepospolita kobiéta w ostatnich latach życia, które zakończyła w Oleszycach 24 Marca r. 1729.

Ciekawsze są listy jéj męża, którego zaledwie o trzy lata przeżyła, ostatniego potomka możnego rodu Sieniawskich, hetmana w. kor. i kasztelana krakowskiego. Ciągną się one od r. 1713 (2) do 1726, najważniejsze jednak obejmują czas pomiędzy rokiem 1715 a 1717. Niezdolne zrehabilitować samolubnego, upartego a słabego magnata, ani usprawiedliwić jego chwiejnego i nieszczerego postępowania, przedstawiają go przecież w znacznie korzystniejszém świetle, aniżeli pamiętniki nie dość sumiennego w sądach Otwinowskiego, prototypu szlacheckiéj lekkomyślności i podejrzliwości, wietrzącego wszędzie przeniewierstwo i zdradę.

Hetman z powodu różnych okoliczności tak śmiało i otwarcie występuje przeciw nadużyciom Sasów, lubo wié, że słowa jego dojdą do Monarszych uszu, a nawet nieraz każe je sam powtórzyć królowi—tak wyraźnie określa swoje stanowisko w stosunku do dworu i narodu, że wniesione przeciw niemu oskarżenia pamiętnikarza musimy uznać za mocno przesadzone a zarazem oświadczyć, że późniejszy więzień konfederacyi tarnogrodzkiéj zapewne mniéj względem niéj przewinił, niż powszechnie mniemamy. Źródło, na podstawie które-

---

(1) O Jakubie Sobieskim i o Annie Iwanownie, późniejszéj Cesarzowéj szczególną wiadomość podaje Chomętowski, wojewoda mazowiecki, w liście do marszałka, pisanym na wiosnę r. 1724: „Soli. Piszą mi, że królewic Jakub życzy sobie *renovare nuptias* z księżną kurlandzką.“

(2) Na dniu 23 Stycznia r. 1713 pisze hetman: „Tak ja rozumiem, że król IMć szwedzki inaczéj zacząć nie zechce, tylko z brzega od króla IMci duńskiego, bo kto chce karpi w kotlinie dostać, z brzegu po jednemu, żeby się wszystkie nie poruszyły, brać musi“...

go wypowiadamy to zdanie, jest wiarogodne i pewne; o ile bowiem pisząc do członków i zwolenników konfederacyi, mógłby Sieniawski zostawać pod podejrzeniem nieszczerości, o tyle w listach wystosowanych do dworaka a piętnujących saskie bezprawia, zasługuje na bezwarankową wiarę.

Otwinowski zapewne w dobréj wierze stał się łatwowiernėm echem współczesnych zarzutów, podnoszonych przez otwartych przeciwników hetmana. Zbija je sam Sieniawski, pisząc 4 Marca r. 1716 ze Lwowa: „JMPan feldmarszałek Fleming powiedział przed wszystkimi przytomnymi w Rawie, żem nigdy o ewakuacyę wojsk J. K. Mości nie prosił i żadnych w téj mierze rzeźwych nie czynił reprezentacyi. Przyzywam jednak w tem WMPana *testimonium*, i teraz JMPan *involat in jus* władzy hetmańskiéj, wydaje dyspozycye na tyberny i konsystencye. A zkąd do tego prawo? Czyliż to już ministerya nasze *vana simulacra*? Upraszam tedy WMPana, abyś tak JKMość o tem informować chciał i JMPana feldmarszałka reflektować, aby *praejudicium* tego nie czynił."

Rozwodzi się niejednokrotnie pamiętnikarz nad „libertowaniem" włości hetmańskich „to od Moskwy, to od Sasów" a przecież widocznie ich nie oszczędzano, skoro Sieniawski utyskuje często na niegodziwą gospodarkę, jakiéj się w jego dobrach dopuszczają Sasi. „Wszędzie zgoła *deserta Arabia*", woła ze Lwowa 14 Marca r. 1716 i dodaje zaraz: „Tłómaczyć daléj nie mogę, tylko, że to za osobliwym J. Kr. Mości dzieje się ordynansem albo przynajmniéj JMPana feldmarszałka Fleminga."

A ileż to razy gromi hetman nadużycia Sasów i dopomina się o surowe zadośćuczynienie. Główne morderstwo, dokonane na Turskim, tak opisuje 1 Maja r. 1715 z Oleszyc: „Przy dokończeniu tego listu przychodzi żałosna i niespodziewana wiadomość o śmierci JMPana Turskiego, starosty pilznieńskiego, chorążego usarskiego królewicza JMci Augusta, którego francuzki JKMci regiment, na Spiż czyli do Krakowa idący, okrutnie naszedłszy *armata manu* na dwór jego, zamordował i z wszystkiem zrabował. Zabili z nim razem i pana Sierakowskiego, chorążego chorągwi pancernéj JMci Pana kasztelana sandomirskiego (Józefa Myszkowskiego) i JMci Pana Berezickiego, towarzysza książęcia JMci podkanclerzego W. X. lit. (Kazimierza Czartoryskiego) i innych ludzi niemało. JMci Pana zaś Bełhackiego, kasztelana bieckiego, JMPana Malawskiego, towarzysza i buńczucznego króla JMci i dwóch reformatów na śmierć postrzelano i pokłuto, i ci wszyscy są bez nadziei życia."

Do tego opisu, różniącego się nieco w szczegółach od wersyi Otwinowskiego, dołącza Sieniawski następną uwagę: „Uważże

WMPan, co się to za niepraktykowany stał kazus i chciéj JKr. Mci tę okropną donieść scenę, z wyrażeniem nietylko mojego, ale i całego wojska żalu. Ten kawaler służył zawsze wiernie i życzliwie J. Kr. Mci, bywszy syna J. Kr. Mci oficerem i tenże już dnia dzisiejszego stanąć miał najpierwszy w obozie i kupić wojsko jako regimentarz, aż taką odebrał zapłatę.“....

Hetman domaga się jak najsurowszéj pomsty na zabójców; proszę, mówi: „abyś tę akcyą jak najgorliwiéj J. Kr. Mci remonstrować raczył i upraszał J. Kr. Mości, aby tych oficerów, którzy nie pilnując komendy, prawie pozwolili to wszystko uczynić ludziom swoim, przykładnie i kryminalnie sądzić i karać kazał, zasłużyli bowiem za to, aby ich ćwiertowano“ (1).

Otrzymawszy wiadomość, że August „tego fatalnego wypadku żałuje,“ oświadcza Sieniawski (8 Maja) że „nie może J. Kr. Mość większéj nieboszczykowi JMPanu staroście i po śmierci pokazać łaski jako gdy będzie mścicielem występku i kryminalnie tak wielką zbrodnię sądzić i karać każe.“ Na zarzut, że i Turski nie był bez winy, odpowiada: „Po staremuż go najechali ludzie J. Kr. Mości a napastnik *a se ipso occiditur*; bronił się nietylko jako szlachcic, ale i jako żołnierz, mając po sobie prawo *immunitatis*.“

Mógłby nam powiedziéć pamiętnikarz i nie dziw, że Sieniawski tak gorąco odzywa się przeciw mordercom, gdyż Turski „był wielki faworyt hetmański.“ Na szczęście nie brak ustępów, w których hetman występuje przeciw bezprawiom i gwałtom saskim, czegoby nie czynił, gdyby się z duszą i ciałem zaprzedał dworowi. Pisze on do marszałka 23 Maja r. 1715 z Dzikowa: „Chciéj WMPan *pro gradu suo* reprezentować J. K. Mci nieznośne jarzmo Sasów, które ostatnią desperacyą, niepohamowaną i niewyperswadowaną po województwach wzbudza i w wojsku toż sprawuje“ a 5 Czerwca (z Dzikowa) odmalowawszy wzburzenie szlachty na sejmiku wiszeńskim, przypomina, że wielokrotnie upominał ministrów, ale u nich „*non apprehen-*

(1) O wypadku tym przemawia w 10 dni późniéj regalista Dorpowski w liście, pisanym do marszałka ze Śmiłowic: „Mieszać ta akcya musi każdego, bo przy niedyskrecyi saskich ludzi kto w domu bezpieczny? kiedy od nas, oficerów królewskich zaczynają. Ten przez wszystkie lata swoje wiernie Panu i Rzeczypospolitéj służył, na tę i ową stronę nigdy nie udawał się, aż za to nieszczęśliwą i niespodziewaną śmiercią przyszło zakończyć i jeszcze regimentarzem będąc, gdy na ściągnienie wojska pod Koprzywnicę miał wyjeżdżać, tyrańsko w domu zginąć musiał. Gwałtu i zemsty do Boga ta nieszczęśliwa woła sprawa.“

debantur życzliwe przestrogi, folgi żadnéj nie uznano i owszem coraz nowe wynajdywano *irritamenta*"....

Jak bardzo brał sobie do serca niedolę Polaków, zagnanych w głąb Rossyi, widać z pisma, wysłanego z Brzeżan, zdaje się, że w r. 1718: „Donoszę oraz, żem tu z poczty warszawskiéj odebrał list aż z Archanioła (Archangelska), od niewolników szlachty polskiej, w więzieniu tam będących dawno, suplikujących o wyzwolenie, między którymi znajduje się także niejaki pan Sienicki z ziemi chełmskiéj. Są także w Peterburku niewolnicy polscy, jest znaczny szlachcic, Michał Czerniecki, od dziewięciu lat w niewoli, kolligat panów Wrzeszczów, za którymi upraszam WMPana o instancyą do J. K. Mci, aby z wrodzonéj klemencyi swojéj raczył pisać do Cara JMci o uwolnienie wszystkich niewolników polskich, w państwie jego będących"....

Z „Dźwinogrodu" donosi Sieniawski 8 Kwietnia r. 1716 o ciekawych zajściach, w których nietrudno byłoby dopatrzéć się wypadku uwięzienia nielubionego hetmana przez tarnogrodzkich konfederatów, gdyby nie wzmianka o Piotrze W. i Daszkowie i gdyby nie było wiadomą rzeczą, że przygoda z konfederacyą zdarzyła mu się 19-go Lutego. Rozpoczyna się ten list od słów: „Transakcya tragiczna nad spodziewanie wszystkich w przeszły piątek we Lwowie odprawiona, którą insze ręki obszerniéj WMPanu rozumiem wyraziły, ruszyła mnie ze Lwowa na to miejsce", a kończy następnemi wyrazy: „W téj namienionéj tragedyi, ze dwie godziny i więcéj trwającéj, gdy jedni w miasto *ab extra* wpadli, drudzy już w mieście będący, ab intra attakowali, ledwie mi nie przyszło *vitae* zakończyć *scenam*, aż na parol cara JMci przez JPana Daszkowa założony, wzięty jestem. Toć to jest, że J. Kr. Mość nie słuchał naszych suplik, WMPanowie zaś reprezentacyi. Ztąd my niewinni ofiarą być musimy za wszystkich.... Na te jednak wszystkie wzmagające się gorsze rezolucye lekarstwo najskuteczniejsze, Klemencya J. Kr. Mości, skłoniona *ad vota populorum.*"

Opisany powyżéj wypadek, o ile nam wiadomo, nie był dotychczas znanym.

Niektóre listy malują dosadnie stosunek hetmana do króla. „To najgorsza," pisze z Brzeżan 7 Grudnia r. 1717, „że przedtém hetmani, widząc zaczepkę jakąkolwiek od wypadających ze stepów tatarskich swywolnych ludzi, donosili to zaraz hanom i rekwirowali poskromienia; ja teraz i w tém skrupuł mam pisać do hana, nie doniósłszy o tém J. Kr. Mości i nie miawszy na to pozwolenia."

Najwięcéj obawiał się August konszachtów Sieniawskiego z Piotrem W.; to też pod dniem 23 Marca r. 1718 pisze hetman do marszałka: „Winszuję sobie, że mi WMPan donosić raczysz o ukontentowaniu J. Kr. z oddalenia rezydenta Cara JMci odemnie.“

Jak widzimy, Mniszech służył za pośrednika między buławą a tronem i jeśli sam często udzielał hetmanowi wskazówek z natchnienia dworu, to znowu na odwrót listy Sieniawskiego komunikował królowi.

Kantecki.

(Dokończenie nastąpi).

WYCHOWANIE PUBLICZNE W ANGLII

WEDŁUG ŹRÓDEŁ ANGIELSKICH I NIEMIECKICH

opracował

Teofil Krasnosielski.

(Dokończenie).

IV.

Plan nauk.—Języki starożytne.—Języki nowożytne.—Język angielski.—Historya i geografia.—Matematyka.—Nauki przyrodzone.—Śpiew, rysunki, gimnastyka.—Religia.—Uwagi i krytyka.

Plan nauk w szkołach angielskich jest bardzo niejednostajny. W każdéj szkole trzymają się w tym względzie swoich tradycyj, z uwzględnieniem potrzeb i wymagań czasu; tak mianowicie w latach ostatnich z uwzględnieniem egzaminów przed komisyami uniwersyteckiemi, albo egzaminów na stopnie naukowe (honours), lub w celu otrzymania stypendyów i nagród.

W czasach dawniejszych jak wszędzie tak i w Anglii łacina była prawie jedynym przedmiotem wykładowym, była nawet powszechnie używaną w mowie potocznéj. Szczególną wartość przypisywano wówczas kompozycyi wierszy łacińskich, które składano nietylko w szkole na zadane tematy, lecz także przy lada nadarzonéj sposobności; najwięcéj pod tym względem odznaczała się szkoła Etońska i dotąd jeszcze jéj należy się palma pierwszeństwa. W wieku 16 poczęto także uczyć języka greckiego, w którym szczególniéj odznaczał się londyński Christ's Hospital, tak jak Eton w łacinie; w wieku 17 w niektórych szkołach wprowadzono matematykę;

w szkole Westminsterskiéj nawet język hebrajski i arabski, a w Christ's Hospital naukę żeglarstwa. Dopiéro w bieżącém stuleciu rozszerzono zakres matematyki, wprowadzono historyą i geografią, oraz język francuzki i niemiecki (gdzieniegdzie także włoski) i nauki przyrodzone; trzy ostatnie przedmioty (tj. języki nowożytne i nauki przyrodzone) nie we wszystkich jeszcze szkołach są obowiązkowemi. Jednakże podstawą wykształcenia pozostały dotąd *języki starożytne i biblia*. Przeciwko przewadze języków starożytnych w szkołach istnieje w Anglii (jak wszędzie) opozycya na korzyść przedmiotów realnych; lecz większość ludzi światłych (tak np. i komisya rewizyjna z r. 1864) stanowczo jeszcze językom w ogólności, a językom starożytnym w szczególności, przypisuje większą wartość propedeutyczną, aniżeli realiom.

Z języków starożytnych łacina cieszy się w szkołach angielskich większą popularnością od języka greckiego, który to ostatni w niektórych szkołach nie uważa się nawet za przedmiot obowiązkowy. Literatura łacińska jest w ogóle dla Anglika sympatyczniejszą od greckiéj, dla tego, że więcéj odpowiada jego sposobowi myślenia i więcéj oddziaływa na kształcenie charakteru, o co właśnie najwięcéj chodzi Anglikom; literatura grecka natomiast więcéj ma wartość estetyczną, na co w Anglii i w życiu i w szkole mniejszą zwracają uwagę. Dawniejszy zwyczaj reprodukcyi, zasadzający się na składaniu wierszy łacińskich i greckich (zwłaszcza pierwszych), oraz na używaniu języka łacińskiego w mowie i piśmie, został znacznie ograniczony, a czas zyskany obrócony na inne przedmioty. Obecnie przy wykładzie języków starożytnych głównie zwraca się uwagę na to, ażeby uczniowie jak najobszerniéj zapoznali się z literaturami starożytnemi. W szkołach tedy angielskich czytają daleko więcéj autorów greckich i łacińskich, aniżeli gdziekolwiek indziéj. Oprócz bowiem tych autorów, których zwykle w gimnazyach klasycznych tłómaczą, w Anglii czytają nadto z łacińskich poetów: Plauta, Terencyusza, Lukrecyusza, Katulla, Propercyusza, Tybulla; z greckich: Teokryta, Biona, Moschusa i Arystofanesa. Że pod względem obyczajowym niebezpiecznie dać chłopcu w rękę Plauta lub Arystofanesa, o tém naturalnie wiedzą w Anglii bardzo dobrze; niejeden też głos odzywa się za usunięciem ze szkół tych i podobnych im autorów. W ogólności jednakże przeważa opinia, wypowiedziana przez Macaulaya w następnych słowach: „jest to zasada angielska, że chłopców i młodzieńców trzeba wystawiać na próbę, a zasadę tę należy zastosować i do moralności"; oraz opinia więcéj pedagogiczna: iż chłopcy, czytając rzeczy sprośne, niewiele sobie przy tém myślą, niewiele też pozostaje się z tego w ich wyobraźni (czy tylko Anglicy

zbyt wiele nie liczą na naiwność dzisiejszéj młodzieży?). Z poetów łacińskich najpopularniejszym jest Horacyusz (zwłaszcza w Eton, ztąd „biblią Etońską“ nazwany), gdyż u tego pisarza obok świetnéj dykcyi znajduje się wielka obfitość pięknych i wzniosłych myśli, które wyborny wpływ wywierają na kształcenie charakteru. Każdy wykształcony Anglik jest na wskróś obeznany z Horacyuszem, a cytaty z tego autora przed niedawnym jeszcze czasem były w parlamencie rzeczą bardzo zwyczajną i popularną. Przy tłómaczeniach autorów starożytnych zwracają bardzo uwagę na ścisłość i poprawność wyrażenia, przez co młodzież nabiéra wielkiéj wprawy w ustném i piśmiennéni wysłowieniu, czyli raczéj uczy się mówić i pisać poprawnie po angielsku głównie na tłómaczeniach starożytnych pisarzy; dobitność zaś, jasność, logiczność i prostota stylu angielskiego objaśnia się właśnie tém, że wszyscy pisarze angielscy (nawet kobiéty) kształcili się na wzorach klasycznych. Wykształcenie klasyczne czyli humanitarne jest bowiem w Anglii więcéj rozpowszechnioném, aniżeli w którymkolwiek innym kraju; chociaż mało tam uczoności filologicznéj takiéj np. jak w Niemczech.—Łacinę wymawiają Anglicy zupełnie na sposób angielski (jak Francuzi wymawiają ją po francuzku), w skutek czego, jak już Milton zauważył, przestała ona właściwie w ich ustach być łaciną. Tak np. „regina“ wymawiają „ridżajna“, a słynną depeszę Cezara o zwycięztwie odniesioném nad Farnacesem czytają: „vinci, veidei, veicei!“ Jednakże i w tym względzie przygotowuje się pożądana reforma; w niektórych szkołach wprowadzono już wymowę oryginalną łacińską (taką mniéj więcéj jak u nas i w Niemczech), a nawet—co zupełnie jest uzasadnioném—łacińskie *c* czytają zawsze jak *k* (np. Kikero, skiliket).

Z języków nowożytnych uczą w szkołach angielskich prawie tylko francuzkiego i niemieckiego. Język francuzki jest daleko popularniejszym od niemieckiego, jest téż w większéj ilości szkół przedmiotem obowiązkowym, aniżeli niemiecki. Pochodzi to ztąd, że język francuzki w stosunkach międzynarodowych ma daleko większe znaczenie od niemieckiego, zwłaszcza dla Anglików tylko kanałem oddzielonych od Francyi; przytém jest łatwiejszym do nauczenia; wreście i to zaznaczyć wypada, że Anglicy większy mają pociąg do Francyi i jéj cywilizacyi, aniżeli do Niemiec. Nauczycielami obydwóch języków są po większéj części rodowici Francuzi i Niemcy. Postępy jednakże w tych przedmiotach są słabe. W Anglii panuje to przekonanie, że języków nowożytnych można się nauczyć tylko praktycznie przez konwersacyą; ci rodzice przeto, którym środki na to pozwalają, posyłają swe dzieci na naukę języków do Francyi lub Niemiec.

Język angielski wykłada się obecnie o wiele staranniéj jak dawniéj, kiedy cala uwaga zwróconą była na języki starożytne. Gramatyka z uwzględnieniem historyi języka, stylistyka, historya literatury—ostatnia więcéj przez czytanie samych pisarzów jak przez udzielanie wiadomości bibliograficzno-literackich - oto plan wykładu języka ojczystego w Anglii. Do tego dodajmy i wypracowania, do których temata wybierają się łatwe i zastosowane do pojęcia uczniów; niekiedy nawet w téjże klasie daje się kilka tematów, stosownie do uzdolnienia pojedyńczych uczniów. Przedewszystkiém unikają tematów o rzeczach abstrakcyjnych: abstrakcya bowiem jest to dla umysłu angielskiego rzecz całkiem niepojęta. Natomiast żądają od ucznia, ażeby umiał obserwować, rozróżniać i jasno wyłożyć.—Niemałe znaczenie nie tylko w szkołach elementarnych, lecz i w wyższych posiada ortografia. Dla dzieci nauka czytania a zwłaszcza pisania jest w Anglii daleko trudniejszą i więcéj wymaga czasu, jak gdziekolwiek indziéj, albowiem muszą one zapamiętać całą dowolność tradycyjnéj ortografii. Z tego powodu nawet w szkołach wyższych ortografia niemało przedstawia trudności i we wszystkich klasach potrzebuje jeszcze wprawy (dyktando); mimo to nieraz zdarza się, że młodzieniec wstępujący do uniwersytetu nie zupełnie w niéj jest pewnym. Niejednokrotnie próbowano zreformować i uprościć ortografią angielską (tak np. Maks. Müller gorliwie oddawna zajmuje się tą sprawą); wątpić wszakże należy, czy się to uda, głównie dla tego, że, jak utrzymują Anglicy, nie ma na to czasu.

Wykład historyi i geografii powszechnéj jest w szkołach angielskich bardzo ograniczony. Co do historyi, to niemniejsza powaga jak Stuart Mill uważał za nonsens uczyć jéj w szkołach, gdy najlepiéj według jego zdania zapoznać się z nią przez własne czytanie. Takie téż jest powszechne zdanie Anglików i dla tego w szkołach wykładają prawie wyłącznie tylko historyą starożytną i angielską. Pierwsza jest w ścisłym związku z wykładem języków starożytnych i, oprócz historyi politycznéj, obejmuje starożytności, mitologją itd. W niektórych szkołach posiadają muzea odlewów gipsowych i rysunków starożytności greckich i rzymskich. Przy historyi angielskiéj uwzględnia się historya innych narodów (np. Francyi) o tyle tylko, o ile jest w związku z historyą angielską; natomiast wszelkie poglądy uniwersalne uważają za niepotrzebne i niepożyteczne dla młodzieży. W samym wykładzie historyi angielskiéj chodzi głównie tylko o fakta; raz ze względów ogólnych: aby nie zaprzątać umysłów młodzieńczych „poglądami, ideami“ i tym podobnemi abstrakcyami; następnie ze względów politycznych: aby nie obrażać uczuć i przekonań tak rodziców, którzy nie życzą sobie, aby synom ich zaszczepio-

no w szkole inne polityczne i religijne zapatrywanie jak to, które sami wyznają, jako też i samych uczniów, którzy w Anglii o tyle są politycznie dojrzali, że wiedzą, do jakiego stronnictwa ich rodzice należą, oraz jak się w domu na daną kwestyą zapatrują. Również i w nauce geografii oprócz starożytnéj uwzględnieją głównie geografią W. Brytanii i kolonij; z innych zaś krajów tylko to, co dla Anglików, zwłaszcza dla ich stosunków handlowych, może być interesującém i ważném.

Matematyka do niedawnego czasu jeszcze była w szkołach publicznych przedmiotem nieobowiązkowym; w Eton do r. 1836 wcale nawet prywatnie nie uczono matematyki, a dopiéro od r. 1851 wprowadzono ją do planu szkolnego. Obecnie matematyka jest wprawdzie we wszystkich skołach przedmiotem obowiązkowym, lecz bynajmniéj nie zajmuje tego wybitnego stanowiska, jakie posiada w gimnazyach i lyceach stałego lądu. Cztery działania, ułamki proste i dziesiętne, reguła trzech, proporcye, cztery księgi Euklidesa, który dotąd jest uprzywilejowaną książką szkolną w Anglii, nieco algebry, nieco trygonometryi i geometryi analitycznéj --oto prawie cały kurs matematyki w szkołach publicznych.

Jeszcze skromniejszy zakres mają nauki przyrodzone, tak opisowe jak i doświadczalne, które dotąd jeszcze nigdzie nie są uważane za przedmioty obowiązujące.

Śpiew i rysunki dopiéro od lat kilku weszły w powszechne użycie i tylko w niektórych szkołach publicznych dotąd nie zostały wprowadzone.

Gimnastyka, prowadzona systematycznie i racyonalnie, także dopiéro w ostatnich latach w niektórych zakładach naukowych została wprowadzoną. W szkołach publicznych gimnastykę zastępują słynne gry i zabawy, którym się młodzież z namiętnością oddaje; zauważono wszakże, że przez nie u młodzieży angielskiej zbytecznie rozwijają się muskuły w rękach, a natomiast zaniedbuje się wprawa w skakaniu i woltyżowaniu. W niektórych szkołach urządzono warsztaty stolarskie, tokarskie itp., ażeby młodzieży oprócz ruchu dostarczyć przyjemną i pożyteczną rozrywkę. We wszystkich szkołach publicznych są także osobni nauczyciele tańca, fechtowania i ćwiczeń wojskowych.

Nauka religii, stanowiąca w innych krajach przedmiot wykładowy jak każdy inny objęty programem szkolnym, tylko w niewielu szkołach angielskich wykłada się systematycznie według pewnego planu. Ztąd jednakże nie wypada, iżby szkoła wyższa w Anglii miała charakter świecki czyli bezwyznaniowy; przeciwnie, według powszechnego przekonania Anglików, szkoła wyższa

powinna mieć charakter religijny, chrześciański. We wszystkich szkołach publicznych odbywa się codziennie nabożeństwo poranne i wieczorne, składające się z modlitwy, śpiewu i czytania biblii. Niedziela zaś, który to dzień (jak wiadomo) obserwuje się w Anglii bardzo skrupulatnie, przeznaczona jest od rana do wieczora na praktyki religijne; w skutek takiéj przesady, naturalnie, nie tylko nuży się umysł i ciało, lecz i samo nabożeństwo łatwo stać się może suchym formalizmem (1). Sama nauka religii w szkole zasadza się prawie tylko na czytaniu i uczeniu się na pamięć biblii. Wprawdzie uczniowie anglikańscy uczą się także katechizmu, a w wyższych klasach obowiązani są przestudiować kilka znakomitych dzieł teologicznych, lecz rzeczą główną pozostaje zawsze biblia. Takie ograniczenie ma swoję przyczynę w téj saméj „religious difficulty," która w szkołach elementarnych tak wielkie przedstawia trudności. Ażeby nie obrażać uczuć religijnych różnych wyznań, unikają w szkole wszelkich kwestyj dogmatycznych; nawet wykładu nauki moralności ze stanowiska chrześciańskiego szkoła nie uważa za swoje zadanie, gdyż nieraz rodzice wyraźnie sobie zastrzegają wszelkie osobiste oddziaływanie nauczyciela na moralno-religijne uczucia i przekonania dzieci. Samo czytanie biblii tak starego jak i nowego testamentu odbywa się też bez teologicznych objaśnień: przez częste czytanie i słuchanie ma ona sama przez się stać się jasną i zrozumiałą. Nowy testament wcześnie czyta się w oryginale greckim i objaśnia się tak jak każdy autor, tj. przedewszystkiém gramatycznie, lecz także z obszerném uwzględnieniem starożytności, historyi, geografii itd.; tak samo ma się ze starym testamentem (2). W skutek takiego ograniczenia nauki religii, w skutek ostrożnego i lękliwego unikania wszelkich kwestyj spornych i dogmatycznych, w szkołach angielskich panuje jak najlepsza harmonia: uczniowie wszelkich wyznań, nie tylko protestanci,

---

(1) Wiese (II, str. 261) w jednéj szkole publicznéj, w któréj spędził Niedzielę, wylicza następny porządek nabożeństwa: przed śniadaniem w domu; przed obiadem, po obiedzie i wieczorem w kościele; wreście jeszcze raz wieczorem w domu! Przytém tenże autor, zresztą sam pietysta, robi złośliwą uwagę, że zwyczaj szkół angielskich, iżby w Sobotę była rekreacya, należy uważać jako przygotowanie do Niedzieli, tj. nie tylko jako skupienie ducha, lecz i zebrania sił fizycznych, potrzebnych do tak natężonéj pracy!

(2) Jak gruntownem musi być obeznanie uczniów z historyą biblijną i jak drobiazgowe są wymagania nawet od chłopców 15 lub 16 letnich, o tém świadczy następujące pytanie z biblii, postawione na egzaminie (Wiese II, str. 256): „Przypuściwszy, że żyjemy w Palestynie za czasów Gideona i chcielibyśmy zrobić wielki majątek, to w jaki sposób moglibyśmy dojść do tego? 1) czy przez handel, 2) czy przez oddanie pieniędzy na procent, 3) czy przez sztukę, 4) czy przez literaturę, 5) czy w jaki inny jeszcze sposób?"

lecz także katolicy i żydzi, powszechnie biorą udział w czytaniu biblii, niekiedy nawet w modlitwach i śpiewach kościelnych; rzadko zaś zdarza się, iżby rodzice ze skrupułów religijnych uwalniali swe dzieci od nauki religii, do czego mają prawo na mocy „conscience clause“ (o któréj por. „Aten.“ zeszyt Majowy str. 226).

Takim jest w ogólnych zarysach plan nauk w szkołach publicznych i w szkołach średnich w ogólności. Mimo woli nasuwa się pytanie: o ile szkoły angielskie spełniają swe zadanie pod względem dydaktycznym—zadanie, które jak wszędzie tak i w Anglii zasadza się na przyswojeniu sobie przez uczących się pewnéj sumy pozytywnych wiadomości oraz na rozwinięciu władz umysłowych i wyrobieniu samodzielnego sądu o rzeczach. Co do pierwszego, to przedewszystkiém uderza ograniczenie kursu do niewielu obowiązkowych przedmiotów, a pomiędzy temi znowu skupienie głównéj uwagi na językach starożytnych i zredukowanie kursu innych przedmiotów do minimum. Wielostronność, albo tak zwane harmonijne wykształcenie, według wymagań którego wszystkie zdolności umysłu powinny być uwzględnione, uważają w Anglii za błędne i szkodliwe. Szkoła uczona według przekonania Anglików ma na celu ogólne humanitarne wykształcenie, nie profesyjne dla chleba (Brodstudium u Niemców); ma raczéj dać wskazówkę i popęd do dalszego kształcenia, aniżeli obciążyć młody umysł różnorodnemi wiadomościami. W związku z tém pozostaje to, co w ogóle leży w całym kierunku umysłowym Anglików, że mianowicie nie zaprzątają młodzieży pojęciami ogólnemi i oderwanemi, lecz zwracają umysł do rzeczy indywidualnych, konkretnych i pozytywnych. Fakta i tylko powszechnie uznane fakta w rozumieniu pedagogów angielskich można udzielać młodzieży; wszelkie zaś hypotezy, choćby najgenialniejsze i najponętniejsze, wszelkie spekulacye i teorye w oczach ich nie znajdują łaski. Wiedza nabywana w szkołach powinna opierać się na pewnych stałych, niewzruszonych podstawach, powinna być niezależną od prądów chwili bieżącéj: niebezpiecznie tedy i niepedagogicznie pobudzać uczącą się młodzież do skeptycyzmu, blagi i zarozumiałości, które to przywary w młodym wieku bardzo łatwo zaprowadzić mogą na moralne i umysłowe bezdroża. Nawet taki liberał jak Gladstone zalecał młodzieży (przy rozdawaniu nagród w King's college w Londynie w r. 1876) poszanowanie dla prawd przejętych od przodków, jakby święta spuścizna: tyle bowiem już przed nami i myślano i zrobiono, że nie każdy może rozpoczynać od początku.

Czy jednakże przy tak ograniczonym programie osiągają się świetne rezultaty, czy uczniowie nabywają w szkole gruntownych

wiadomości,—o tém trudno wydać sąd stanowczy. Pewném jest tylko to, że tak komisye parlamentarne, którym polecono zbadać stan szkół, jako téż sami rektorowie niezadowoleni z ogólnych rezultatów; uniwersytety skarzą się także, że otrzymują słabo przysposobionych studentów; same szkoły znowu, że otrzymują uczniów z lichém elementarném przygotowaniem.

Przyczyny tego są liczne, po części zewnętrzne i przypadkowe, po części wewnętrzne.

Do pierwszych zaliczyć należy tę niekorzystną okoliczność, którą zresztą wszędzie napotykamy, że tylko niewielka ilość uczniów kończy całkowity kurs szkolny. W Anglii (jak wszędzie) są tego przekonania, że szkoła uczona kształcić powinna do uczonych zawodów, czyli przygotować do uniwersytetu, że zatém wychowaniec szkoły uczonéj tylko wtedy należytą odniesie korzyść, gdy ją całkowicie ukończy; albowiem tylko wtedy nabyte przezeń wiadomości stanowić będą pewną całość, w przeciwnym zaś razie będą to wiadomości nieskończone, które wyradzają najgorsze ze wszystkich—połowiczne wykształcenie. Tymczasem w Anglii zaledwie trzecia część wstępujących do szkoły uczniów kończy ją całkowicie i następnie wstępuje do uniwersytetu (1).—Zbytnia długość wakacyj, zwłaszcza dwumiesięcznych letnich wakacyj, także niekorzystnie wpływa na postępy uczniów.—Nie mniéj szkodliwém jest nieregularne uczęszczanie do szkoły, na które jeszcze zbyt mało zwracają uwagi. W szkołach angielskich istnieją pewne zwyczaje, pod względem pedagogicznym niczém nie usprawiedliwione: tak np. w każdéj z trzech części roku

---

(1) W naszych gimnazyach klasycznych stosunek ten jest bez wątpienia jeszcze o wiele niekorzystniejszym jak w Anglii. Z powodu bowiem braku dobrych szkół elementarnych, a głównie z powodu zupełnego braku średnich zakładów naukowych, zwanych w Niemczech „Bürgerschulen", a w Anglii „szkołami dla klas średnich," oraz z powodu całkiem niedostatecznéj ilości szkół realnych, wielu rodziców pragnących synom swoim dać wykształcenie nieco wyższe nad elementarne, oddaje ich do gimnazyów klasycznych, tj. do *szkół uczonych*, których główne i prawie jedyne zadanie jest kształcenie do uniwersytetu. Skutki takiego, zresztą jak na teraz nieuniknionego „nieporozumienia," są wcale niepocieszające: klasy niższe w naszych gimnazyach są przepełnione uczniami, wyższe stoją pustkami, gdyż większa część uczniów (przynajmniéj $^4/_5$!) opuszcza szkołę po ukończeniu dwóch, trzech lub czterech klas. Rzecz naturalna, że korzyść praktyczna i naukowa, jaką odnoszą uczniowie kończący tylko kilka klas gimnazyalnych, jest prawie żadna. Taki stan rzeczy jest zarazem najlepszą wskazówką, dokąd skierowaną być winna przedsiębiorczość prywatna i ofiarność publiczna. Czego nam w naszém ubogiém szkolnictwie przedewszystkiém potrzeba? Oto: dobrych szkół elementarnych, dobrych Bürgerschulen, dobrych szkół realnych.

szkolnego (term) wychowaniec ma prawo wyjechać na kilka dni do rodziców; a za odznaczenie się, zwłaszcza za dobrą robotę piśmienną, może otrzymać pół lub cały dzień wolny! O podobnym zwyczaju udzielania rekreacyi całéj szkole, istniejącym w Eton, mówiliśmy już wyżéj.

Z przyczyn wewnętrznych, niekorzystnie wpływających na postępy uczniów, wymieniamy przedewszystkiém fałszywy system egzaminów, który, jakeśmy to wyżéj wykazali, tak dotkliwie paraliżuje prawidłowy bieg zajęć szkolnych, zmusza nauczycieli do tresowania młodzieży zamiast nauczania, pobudza do zaniedbywania mniéj zdolnych uczniów na korzyść zdolniejszych. Sam sposób egzaminowania, zasadzający się na drobiazgowych i oderwanych pytaniach, przyczynia się téż do tego, że uczniowie, których ad hoc przygotowują, nabywają mnóstwo oderwanych wiadomości bez ładu i składu. Z drugiéj znów strony zasada pedagów angielskich, aby skupić uwagę ucznia na pewnym ograniczonym przedmiocie (non multa sed multum), np. na gruntownem przestudyowaniu pewnego autora, albo tylko jednego dzieła lub jednéj księgi tegoż, wywołuje nieraz to, że uczniowie nie mają poglądu na całość, że zatém i z tego powodu wiadomości ich są oderwane; jest to zresztą niedostatek nieunikniony, który wszędzie się napotyka w mniejszym lub większym stopniu. W samém prowadzeniu pojedyńczych przedmiotów brak systematyczności; uczniowie nieraz bez odpowiedniego przygotowania przystępują do rzeczy takich, których należycie zrozumiéć nie mogą. Tak np. autorów łacińskich i greckich zaczynają czytać bardzo wcześnie, zanim jeszcze jako tako obeznali się z gramatyką; uczniowi, który zaledwie rok uczył się po łacinie lub po grecku, każą nieraz czytać Wirgiliusza lub Eurypidesa! System fachowy (o którym por. wyżéj), panujący prawie we wszystkich szkołach angielskich a dla nas całkiem niepojęty, sprawia to, że wiadomości ucznia częstokroć są bardzo nierówne: że np. w łacinie czyta Horacego i Tacyta, a w języku greckim zaledwie jest u początków; albo że w językach starożytnych jest daleko posuniętym, a w matematyce uczy się dopiéro rzeczy elementarnych.

Poszanowanie woli indywidualnéj, które tak głęboko tkwi w charakterze angielskim, odbija się także w szkołach, w sposób niekiedy dotkliwy. W czasie lekcyi panuje w szkołach angielskich daleko większa swoboda czyli raczéj większy nieporządek, jak gdziekolwiekindziéj: nieraz zdarza się, że uczniowie wchodzą i wychodzą, jak im się podoba; nauczyciel zajmuje się rzeczami postronnemi, jak np. rozdawaniem uczniom listów, które nadeszły do nich od rodziców i krewnych; służący obnosi śniadanie; jedna klasa przeszka-

dza drugiéj, jeżeli kilka klas mieści się w téj saméj sali, albo też pod oknami hałasują uczniowie, którzy w tym czasie lekcyj nie mają itp. W niektórych szkołach (lecz nie tyczy się to właściwie szkół publicznych) pozostawia się uczniowi swoboda wybierania przedmiotów naukowych według swéj woli i upodobania, byle tylko pewna ilość była wypełnioną; tak np. kto jednego przedmiotu nie chce słuchać, musi za to wziąć co innego (1). W Anglii w ogóle uważają za szkodliwe, ażeby zbyt wiele uczyć w szkole, gdyż przez to „młody umysł zbytecznie się odurza, pozbawia się elastyczności i ochoty do zajęć wybranych według własnego upodobania.“ Dla tego to, jakeśmy już wyżéj widzieli, starają się zachęcić do pilności domowéj, do czytania książek historycznych, geograficznych, przyrodniczych itd.; uczniom starszych klas pozwalają zajmować się prywatnie przedmiotami nienależącymi do programu szkoły (geologią, chemią, astronomią, żeglarstwem, mechaniką stosowaną itp.), a nawet zdawać egzamin z tych przedmiotów. Takie zajęcia prywatne—rzecz naturalna—mogą być bardzo pożytecznemi, zwłaszcza przy ograniczonym programie szkół angielskich, byle tylko przez to właściwe przedmioty szkolne nie ucierpiały.—Przymuszać ucznia do pracy i pilności nie jest właściwie w zwyczaju w szkołach angielskich: każdemu pozostawiają tam pewną swobodę uczyć się lub nie. Nawet tutorzy w szkołach publicznych właściwie nie są w stanie zmusić chłopca do pracy. Jednakże prawdziwego zamiłowania do nauk trudno się dopatrzéć u młodzieży angielskiéj, dzięki przewrotnemu systemowi egzaminów i nagród. Jeżeli się uczą, to głównie ze względu na egzamina, lub dla otrzymania wysokich marek (czyli dobrych „stopni“) a na mocy tychże nagrody pod koniec roku. Tak więc złota maksyma pedagogiczna i etyczna „non scholae sed vitae discendum“—zasada, która dawniéj była panującą w szkołach angielskich, dziś, zdaje się, przechodzi w zapomnienie, a przynajmniéj bardzo na szwank narażoną została.

Książek i podręczników szkolnych jest wielka rozmaitość. Do niedawnego czasu w szkołach zwłaszcza publicznych używano starych podręczników, nieodpowiadających ani obecnemu stanowi nauki, ani wymaganiom współczesnéj pedagogiki. W ostatnich czasach wiele w tym względzie zmieniło się na lepsze; lecz tu i ow-

---

(1) Z 382 uczniów Edynburgskiéj High school w r. 1875 uczyło się: łaciny 320, języka greckiego 85, francuzkiego 308, matematyki 147, nauk przyrodzonych 298. Wiese (II, str. 221), z którego czerpiemy tę wiadomość, przyrównuje to do jedzenia à la carte gdzie także każdy wybiera sobie potrawy według upodobania!

dzie pozostała się jeszcze książka przestarzała lub niezdatna do użytku.

Zobaczmy teraz, jaką jest metoda nauczania. Metoda ta, krótko mówiąc, jest jeszcze w wielu względach mechaniczną. Najważniejsza część nauczania odbywa się nie w szkole, jak być powinno, lecz po za szkołą. Widzieliśmy już wyżéj, jak ważną rolę w szkołach publicznych odgrywa tutor: on to przechodzi z uczniem lekcye zadane, przegląda kajeta, daje wskazówki i rady, słowem jest guwernerem ucznia. Wszystko to odbywa się jednakże mechanicznie, a inaczéj i być nie może, gdy zważymy, że taki pan tutor ma przeciętnie 30 uczniów na swojéj głowie! Niemniéj mechanicznie odbywa się lekcya: przesłuchać zadane pensum, wystawić stopień, zadać na następną lekcyą—oto zwykła robota angielskiego pedagoga na lekcyi. Właściwego wykładu, objaśniania, zainteresowania uczniów przedmiotem, rozbudzania umysłu sposobem Sokratycznym przez szereg pytań, przykładów i konkluzyj itp.—wszystkiego tego w szkole angielskiéj nie ma, czyli innemi słowy: brak tam właściwie wszelkiéj metody. Uczniowie zachowują się biernie i apatycznie, podczas gdy na „placu zabaw“ są nadzwyczaj ożywieni; mówią cicho i niewyraźnie, na co nauczyciel nie tylko nie zwraca uwagi, lecz i sam nie stara się mówić głośno i zrozumiale (1). Cała nauka jest przeważnie pamięciową; uczniowie tedy muszą dużo uczyć się na pamięć, raz ze względu na egzamina, na których żądają od nich mnóstwa luźnych wiadomości; następnie dla tego, że według (słusznego zresztą) przekonania Anglików kształcenie pamięci jest zarazem także kształceniem rozumu, że to, co pierwotnie zdaje się być tylko formułą pamięciową, z czasem staje się zrozumiałém i nabiera życia. Celem ćwiczenia pamięci objaśnia się téż to, że na lekcyach uczniowie bardzo mało robią notatek (zupełnie przeciwnie jak w szkołach niemieckich, w których uczniowie bardzo wiele rzeczy zapisują jakby w uniwersytecie); pedagogowie angielscy chcą, aby uczeń zapamiętał, nie zapisał to co słyszy i czyta; są zaś tego zdania, że gdy robi notatki, to z pewnością ich nie czyta, z czego wypływa oczywista szkoda dla pamięci.

---

(1) Zauważono, że Anglicy w ogólności posiadają muzykalnie głos wyższy aniżeli narody środkowéj Europy (bas np. jest u nich rzadkością); wiadomém jest także, że mówią niedbale, nie natężając organów mowy, że przy mówieniu ledwie otwierają usta, przez co język traci na sile, pełności i precyzyi—niedostatki, które w szkole możnaby poprawić i usunąć.

Czytanie autorów starożytnych zasadza się przeważnie na objaśnianiu gramatyki, następnie historyi, geografii, mitologii itd.; natomiast mało zwracają uwagi na związek myśli, na interpretacyą i krytykę miejsc trudniejszych, na porównanie miejsc równoległych i na stanowisko autora w literaturze.—Odbywanie lekcyi nieraz jest tak mechanicznem i dowolnem, że trudno nawet dać wiarę. Wiese (II, str. 228) przytacza następny drastyczny przykład. „Proszę sobie wystawić (jak mnie się to zdarzyło) klasę, w której czytają Tucydydesa i Tacyta: nauczyciel ma przed sobą autora, obok spis uczniów. Pyta on się uczniów jednego po drugim tylko w takim porządku, jak siedzą w klasie; po każdéj odpowiedzi dopisuje do nazwiska ucznia cyfrę; jest to liczba marek, na którą odpowiedź zasługuje! Powtarzało się to kilka razy w czasie lekcyi, a po lekcyi uczniowie otoczyli katedrę, ażeby od nauczyciela dowiedzieć się o wysokości otrzymanych marek, które następnie każdy z nich zapisał sobie we własnéj książeczce! W końcu każdego tygodnia marki liczą się i dodają, i tak następnie procedura ta powtarza się aż do końca roku szkolnego, kiedy marki zpożytkowują się przy udzielaniu nagród.“ Oto, do jakiego formalizmu doprowadzić mogą wszelkie środki zewnętrzne, jak marki albo stopnie, „rzędy“ albo premje, mające jakoby pobudzać do pilności, wywoływać współzawodnictwo, wpływać na postępy uczniów!

Lecz dosyć już tych ciemnych stron, z których możnaby powziąć zbyt niekorzystne przekonanie o szkołach angielskich. Musimy tu przeto zrobić niektóre zastrzeżenia. Najprzód: to cośmy niekorzystnego powiedzieli o szkołach angielskich, zdarza się wprawdzie dość często, lecz nie jest regułą. Są bowiem i w Anglii nauczyciele, są mianowicie zwierzchnicy szkół, którzy zupełnie stoją na wysokości swego zadania. Szkoły zwłaszcza nowsze pod względem metody nauczania i rezultatów wytrzymują krytykę z najlepszemi szkołami na stałym lądzie; o starych szkołach publicznych jednakże tego powiedzieć nie można. Te ostatnie są téż od wielu lat celem napaści ze strony „reformerów“; zarzucają im głównie to, że wiele kosztują, a mało uczą; że rutyna w nich i program nauk jest przestarzały, nieodpowiadający dzisiejszym wymaganiom nauki i życia itd. Naturalnie nie zbywa szkołom publicznym i na żarliwych obrońcach, do których należą najznakomitsi mężowie kraju, wszyscy wychowańcy tychże szkół; jedni z nich chcieliby w nich zostawić wszystko po staremu; inni postępowsi zgadzają się na wprowadzenie reform, byle tylko nie zagładzić w nich ducha i charakteru „staréj Anglii.“ Rozsądna i swobodna krytyka jak wszędzie tak i w tym razie okazała się pożyteczną: pod naciskiem opinii publicznéj i ducha czasu wiele

zmieniło się ku lepszemu; jest tedy nadzieja, że i nadal szkoły angielskie coraz więcéj będą się polepszać, nadzieja tym niepłonniejsza, że obecnie Anglicy z właściwą sobie energią i wytrwałością bardzo gorliwie krzątają się około podniesienia na wszystkich szczeblach oświaty narodowéj.

V.

Wychowanie w szkołach publicznych.—Zadanie tegoż.—Warunki sprzyjające w Anglii wychowaniu.—Wychowanie domowe.—Środki wychowania: biblia i języki starożytne; stare zwyczaje, gry i zabawy.—Poczucie obowiązku; wyrobienie woli.—Wychowanie w duchu narodowym: tradycye, szkoły, wdzięczność dla niéj, duch koleżeński; poeci narodowi; polityka, czasopisma szkolne.—Swoboda wychowania.—Rezultat ogólny.—Ograniczenie swobody: fagging system; kary szkolne.—Zdanie Schölla o szkołach publicznych.

Nie nabycie wiadomości, lecz **wykształcenie charakteru młodzieży** uważają w Anglii zarzecz najważniejszą w wychowaniu publicznem. W szkołach zwłaszcza publicznych dotąd jeszcze przeważa strona etyczna wychowania nad intelektualną; pomimo że w ostatnich czasach objawia się silne dążenie do wyrównania obydwóch kierunków, a nawet pod wpływem utylitaryzmu i apostołów tegoż, do nadania przewagi stronie intelektualnéj.

Wychować dobrego chrześcianina, dobrego człowieka i dobrego obywatela kraju, oto, krótko mówiąc, co w Anglii rozumieją przez kształcenie charakteru (1). Wspaniałe to wychowawcze zadanie szkoły publiczne spełniają w zupełności. Stare bowiem wyrobione tradycye tych szkół, wyborny duch panujący w nich, religijność i moralność, atmosfera zdrowa dla ciała i duszy, swoboda, życie społeczne i publiczne, wszystkie te warunki tak pomyślnie oddziaływają na kształcenie charakteru jak w żadnym innym kraju. Szkoły publiczne wyrabiają dżentelmenów w najlepszém znaczeniu tego wyrazu, pielęgnują „uczucia angielskie“ (english feeling) i „cnoty angielskie“ (english virtues), do których przedewszystkiém zaliczają: szlachetny sposób myślenia i poczucie obowiązku, zamiłowanie wolności i porządku, niezależność charakteru i poszanowanie opinii publicznéj.

(1) Zdanie Tomasza Arnolda o Niemcach, wypowiedziane przed 40 laty, zdaje mi się i dziś jeszcze być prawdziwem: „Niemiec nie dosyć jest chrześcianinem, człowiekiem obywatelem, lecz więcéj urzędnikiem, albo uczonym.“

Zadanie wychowawcze szkoły niezmiernie jest ułatwionem przez wyborne wychowanie domowe. „Leges sinemoribus vanae“, tę starą zasadę rozumieją w Anglii może lepiéj aniżeli w innych krajach; obyczaje są w Anglii podstawą życia rodzinnego i społecznego, gdyż bez nich prawo stałoby się martwą literą. W Anglii zazwyczaj dłużéj jak w innych krajach chłopcy wychowują się w domu pod okiem rodziców: zwykle do 12 roku życia, poczém dopiéro oddają się do szkół. Uczniowie szkół angielskich nie są to tedy dzieci nierozwinięte, nierozważne, słabe duchem i ciałem, lecz raczéj chłopcy rozgarnięci, rozsądni, tryskający zdrowiem i energią, przynoszący do szkoły nie tylko tradycye a po części i przesądy rodzinne (particular feeling), lecz także zadatki wszystkich wielkich cnót angielskich.

Sama nauka ma przedewszystkiém wyrobienie charakteru na celu. To, że biblia i języki starożytne główne zajmują miejsce w programie szkół angielskich, nie jest ani rzeczą przypadku, ani skutkiem skostniałego konserwatyzmu, lecz ma głębsze wychowawcze znaczenie: biblia bowiem według przekonania Anglików kształci chrześcianina, literatury zaś starożytne — człowieka i obywatela. W Anglii zupełnie się tego nie obawiają, ażeby świat grecki i rzymski niekorzystnie wpływał na młode umysły, ażeby je napawał ideałami społeczeństw „barbarzyńskich“ (jak się niekiedy jeszcze u nas wyrażają). Anglicy posiadają tyle zmysłu historycznego i tyle praktycznego rozumu, iż umieją ocenić ogromną różnicę czasu oddzielającą nas od starożytności; umieją téż ocenić to, co w niéj było wielkiém i godném naśladowania. Dla Anglików tedy języki i literatury starożytne są głównie środkiem do wyrobienia charakteru i do ukrzepienia narodowości: posłuszeństwo i poświęcenie—oto cnoty, których młodzież angielska ma się nauczyć od starożytnych.

Stare zwyczaje, istniejące w szkołach angielskich, nie tylko świadczą o konserwatywnym charakterze narodu, lecz zarazem w samę młodzież wpajają ducha konserwatywnego i poszanowanie przeszłości, tak niezbędne zwłaszcza w młodym wieku, który wszędzie aż nazbyt jest pochopnym do lekceważenia staroświetczyzny.

Gry i zabawy narodowe mają na celu nie tylko rozwijanie sił fizycznych, lecz także w równym stopniu i kształcenie charakteru. „Miejsce zabawy jest polem, na którém wyrabia się *virtus*, siła i zwinność fizyczna obok śmiałości i rozwagi, obok poczucia honoru i sprawiedliwości.“ Gry i zabawy są dla młodzieży angielskiéj rzeczą nieocenioną: one bowiem podtrzymują zdrowie oraz świeżość umysłu i ciała; wyrabiają charakter; chronią od gnuśnego próżniactwa

i szkodliwego marzycielstwa; nie pozwalają zagnieździć się i wybujać zdrożnym myślom i namiętnościom. Chłopiec angielski nie ma nawet czasu zajmować się głupstwami i zdrożnościami: od książki biegnie na ulubiony „play ground“ (plac zabawy), albo do łodzi; tu się nabawi, nakrzyczy, napoci; tu jest jego jedyna pasya, tu najwyższa ambicya. Zostać „kapitanem jedenastu“ w krikecie, albo „kapitanem łodzi“ uważa się bodaj czy nie za większą sławę jak zostać „duksem“ (prymusem) w szkole. Zajęcia te uważają w Anglii za tak wyborny środek wychowawczy, że za nic nie uszczuplonoby młodzieży czasu wolnego, na korzyść zajęć naukowych; rektorowie niekiedy dają się słyszéć ze zdaniem, że niewiele sobie robią z tego, że ich uczniowie są słabi w łacinie, lub w matematyce, byle tylko potrafili krzepko wiosłować i dzielnie podrzucać „football“ (1).

Poczucie i gorliwe wypełnienie obowiązku uważają Anglicy za jednę z kardynalnych cnót angielskich, stawiają je nawet wyżéj od prawa i wolności; dla tego też usilnie starają się zaszczepić je w sercach młodzieży. Honor, ambicya, sława, są piękne pojęcia a jeszcze piękniejsze słowa, na które i uczucia Anglików bywają wrażliwe; lecz pobudką do czynu jest u nich przedewszystkiém obowiązek (2).

Wyrobienie mężkości w charakterze, czyli ukrzepienie *woli*, uważają w Anglii za daleko ważniejsze, aniżeli nabycie wiadomości. „Chłopcy mniéj różnią się od siebie zdolnościami a więcéj energią“, zauważył Tomasz Arnold, największy z pedagogów angielskich. Nie to co kto umié, lecz to co *czyni* odnosi w życiu zwycięstwo; człowiek z silną wolą da sobie zawsze radę w świecie a i naukę, jeżeli jéj nie posiada, z łatwością sam nabędzie; natomiast człowiek słabego charakteru, choćby najuczeńszy, zginie w gwarze świata i w ciężkiéj walce o byt—tak rozumują praktyczni Anglicy (3). Nieraz zda-

---

(1) Wellington, zwiedzając razu pewnego szkołą Etońską, któréj był wychowańcem, gdy wstąpił na plac zabaw, wykrzyknął: „Tu zostało odniesioném zwycięstwo pod Waterloo!“

(2) Jako klasyczny przykład prawdziwie angielskiego zapatrywania i jako przeciwieństwo do znanéj przemowy Napoleona I pod piramidami, Anglicy z upodobaniem przytaczają słowa Nelsona, wypowiedziane do żołnierzy i marynarzy przed bitwą pod Trafalgarem: „Anglia spodziewa się, że każdy z was spełni swój obowiązek.“

(3) „Naród angielski przez swe pochodzenie i w skutek położenia geograficznego przeznaczonym jest do życia czynnego, do działania na zewnątrz. Przez to objaśnia się też charakter wychowania młodzieży angielskiéj. Ma ono na celu więcéj wyrobienie dzielnéj indywidualności, aniżeli wielki obszar wiedzy: w działaniu bowiem mniéj kieru-

rza się w Anglii, iż ludzie z bardzo ograniczonemi wiadomościami szkolnemi przez własną wolę i pracę zdobyli sobie nie tylko majątek, stanowisko i poważanie, lecz także i wcale gruntowne wykształcenie. W zamożniejszym stanie średnim jest to nawet rzeczą dość powszechną, iż dają dzieciom tylko elementarne wykształcenie, pozostawiając im samym uzupełnienie tegoż. Nigdzie w ogóle nie ma tak wielu samouczków (self made men) jak w Anglii, dzięki właśnie silnéj woli, która jest jednym z charakterystycznych rysów tego narodu. Zasada samopomocy (self help), która jest hasłem Anglików na polu działalności tak prywatnéj jak publicznéj, bierze swój początek z tego samego źródła; każdy Anglik powinien posiadać tyle zasobów woli i energii, ażeby sam był w stanie pomódz sobie. Słynny samorząd (selfgovernment) angielski jest dalszém zastosowaniem zasady samopomocy, jest przeniesieniem téjże od indywiduum na gminę lub korporacyą.

Że młodzież angielska wychowuje się w duchu narodowym, w ścisłym związku ze społecznością wśród któréj żyje i dla któréj się wychowuje, o tém nie ma prawie potrzeby mówić. Nawet gdyby szkoła zupełnie pomijała tę stronę kształcenia charakteru, to samo życie publiczne, tak szeroko rozwinięte w Anglii, i wpływ rodziny koniecznie oddziaływać muszą na młodzież. Lecz i szkoła bezpośrednio kształci w duchu narodowym i przysposabia młodzież do zawodu publicznego. Najprzód bowiem tradycye szkoły bardzo zbawienny wpływ wywierają na podniesienie ducha młodzieży i obudzenie w niéj szlachetnéj ambicyi; pamięć o sławnych mężach, którzy się w szkole kształcili, przechodzi z pokolenia na pokolenie; portrety ich, oraz portrety najlepszych uczniów szkoły wiszą na ścianach, lub nazwiska ich wyryte złotemi literami na tablicach marmurowych, a nawet wyrznięte przez nich samych na ławach szkolnych przechowują się jakby relikwie (1). Wellingtony, Canningi, Peele

---

jemy się tém co wiemy, aniżeli tém co bezpośrednio porusza wolę naszę, mniéj przez wiadomości jak przez przekonania i przez obyczaje w którycheśmy wzrośli, oraz przez pewien kierunek uczucia. Dla tego to nauka u Anglików stoi po za wychowaniem; to ostatnie zaś, biorąc podstawę w historycznie wyrobionych stosunkach kraju, nosi na sobie wybitną cechę rodzimą i—czém wszelkie wychowanie być powinno—charakter narodowy, przez co tylko wychowanie może kształcić obywateli kraju.“ (Wiese I, str. 220).

(1) Wyrzynać lub pisać swoje nazwisko z dodatkiem roku i t. p. na ławkach, ścianach lub gdziekolwiekbądź, nie jest w szkołach angielskich wzbronioném; z wolności téj młodzież robi naturalnie bardzo obszerny użytek. Z zadowoleniem i z dumą pokazu-

i nieskończony szereg sławnych mężów są chlubą każdéj szkoły, służą dla młodzieży za wzór i bodziec do naśladowania. Szkoła, jak wszystko co jest narodowém i pamiątkowém, otacza się w Anglii czcią najwyższą: gdy się szkoła przebudowuje, albo przenosi w inne miejsce, natenczas wszystkie pamiątki umieszczają się w nowym przybytku; tak więc żyje tradycya i historya szkoły nawet po przeniesieniu penatów w inne miejsce. Wychowańcy zachowują na całe życie tkliwą wdzięczność dla szkoły, w któréj najpiękniejsze chwile życia spędzili (a w Anglii nie jest to bynajmniéj czczym frazesem!); częstokroć wdzięczność ich objawia się hojnemi darami na rzecz szkoły. Przez ciągłe pożycie z sobą i bliskie zetknięcie wyrabia się pomiędzy młodzieżą pewien punkt honoru (esprit de corps), zacierają się różnice stanów, zawiązują się stosunki przyjaźni, które nieraz trwają do zgonu; „amicitiae Etonenses“ nabyły nawet w Anglii pewnéj sławy.

Poeci narodowi niemały wpływ wywierają na rozwój ducha narodowego. Szekspira zwłaszcza czyta młodzież bardzo pilnie i bardzo wcześnie, zwykle już w 12 roku życia; głównie ze względów narodowych, chociaż ze względów pedagogicznych nie należałoby tego poetę w tak młodym wieku dawać chłopcom do ręki.

Uczniowie szkół publicznych powszechnie zajmują się polityką. Nie tylko bowiem uczą się na pamięć mów parlamentarnych znakomitych mówców i wydają je w czasie popisów szkolnych przed zgromadzoną publicznością, lecz także trzymają gazety polityczne (często kilkanaście), a w swoich „debating societies“ rozprawiają o sprawach publicznych takich, jak np.: o reformie parlamentarnéj, o karze śmierci, o paleniu ciał zmarłych, o prawach politycznych kobiét, o przymusie szkolnym w szkołach elementarnych i t. p. Jak widzimy, piętnasto lub ośmnastoletni młodzieniec angielski jest to już polityk en miniature! Takie „stowarzyszenia dla rozpraw“ istnieją w większéj części szkół publicznych: w nich mają młodzi ludzie nabyć śmiałości do przemawiania w większych zgromadzeniach, mają nauczyć się spokoju, wytrawności i panowania nad sobą, oraz nabyć łatwości wysłowienia; słowem, ma to być szkoła przygotowawcza do zawodu publicznego.

Prawie każda z większych szkół publicznych wydaje swoje czasopismo (School Magazine) pod redakcyą wychowańców zakładu. Jakkolwiek nam się to dziwacznem wydaje i jakkolwiek nieje-

---

ją osobom zwiedzającym szkołę wyrznięte nazwiska sławnych mężów, albo też jaką starą datę z 16 lub 17 wieku, wyrzniętą na framudze okna i t. p.

dno zapewne w tych młodzieńczych produkcyach trąci niedojrzałością lub zarozumiałością, to przecież, jak zaraz z treści zobaczymy, pisemka te są nie tylko przyjemną rozrywką i ciekawą lekturą dla młodzieży, lecz także przynoszą pewien pożytek pod względem literackim (w nich bowiem młodzież zaprawia się do zawodu pisarskiego), jak również przyczyniają się do kształcenia charakteru i rozwinięcia umysłu. Treść ich odnosi się prawie wyłącznie tylko do szkoły i do spraw szkolnych, jako to: wiadomości o ważniejszych wypadkach w szkole; wspomnienia z historyi szkoły i z życia byłych wychowańców tejże; listy z dalekich krajów, pisane przez byłych wychowańców szkoły (np. misyonarzy z Azyi i Afryki); opisy podróży wakacyjnych; sprawozdania z wyścigów i zapasów w zabawach narodowych; wiadomości o wypadku egzaminów, o rozdaniu nagród i stypendyów; wreszcie nekrologia, próby poetyczne i t. p.

Z powyższego już widać, że młodzież szkolna w Anglii cieszy się taką swobodą i taką niezależnością, o jakiéj w żadnym kraju na stałym lądzie gimnaziście ani marzyć nie wolno. Anglicy namiętnie kochający wolność są tego zdania, że i dorastającym chłopcom nie należy jéj zbytecznie ograniczać; pragną bowiem, ażeby w młodzieży wcześnie rozwinęła się samodzielność charakteru, a razem z nią i poczucie moralnéj odpowiedzialności. Śledzić tedy i szpiegować każdy krok chłopca czy to w szkole, czy po za szkołą, uważają w Anglii za rzecz zbyteczną, niegodną i poniżającą. Uczniom szkół angielskich wolno bez towarzystwa osób starszych uczęszczać do cukierni i restauracyj, na koncerta, do teatrów, na posiedzenia sądowe, na mityngi; uczniom szkoły Westminsterskiéj w Londynie przysługuje od dawna prawo chodzenia na posiedzenia parlamentu; w czasie aktów uroczystych przy rozdzielaniu nagród, w czasie mów i deklamacyj młodzież swobodnie wyraża swoje zadowolenie lub niezadowolenie przez oklaski lub sykanie. Wychowaniec powierzony pieczy tutora bynajmniej nie jest skrępowanym przez tegoż: wolno mu przyjmować gości, wychodzić z domu i powracać kiedy chce (byle tylko powrócił na oznaczoną godzinę); słowem, wolno mu robić wszystko co nie wykracza z granic przyzwoitości i moralności. Przedewszystkiém na placu gry młodzież cieszy się największą swobodą: tu ona pozostawiona bez wszelkiego dozoru rządzi się sama, wybiera sobie „kapitanów", tworzy oddziały i partye, naznacza nagrody, godzi spory i t. d.

System wychowawczy angielski w ogólności w praktyce okazuje się wybornym: młodzież wygląda czerstwo i zdrowo; postawa jéj śmiała i pewna siebie; ruchy swobodne; obyczaje dobre, a posłuszeństwo i karność pomimo wielkiéj swobody—nic nie pozostawia-

ją do życzenia. Młodzież szkolna w Anglii powszechnie nie pali tytuniu (co jest wzbronioném), nie nosi ani okularów ani binokli, nie rujnuje sobie zdrowia porterem lub piwem, jak to ma miejsce w Niemczech, zwłaszcza w uniwersytetach. Wielką zaletę młodzieży angielskiéj stanowi zamiłowanie prawdy; kłamstwo, przywara tak pospolita w młodym wieku, jest rzeczą wstrętną dla młodzieży angielskiéj, co bez wątpienia bardzo korzystnie świadczy o jéj moralności, honorze i odwadze cywilnéj. Natomiast niekorzystną stroną wychowania jest pewna rubaszność, zawadjactwo, a nawet zdziczenie jakie się nieraz u młodzieży angielskiéj napotyka. U nas, cośmy przywykli wychowanie mierzyć powierzchowną miarką ogłady salonowéj i form konwencyonalnych, nazwanoby to niewątpliwie *złém* wychowaniem; gdyby w Anglii tę samę miarę przykładano do wychowania, to niewielu Anglików znalazłoby się dobrze wychowanych. Pewna rubaszność bowiem leży w ogóle w charakterze angielskim, a sami Anglicy nazwali ją żartobliwie „muskularném chrześciańskiem“ (muscular christianity); ma to znaczyć połączenie zasad chrześciańskich, któremi każdy Anglik jest przejęty, z pewnym nieokrzesanym stanem natury, jakby zabytkiem czasów anglosaksońskich (1).

Że młodzież w ogólności nie nadużywa wielkiéj swobody, jaką jéj pozostawiono, przypisać to należy oprócz wybornego wychowania domowego i większéj dojrzałości moralnéj (o czém mówiliśmy wyżéj), także i pewnym ograniczeniom swobody zwłaszcza młodszych uczniów.

Poprzednio już mówiliśmy o staroświeckim „fagging system,“ który w szkołach publicznych dotąd się przechował, lecz w zmodyfikowanéj formie monitorów albo „prapostors“ (praepositores). Według tego systemu uczniowie najwyższéj czyli VI klasy (senior boys) zajmują w obec młodszych (juniors) stanowisko wychowawców i nau-

---

(1) W książce napisanéj z wielkim talentem p. t. „Czasy szkolne Tomasza Brown'a“ (którą wyżéj cytowaliśmy), przedstawiony jest wyborny obrazek życia szkolnego w konwikcie w Rugby, w czasie najświetniejszym téj szkoły, (kiedy rektorem był słynny Tomasz Arnold 1827—42); lecz i tu niekiedy niemile razi czytelnika pewna rubaszność młodzieży.—Niekoniecznie na karb rubaszności zaliczyć należy hałaśliwe zachowanie się młodzieży w czasie aktów uroczystych lub w obecności dostojnych osób. Kiedy król pruski Fryderyk Wilhelm IV zwiedzał (około r. 1842) szkołą Etońską, wychowańcy zgromadzeni w jednéj sali przyjęli go bardzo głośnemi okrzykami (cheers). W skutek tego król odezwał się do nich tonem bardzo łaskawym: „I wish you joy, my boys, and I admire your lungs“ (winszuję wam, moje chłopcy, i podziwiam wasze płuca); poczém radość ich wyraziła się jeszcze głośniejszemi okrzykami.

czycieli, są zastępcami zwierzchności szkolnéj i tutorów, są téż moralnie i materyalnie odpowiedzialnymi za swoich pupilów. Uczniowie klasy V są wyłączeni z pod takiego nadzoru, zależą tedy bezpośrednio tylko od tutorów i zwierzchności szkolnéj; lecz sami nie mogą téż pełnić zaszczytnego obowiązku „prepostorów" w obec kolegów niższych klas. Jest to tedy wychowanie chłopców przez chłopców, jest ścisły stosunek osobisty pomiędzy dojrzalszymi i mniéj dojrzałymi uczniami, a jako taki uważają go w Anglii za wyborny środek kształcenia charakteru: nauczyć się bowiem słuchać innych jest pierwszym stopniem do samodzielności a następnie do kierowania drugimi. W kraju tak arystokratycznym jak Anglia nie bez znaczenia jest także zasada demokratyczna, tkwiąca w tym systemie; przezeń bowiem zacierają się różnice stanów, gdyż nieraz a nawet zazwyczaj zdarza się tak, że syn możnego pana musi być posłusznym jakiemu chudemu pachołkowi. Jakkolwiek publiczność uważa niekiedy „fagging system" za ubliżający, to przecież u młodzieży jest on bardzo popularnym; „młodzi chłopcy" chętnie poddają się kierunkowi „starszych" i ochoczo wypełniają ich rozkazy.

Dotąd przechował się także w szkołach publicznych „flogging system", tj. kara cielesna. Jakkolwiek młodego chłopca pod wieloma względami uważają za dorosłego, to przecież dopóki siedzi na ławie szolnéj nazywa się charakterystycznie nie inaczéj jak „boy" tj. chłopiec (1); dopiero w uniwersytecie uważa się za „man", tj. za mężczyznę. Nic zaś nie świadczy więcéj o tém, że w szkole jest jeszcze „chłopcem," jak to, że może być wysieczonym rózgą! Przeciwko karze cielesnéj opinia publiczna oświadczyła się niejednokrotnie; dla tego téż dzisiaj używa się tylko w wyjątkowych okolicznościach, a mianowicie tylko za ważne przewinienie przeciw moralności; nadto uczniowi pozostawia się jeszcze wybór: albo poddanie się karze cielesnéj, albo wydalenie ze szkoły. Bezwarunkowo nie podlegają karze cielesnéj uczniowie klasy VI, oraz najlepsi uczniowie klasy V. Już wyżéj wspomnieliśmy o tém, że prawo wymierzania własnoręcznie kary cielesnéj służy tylko rektorowi (właściwie re-

---

(1) Ztąd: Etonian boys, Rugby boys itd. albo: „an old Rugby boy" tj. były uczeń szkoły w Rugby. Jak zaś sami uczniowie pojmują swoje stanowisko, o tém świadczy następny ustęp z czasopisma wydawanego przez uczniów (Rugby Magazine): „Jak z jednéj strony nie powinniśmy nigdy zapominać o tém, że jesteśmy chłopcami i to chłopcami szkolnymi; tak z drugiéj strony powinniśmy pamiętać o tém, że tworzymy *pewne ciało społeczne*, w którém – jak z saméj natury rzeczy wynika—powinniśmy nie tylko się uczyć, lecz także działać i żyć; działać zaś i żyć powinniśmy nie tylko jako chłopcy, lecz także jako chłopcy, którzy mają zostać mężami."

ktorowi szkoły wyższéj i rektorowi szkoły niższéj, każdemu w swoich klasach). Drobna ta na pozór okoliczność odejmuje karze cielesnéj znaczną część tego „odium,“ jakie do niéj jest przywiązaném; rektor bowiem chłoszcze jakby „loco parentis“. Dla tego też, a więcéj jeszcze w skutek utrwalonego zwyczaju, uczniowie nie poczytują sobie chłosty za rzecz tak bardzo poniżającą: niekiedy zdarza się nawet, że w zamian za inną karę, naznaczoną im, domagają się kilku plag, a przed niezbyt dawnym czasem jeszcze, kiedy w któréjś szkole chciano znieść karę cielesną, wszyscy uczniowie oparli się temu energicznie! - Za bardzo ciężką karę uważają degradacyą o jeden lub dwa oddziały, która jednakże używa się rzadko i tylko za ważne przewinienia. Za małe przewinienia, jak lenistwo, nieakuratność itp. zadają osobne roboty: każą np. przepisać kilka razy lekcyą, nauczyć się na pamięć zadanego ustępu itp.; niekiedy za karę każą uczniowi meldować się po kilka razy wówczas, gdy jest zajętym rozrywką na placu gry (1). Zasady, któremi się w Anglii kierują przy wymiarze kar szkolnych, są bardzo zdrowe i zbawienne, powiedziałbym: psychologiczne. Przedewszystkiém bowiem zwracają uwagę na charakter i temperament winowajcy; w szkołach angielskich bynajmniéj nie trzymają się zasady, że za takie same przewinienie koniecznie nastąpić ma taka sama kara. Dla tego też i właściwych przepisów o karach szkolnych w żadnéj szkole nie ma: każdy pojedyńczy wypadek sądzi się oddzielnie. Następnie, jak we wszystkiém tak i w wymierzaniu kar szkolnych, panuje w Anglii decentralizacya: bardzo mała liczba przewinień uczniowskich przechodzi przez wszystkie instancye od prepostora lub tutora aż do rektora. W małych przewinieniach dostateczną jest powaga prepostora lub tutora; większe przewinienia sądzi tutor z gospodarzem klasy. Tylko o wyjątkowo ważnych przewinieniach donoszą rektorowi, przyczém uczeń podaje wszystko to co ma do powiedzenia na swoję obronę; rektor natenczas wydaje ostateczną rezulucyą. Sami uczniowie zapatrują się na znaczenie kary bardzo racyonalnie. Gdy bowiem

(1) Natomiast areszt, albo karcer jako kara szkolna w szkołach angielskich, jak się zdaje, wcale nie istnieje: przynajmniéj w tych źródłach, które mam pod ręką, nie znajduje o tém żadnéj wzmianki. Karanie ucznia przez odjęcie mu wolności uważają w ogóle na Zachodzie za rzecz niestosowną, głównie z powodów pedagogicznych, i dla tego zredukowano karę aresztu do minimum. W Anglii przeciwko aresztowi mówi nadto cały system wychowania, oparty na swobodzie i poszanowaniu wolności indywidualnéj, nie mówiąc już o względach hygienicznych, które w wychowaniu angielskiém także niemałą odgrywają rolę. To pewna, że posadzenie chłopca na 12 lub 24 godzin do aresztu uważanoby w Anglii za rzecz arcymonstrualną!

u nas i wszędzie kara szkolna uważa się za coś poniżającego, albo nawet za krzywdę lub obelgę wyrządzoną uczniowi, samo zaś przewinienie bodaj czy nie za bohatérstwo lub junakieryą, a winowajca za bohatéra lub męczennika; to uczniowie angielscy przewinienie uważają za rzecz sromotną, karę zaś za konieczną ekspiacyą przewinienia; a winowajca tak długo jest źle widzianym przez kolegów, dopóki nie odniesie zasłużonéj kary. Niekiedy zdarza się nawet—a jest to rys czysto angielski—że uczniowie z upoważnienia rektora sami z pomiędzy siebie wybierają jakby sąd przysięgłych, mający sądzić obwinionego kolegę, i—nigdy nie zawiedziono się na położoném w nich zaufaniu.

Zanim rozstaniemy się ze szkołami publicznemi, nie możemy sobie odmówić przyjemności przytoczenia następnego pięknego ustępu, w którym znajdujemy streszczoném to, o czém wyżéj mówiliśmy szczegółowo (1).

„Szkoły publiczne zapewne ustępują prywatnym w tém, że w ostatnich młodzież znajduje się pod większym dozorem, więcéj się uczy i odpowiedniéj przygotowuje się do zawodów profesyjnych (Brodstudium). Lecz nie takie jest zadanie starych szkół publicznych. W nich bowiem kształcą się synowie szlachty i bogatych właścicieli ziemskich, chłopcy, którzy kiedyś jako prawodawcy w parlamencie, jako sędziowie i mężowie stanu zajmować będą wysokie stanowisko w państwie, w którém słońce nie zachodzi. Ich tedy wychowanie musi być innném, jak ludzi kształcących się do pewnego praktycznego zawodu. Chodzi o to, ażeby w nich rozwinąć zarówno moralność jak inteligencyą; ażeby ich w pewnych ścisłych granicach nauczyć samodzielnie myśléć i niezależnie działać; ażeby w nich obudzić i pielęgnować szlachetny sposób myślenia, siłę charakteru, stanowczość, stałość, poczucie odpowiedzialności i honoru; ażeby nie krępować ducha, lecz nieznacznie nim kierować. Wychowanie ma zmierzać do wolności i samodzielności; dla tego też daje się dużo wolności i prowadzi się do samodzielności. Przez posłuszeństwo mają uczyć się sztuki rządzenia, a przez stanowisko, jakie każdy w tém „państwie chłopców" zajmuje, mają ćwiczyć się w poczuciu obowiązku i zacności charakteru, których to cnót pań-

---

(1) Schöll w artykule „Grossbritannien und Irland" w Encykl. pedag. Schmid'a, tom III, str. 155.

stwo wymaga od obywateli. Zamiłowanie wolności obok poszanowania władzy i tradycyj historycznych, samodzielność obok poddania się woli większości, wykształcenie klasyczne obok rozumu stanu—słowem, wszystko to, czém pierwsi mężowie Anglii zawsze się odznaczali, jest w znacznéj części owocem wychowania publicznego, wprawdzie nie wyłącznie, gdyż wchodzą tu także inne czynniki w rachubę, mianowicie: wychowanie i piękne obyczaje, jakie chłopcy z wyższych i wykształconych warstw przynoszą do szkoły, następnie i charakter narodowy, który wiele z powyższych cech posiada w zarodku, jako to: samodzielność, nieustraszoność, stałość, poszanowanie prawa. Lecz zarodki te głównie rozwijają się właśnie w szkołach publicznych. W obec takich dodatnich stron chętnie téż w Anglii zapominają strony ujemne, jak np. to, że mniéj zdolni uczniowie mało w tych szkołach korzystają; na co odpowiadają, że dla nich téż one nie są przeznaczone. To także należy uważać za pożyteczne, że w nich klasy wyższe i średnie zbliżają się do siebie, chociaż różnice stanów bynajmniéj nie zacierają się zupełnie; oraz to, że tu zawiązują się nierozerwane węzły przyjaźni pomiędzy młodymi ludźmi, którzy późniéj zajmować będą rozmaite wyższe miejsca w kościele i państwie. W obec silnego parcia do studyów fachowych jest rzeczą niezmiernie ważną to, że szkoły publiczne dają czysto humanitarne wykształcenie, które następnie kontynuje się w uniwersytecie, tak iżby młody człowiek wpierw nabył wyższego liberalnego wykształcenia, zanim poświęci się specyalnemu zawodowi. Ztąd to, jak wiadomo, w Anglii tak często prawnicy, lekarze i wojskowi posiadają wykształcenie daleko rozleglejsze od swych fachowych wiadomości, i—co ztąd wypływa—żywo interesują się sprawami ogółu. W tém, cośmy o szkołach publicznych powiedzieli, mieszczą się ważne wskazówki dla innych krajów. Nie przemilczeliśmy o niedostatkach, które po części są większe, jak w podobnych zakładach niemieckich. Lecz nacisk, jaki w Anglii kładą na kształcenie charakteru, wychowanie skierowane do wolności i zarazem do posłuszeństwa, obudzenie poczucia honoru i obowiązku, ścisły stosunek wychowańca do swego kraju, który patrzy na niego i troszczy się o niego, zapał wychowańców i społeczeństwa dla saméj szkoły, dokładna znajomość jéj historyi i wielkich mężów, których wydała, ztąd popęd do wstępowania w ich ślady, wreście poszanowanie dla tego co się historycznie wyrobiło,—wszystko to w najwyższym stopniu zasługuje na uwagę i powinnoby w innych krajach także znaléść zastosowanie.“

VI.

Szkoły dzienne w Anglii, Szkocyi i Irlandyi.—Różnica od szkół publicznych. Szkoły realne. Kierunek profesyjny szkół dziennych. Zarząd tychże.—Szkoły prywatne. Ilość i wartość tychże.—Wychowanie kobiét — Pensye wyższe i średnie. Akademie dla kobiét. Wykształcenie kobiét w Anglii.

Szkoły publiczne są wzorami średnich szkół angielskich w ogóle: w nich bowiem najlepiéj przedstawiają się dobre i złe strony wychowania publicznego w Anglii. Mniéj krytyczni pisarze nawet, gdy mówią o średnich zakładach naukowych w Anglii, mają na myśli tylko szkoły publiczne, zapominając o tém, że chociaż liczba a zwłaszcza też frekwencya tychże jest znaczna, to przecież stanowią one tylko pewną cząstkę w ogólnéj liczbie wszystkich średnich zakładów naukowych. Oprócz tedy szkół publicznych, t. j. konwiktów albo alumnatów, są tak zwane szkoły dzienne, zwane także publicznemi (public day schools) dla tego, że nie są własnością osób prywatnych, lecz pewnych stowarzyszeń.

Szkół dziennych jest w Anglii i Walii kilkaset, natomiast w Szkocyi i Irlandyi bardzo mało. Nazwy ich są rozmaite: najczęściéj zowią je kolegiami albo szkołami gramatyki, w Szkocyi szkołami wyższemi albo akademiami (por. „Ateneum" zesz. Paźdz. str. 95). Najsłynniejsze z nich są w Anglii: University college w Londynie, założone w r. 1826—28 przez dyssydentów z charakterem bezwyznaniowym czyli świeckim (1); King's college w Londynie, założone w r. 1828 w przeciwieństwie do poprzedniego z charakterem anglikańskim; City of London school założone w r. 1834 przez City londyńską (2); nadto grammar schools: w Liwerpoolu, Bradley, Birmingham, Bedford, Tunbridge i t. d. (3). St. Paul's school w Londynie, którą za-

(1) Jest to właściwie uniwersytet z wydziałami: filologicznym, prawnym i medycznym, lecz jako szkoła przygotowawcza do tegoż połączone jest z nim gimnazyum pod nazwą „Junior school."

(2) Początek téj szkoły sięga właściwie połowy 15 wieku. Jan Carpenter, pisarz magistratu miasta Londynu, zmarły w r. 1442, zapisał na utrzymanie i wychowanie 4 biednych chłopców kawałek gruntu, z którego roczny dochód przed 50 laty wynosił 900 f. (w r. 1633 zaledwie 29 f. i 13 szyl.). Przez dobrowolne składki fundusz został znacznie powiększony i obrócony na założenie powyższéj szkoły, któréj budowa kosztowała 12.000 f.

(3) Trzy ostatnie założone zostały przez Edwarda VI w r. 1552; najznaczniejsza z nich Birminghamska, nosząca nazwę King Edward's school, miała pierwotnie z gruntu zapisanego tylko 21 f. rocznego dochodu, dziś zaś około 15.000 f.

zwyczaj zaliczają do dziewięciu wielkich szkół publicznych, jest właściwie szkołą dzienną, gdyż nie posiada konwiktu; tak samo się ma z Merchant Taylor's school w Londynie. Wszystkie te szkoły posiadają po kilkuset uczniów; szkoła zaś Ś. Pawła posiadać może tylko 153 uczniów, która to liczba na zawsze ustanowioną została przez fundatora (Coleta) na pamiątkę 153 ryb złowionych cudownie przez apostołów.—W Szkocyi wykształcenie gimnazyalne przypada, jakeśmy widzieli, na szkoły elementarne, następnie na uniwersytety, a dopiéro może w najmniejszéj części na właściwe gimnazya, których téż tu jest wcale nie wiele. Najsłynniejsze z nich są: High school i Academy w Edynburgu, High school w Glasgowie, akademia w Perth, Madras college w St. Andrews i kilka innych; wszystkie liczące po kilkuset uczniów. Poprzednio przy szkołach elementarnych mówiliśmy już o tak zwanych „Hospital schools" w Szkocyi (por. „Ateneum" zeszyt Czerwcowy r. b. str. 461). Wszystkie tego rodzaju zakłady, kombinujące zresztą wykształcenie elementarne z gimnazyalném, zostały założone na wzór słynnego Christ's Hospital w Londynie i są właściwie konwiktami, w których znaczna ilość stypendystów otrzymuje bezpłatnie naukę i utrzymanie. W ostatnich czasach jednakże szkoły te przekształcają się coraz więcéj na szkoły dzienne, oddając stypendystów na stancye prywatne; przekonano się bowiem, że nagromadzenie znacznéj ilości wychowańców w jednym zakładzie pod względem hygienicznym jest szkodliwém.—W Irlandyi jest jeszcze mniéj gimnazyów jak w Szkocyi, chociaż są pomiędzy niemi niektóre dobre szkoły. Uniwersytet dubliński i tak zwane „kolegia królowéj" (rodzaj lyceum i uniwersytetu zarazem) zastępują tu w części szkoły średnie.

Główna różnica pomiędzy szkołami publicznemi a dziennemi zasadza się na tém, że pierwsze będąc konwiktami są zakładami naukowemi i wychowawczemi zarazem; drugie zaś, nie posiadając konwiktów, są tylko zakładami naukowemi, odpowiadają tedy prawie w zupełności gimnazyom i lyceom na stałym lądzie. Lecz i pod względem naukowym zachodzi pewna różnica pomiędzy szkołami jednéj i drugiéj kategoryi. Podczas bowiem gdy szkoły publiczne, mając na celu ogólne humanitarne wykształcenie, główny nacisk kładą na języki starożytne, to szkoły dzienne, mając więcéj na względzie wykształcenie profesyjne (czyli „dla chleba"), uwzględniają téż więcéj od pierwszych przedmioty realne. Właściwe szkoły realne jednakże dotąd nie rozwinęły się w Anglii samodzielnie (1). W wielu

(1) Dość często posyłają Anglicy, zwłaszcza kupcy i przemysłowcy, synów swoich do szkół realnych niemieckich.

szkołach istnieje w klasach wyższych obok klasycznego oddział realny (por. „Ateneum" zeszyt Paźdz. str. 99); te zaś szkoły, które uchodzą za czysto realne, o wiele przekraczają granice programu realnego. Oprócz bowiem łaciny, która w Anglii uważa się za przedmiot w wysokim stopniu kształcący i wykłada się we wszystkich szkołach średnich, uczą w nich także (dla życzących) języka greckiego; w City of London school wykładają nawet sanskryt i język perski. W samych realiach niekiedy panuje przesada; tak np. w niektórych szkołach uczą inżynieryi cywilnéj, a nawet sztuki fortyfikacyjnéj i t. p.

Opisanie szczegółowe szkół dziennych jest zupełném niepodobieństwem z przyczyny niezmiernéj rozmaitości, panującéj w tychże pod względem urządzenia zewnętrznego i wewnętrznego, programu, planu lekcyj i t. d. (1). Wiele rysów charakterystycznych szkół publicznych są wspólne i szkołom dziennym; tak np. podział szkoły na wyższą i niższą, z których każda podzielona na 3 klasy z licznemi pododdziałami, nazwy i stanowisko nauczycieli, metoda wykładu, marki, nagrody, egzamina. Te ostatnie w szkołach dziennych jeszcze więcéj aniżeli w szkołach publicznych wpływają na program i wykład nauk: szkoły bowiem publiczne zachowały w obec egzaminów przed komisyami uniwersyteckiemi pewną niezależność (niektóre nawet, jak np. Charterhouse school, zupełnie uczniów swoich na egzamina nie posyłają); dla szkół zaś dziennych, jako więcéj profesyjnych, pozyskanie świadectwa ze złożonego egzaminu jest rzeczą bardzo ważną i dla tego téż w nich wykład nauk skierowanym jest więcéj do wymagań egzaminów, aniżeli w szkołach publicznych.

Zarząd szkoły dziennéj jak i publicznéj należy do kuratoryum (governing body), wybiéranego przez korporacyą czy to religijną, czy to świecką (gminną, miejską i t. d.), któréj własnością jest szkoła, lub téż przez akcyonaryuszów, jeżeli szkoła należy do spółki akcyjnéj. Kuratorzy (trustees) zajmują się tylko sprawami administracyjnemi i finansowemi, kierunek pedagogiczny pozostawiając mianowanemu przez siebie rektorowi, który jednakże nie posiada

---

(1) Jakie przeciwieństwa panują jeszcze w szkołach angielskich, przekonać się można z tego szczegółu, że komisya parlamentarna z r. 1870 w 200 szkołach, które zrewidowała, znalazła na nauki przyrodzone przeznaczonych od $\frac{1}{2}$ do 10 godzin tygodniowo!

tak rozległéj władzy jak w szkołach publicznych. Nie on np. mianuje lub uwalnia nauczycieli, lecz kuratoryum.

Trzecia kategorya szkół są to szkoły prywatne w ścisłém znaczeniu tego słowa, tj. takie, które są własnością *jednéj* osoby prywatnéj. Szkoły prywatne są albo tylko szkołami dziennemi, albo téż konwiktami czyli pensyonatami. Liczba szkół prywatnych jest daleko liczniejszą od szkół dwóch poprzednich kategoryj; liczą ich bowiem do 15.000 Cyfra ta nie jest przesadzoną, gdy zważymy: że w téj liczbie mieszczą się także szkoły dla dziewcząt, że wiele ze szkół prywatnych są niczém więcéj jak szkółkami elementarnemi, wreszcie że frekwencya tych szkół jest wcale nie wielka. Rzadko bowiem szkoła prywatna dochodzi do 100 uczniów, zwykle zaś posiada ich kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu; są to tedy raczéj pensye prywatne aniżeli szkoły we właściwém znaczeniu. (1)

O wartości ich trudno wydać sąd stanowczy, albowiem zależy ona w zupełności od zdolności zwierzchnika utrzymującego szkołę i nauczycieli, jakich tenże przyjmuje. Ponieważ w Anglii zakładanie i utrzymywanie szkoły każdemu bez wyjątku jest dozwoloném, przeto nieraz zdarza się, że jaki szarlatan, lub indywiduum wykolejone i do niczego innego niezdolne, zakłada „akademią dla młodych dżentelmenów", albo „dla młodych ladych"! Przyjmuje tedy najmniéj płatnych nauczycieli, którzy, jeżeli sami nic nie umieją, mają się trzymać książki! Że rodzice częstokroć bez wyboru oddają dzieci do szkoły, jest właśnie w Anglii rzeczą zadziwiającą. Żaden bowiem naród nie posiada tak zdrowego sądu o rzeczach jak Anglicy; a pomimo to w wyborze szkoły dla swych dzieci okazują bardzo często zupełny brak rozsądku. Wielu jeszcze rodziców wierzy niesłychanym reklamom, umieszczanym w gazetach zwłaszcza na początku roku szkolnego, i na oślep oddaje dzieci do pierwszéj lepszéj szkoły. Téj to lekkomyślności rodziców zawdzięcza swoje istnienie wiele szkół prywatnych, znajdujących się w niesłychanie złym stanie. Są jednakże pomiędzy szkołami prywatnemi i bardzo dobre, te mianowicie, które są kierowane przez wykwalifikowane-

---

(1) „Szkołą" nazywa się już w Anglii (co bardzo często się zdarza), gdy duchowny (pastor) przyjmuje do swego domu kilku chłopców, aby ich przygotować do uniwersytetu lub jakiego specyalnego egzaminu. Jest to zupełnie to samo, co przed niezbyt dawnym czasem praktykowało się u nas (czy i dziś praktykuje się, nie wiem), że mianowicie niektórzy pastorowie przygotowywali w domu swoim młodych ludzi do pewnych klas gimnazyalnych lub nawet do uniwersytetu.

go pedagoga i posiadają zdolnych nauczycieli. Pod dwoma względami dobre szkoły prywatne mają nawet pierszeństwo przed szkołami powyższych dwóch kategoryj: najprzód, że przy niewielkiéj frekwencyi nauczyciele mogą więcéj zajmować się uczniami; następnie, że szkoły prywatne, nie będąc jak tamte skrępowane statutami lub niezdarnym (co się niekiedy zdarza) zarządem, mogą z łatwością wprowadzać u siebie wszelkie zmiany i ulepszenia stosownie do wymagań czasu i życzeń publiczności. Największém powodzeniem cieszą się te szkoły prywatne, które sobie postawiły za zadanie przygotowywać do różnorodnych egzaminów, jako to: do uniwersytetu, do służby cywilnéj, wojskowéj, morskiéj, do jakiego specyalnego zakładu i t. d. Są to tedy ad hoc urządzone szkoły przygotowawcze, a jakkolwiek sądzić będziemy o wartości podawanéj przez nich nauki, to przecież nie ulega wątpliwości, że spełniają one swe zadanie wcale nieźle, lepiéj nawet aniżeli szkoły publiczne i dzienne.

Pomiędzy szkołami prywatnemi jest o wiele więcéj szkół dla dziewcząt aniżeli dla chłopców, albowiem wychowanie kobiét pozostawioném jest prawie zupełnie przedsiębierczości prywatnéj. Samych szkół, w których wykładają języki obce, a więc wyższych pensyj żeńskich liczą do 5.000.

W y c h o w a n i e k o b i é t w Anglii pod wieloma względami zasługuje na uwagę.

Zamożne rodziny jak wszędzie tak i w Anglii albo wychowują córki w domu, albo posyłają na pensyą. W pierwszym wypadku przyjmuje się guwernantka, która oprócz dziewcząt nieraz uczy także braci ich (pomiędzy innemi przedmiotami i języka łacińskiego), do 12 lub 13 roku życia; w tym wieku bowiem oddają (jakeśmy już mówili o tém) zazwyczaj w Anglii chłopców do szkół.—Pensyj żeńskich dla klas zamożnych, utrzymywanych w wielkim tonie (fashionable) jest wiele zwłaszcza w Londynie i jego okolicach, a także i w Brighton. Niektóre z nich, stosując się do życzeń rodziców, główną uwagę zwracają na zewnętrzną ogładę młodych ladych, dają przeto tylko powierzchowne wykształcenie; inne natomiast kształcą bardzo gruntownie. Do programu wyższych pensyj żeńskich należą następujące przedmioty: języki nowożytne (francuski, niemiecki, niekiedy i włoski), język angielski, historya, geografia, rysunki, malarstwo, matematyka, język łaciński, naturalnie i muzyka, za którą się osobno płaci. Język łaciński nie jest przedmiotem obowiązkowym, lecz powszechnie we wszystkich wyższych i niższych pensyonatach prawie wszystkie uczennice go się uczą. Jak większe szkoły

publiczne, tak i większe pensye żeńskie wydają czasopisma (magazine), redagowane i pisane przez pensyonarki (1).—Dość często zamożniejsi rodzice posyłają córki dla kształcenia do Francyi lub Niemiec, po części dla nabycia języków, po części też dla dobrego tonu.

Dla stanu średniego istnieje mnóstwo „szkół dziennych" (t. j. bez pensyonatu) żeńskich drugiego lub trzeciego rzędu. Z tych cieszą się bardzo dobrą reputacyą szkoły żeńskie Kwakrów i braci morawskich, a także szkoły utrzymywane przez zakonnice przy żeńskich klasztorach katolickich. Szkoły żeńskie zostają w Anglii zwykle pod kierunkiem kobiét, w Szkocyi częściéj mężczyzn; tak samo ma się rzecz i co do nauczycieli. Zwykle i w stanie średnim dziewczęta kształcą się jak najdłużéj w domu; następnie po dość krótkiém uczęszczaniu do szkoły dziennéj oddają się (w wieku lat 14—15) na rok lub dwa do jakiéj wyższéj pensyi dla nabrania „ostatecznéj ogłady" (final polish). Pod względem wartości naukowéj szkoły dzienne żeńskie nie zupełnie odpowiadają tym wymaganiom, jakie się obecnie stawia wykształceniu kobiéty, i dla tego też od pewnego czasu zwrócono w Anglii baczną uwagę na polepszenie ich; przytém miano na względzie tak los kobiét niezamężnych jak i stanowisko mężatek i matek. Według uchwały parlamentarnéj z r. 1869 o szkołach uposażonych dozwala się część funduszów, które do tego czasu łożone były tylko na wychowanie chłopców, obracać na wykształcenie dziewcząt. Z téj to uchwały zarządy szkół uposażonych zaczynają korzystać: tak np. przy Hutcheson's Hospital w Glasgowie otwarto w r. 1876 szkołę żeńską dla klas średnich, w któréj oprócz zwykłych przedmiotów szkolnych uczą buchalteryi, telegrafii, szycia, gospodarstwa domowego i gotowania. W ostatnich latach zawiązało się kilka stowarzyszeń, mających na celu polepszenie średniego wykształcenia kobiét; tak mianowicie „unia narodowa" i zostające z nią w związku „towarzystwo szkół publicznych dziennych dla dziewcząt," które dotąd założyło 12 szkół.

W ostatnich czasach powstały też liczne zakłady pod nazwą „Colleges for Ladies," t. j. akademie żeńskie, mające na celu wyższe wykształcenie kobiét. Tak np. w samym Londynie istnieje

---

(1) Oto próbka z artykułu pensyonarki „o wakacyach": „Ach, z jakiém westchnieniem ulgi pensyonarka składa na bok Euklidesa albo Wirgilego i postanawia na jeden miesiąc zapomnieć o tém, że matematyka i klasycy istnieją na świecie!"

kilka „Queen's Colleges“ już od r. 1853, nadto „Ladies educational association“ i „Clifton association for the higher education of women.“ W Cambridge utworzono „Classes for women,“ a w bliskości miasta istnieją: „Newham hall“ i „Girton college“; również i w Oksfordzie powstał w ostatnich latach wyższy zakład naukowy dla kobiét. W „University college“ w Bristolu wszystkie prelekcye, z wyjątkiem medycznych, dostępne są dla obojéj płci. Halloway, wynalazca pigułek od niego nazwanych, zakupił niedawno w bliskości Londynu kawał gruntu za 25.000 f. w celu zbudowania na nim „uniwersytetu dla kobiét,“ który, jeżeli według planu fundatora obmyślonego na wielką skalę przyjdzie do skutku, przewyższy wszystkie tego rodzaju zakłady.—We wszystkich wyższych zakładach naukowych wykładają: języki nowożytne i starożytne (nawet grecki), język i literaturę angielską, historyą, geografię, fizykę, chemią, geologią, logikę i ekonomią polityczną. Z przedmiotów tych we wszystkich uniwersytetach kobiéty mogą zdawać egzamina zupełnie na równi ze studentami i często otrzymują dobre świadectwa i nagrody.

Dzięki tak licznym i w swoim rodzaju wybornym szkołom, oraz dzięki niezmiernie rozwiniętemu popędowi do nauki, można napotkać w Anglii bardzo wiele kobiét ze specyalném wykształceniem, a poziom umysłowy kobiét angielskich daleko więcéj zbliżonym jest do inteligencyi mężczyzn jak na stałym lądzie. O tém świadczą liczne przykłady z życia społecznego: kobiéty wykształcone w Anglii żywo interesują się i czynny biorą udział w kwestyach naukowych i w sprawach dobro powszechne mających na celu; nieraz zdarza się także, że żona nie tylko interesuje się pracami naukowemi swego męża, lecz i sama czynny bierze w nich udział. W literaturze angielskiéj (powieść, historya, tłómaczenia), kobiéty autorki zaszczytne zajmują stanowisko, tak pod względem liczby (w Anglii bowiem kobiéty daleko więcéj zajmują się literaturą jak w innych krajach), jako też pod względem oryginalności pomysłów, głębokości poglądów i talentu pisarskiego. Emancypacya kobiét wstąpiła tedy w Anglii na bardzo szczęśliwą drogę: kobiéty angielskie postanowiły dorównać mężczyznom w nauce. Są jednakże na tém polu pewne granice, które i w Anglii nie zawsze się przestrzegają; są pewne niebezpieczeństwa, których i kobiéty angielskie nie zawsze umieją uniknąć. Sami Anglicy widzą to i przyznają, że ich „studentki“ (na wzór swych koleżanek w Ameryce i w Rosyi) coraz więcéj przejmują maniery i obyczaje niezgodne z charakterem i powabem niewieścim; że i sama nauka przyjmuje u nich niekiedy fałszy-

wy kierunek, od którego nie kształci się umysł i uszlachetnia serce, lecz tylko przewraca się w głowie i dziczeją uczucia.

VII.

Stan nauczycieli gimnazyalnych.—Registracya. Kształcenie do zawodu nauczycielskiego: uniwersytety, seminarya, egzamina. Teologia i filologia ściśle połączone.—Nauczyciele promowani i niepromowani. Nominacya i dymisya. — Nazwy i starszeństwo.—Rektor i zgromadzenie nauczycielskie.—Uposażenie; dochody rektora i nauczycieli w Eton.—Emerytura.—Stanowisko socyalne nauczycieli.

Stanu nauczycieli gimnazyalnych właściwie nie ma w Anglii. Pochodzi to najprzód z okoliczności po kilkakrotnie już przytoczonéj: że mianowicie w przeciwieństwie do niektórych krajów stałego lądu, w których sroży się absolutna niewola, w Anglii panuje absolutna wolność nauczania. Na zasadzie „wolnego handlu“ każdy obywatel angielski, czy cudzoziemiec, może mieć szkołę i może być nauczycielem bez względu na kwalifikacyą. Tym sposobem do zawodu nauczycielskiego biorą się obok powołanych i niepowołani, obok tych, którzy sobie zawód ten za cel życia obrali, i tacy, który go jutro zamienić gotowi na inny zyskowniejszy. Wszystkie inne uczone zawody, jak prawnicy, lekarze i farmaceuci podlegają tak zwanéj „registracyi“, t. j. postanowieniu prawnemu, na mocy którego wolno im zajmować się praktyką tylko wtedy, gdy posiadają świadectwa kwalifikacyjne, wystawione przez uznaną powszechnie władzę, lub korporacyą naukową; lecz dla nauczycieli registracya dotąd nie istnieje, dla tego że nie ma powszechnie uznanéj władzy szkolnéj, którаby świadectwa udzielała. Uniwersytety, w których głównie w innych krajach kształcą się nauczyciele gimnazyalni, w Anglii dają raczéj ogólne humanitarne wykształcenie, aniżeli specyalne. Tym sposobem każdy kto przeszedł kurs uniwersytecki kwalifikuje się mniéj lub więcéj na nauczyciela gimnazyalnego, lecz studyum ad hoc skierowanego do zawodu pedagogicznego, w uniwersytetach angielskich nie ma wcale; nie ma nawet katedry pedagogiki, z wyjątkiem dwóch uniwersytetów szkockich (w Edynburgu i St. Andrews), w których dopiéro w ostatnich czasach została ustanowioną. Po za uniwersytetem (nie mówiąc o seminaryum utrzymywaném przez College of Preceptors w Londynie) również nie ma specyalnych za-

kładów, albo seminaryów, w których mogliby kształcić się nauczyciele gimnazyalni, tak jak juryści kształcą się w szkołach prawnych, lekarze w szkołach medycznych, teolodzy w seminaryach. Taki stan rzeczy nie uszedł baczności ludzi, którym wyższe wykształcenie leży na sercu. „Nasz zawód ze wszystkich uczonych zawodów jest jedyny, do którego według powszechnego mniemania można być dostatecznie przysposobionym bez najmniejszego specyalnego wykształcenia“—tak skarżą się rektorowie gimnazyów w Anglii. Inni znowu wołają: „jeżeli rząd broni nas od fuszerów lekarzy, to powinien nas także bronić od fuszerów nauczycieli!“

W celu zaradzenia takiemu niedostatkowi próbowano różnych środków. Pierwsza myśl była, urządzić seminarya dla nauczycieli gimnazyalnych na wzór seminaryów dla nauczycieli elementarnych. Projekt ten nie znalazł wielkiego poparcia. Najprzód bowiem kwestya pieniężna stanęła na przeszkodzie: na seminarya dla nauczycieli elementarnych łożą towarzystwa szkolne i rząd, lecz kto będzie łożył na seminarya dla nauczycieli gimnazyalnych? Kwestya pieniężna wszakże byłaby nic nieznaczącą, gdyż na sprawę oświaty zawsze w Anglii znajdą się pieniądze; ważniejszém było to, że powołując się na inne kraje, zwłaszcza Prusy, w których także nie ma zakładów przygotowawczych do wyższego zawodu nauczycielskiego, nie uważano za stosowne i potrzebne zakładać je w Anglii. Ponieważ jednakże gdy myśl jaka pożyteczna zostanie w Anglii rzucona, to z pewnością, dzięki energii narodu, wejdzie także w wykonanie, choćby tylko tytułem próby, przeto i w téj ważnéj sprawie zrobiono już pierwszy krok. Przed laty kilku zawiązał się w Londynie „komitet dla zakładania seminaryów dla nauczycieli szkół wyższych nad elementarne,“ do którego oprócz innych należy także Kay Shutlerworth, ten sam, który przed laty 38 wraz z Tuffnelem na własny koszt założył pierwsze seminaryum dla nauczycieli elementarnych. Komitet dotąd założył pierwsze seminaryum (Cathedral college w Bristolu) w połączeniu ze szkołą wzorową, w której kandydaci mają nabyć doświadczenia pedagogicznego.—Inne próby całkiem się nie powiodły. Tak np. chciano zastąpić seminarya w ten sposób, że młodych kandydatów oddawano pod kierunek starszych i doświadczonych pedagogów; to znowu proponowano uniwersytetom (Oksfordzkiemu i Kembrydżskiemu), ażeby zajęły się specyalném kształceniem nauczycieli gimnazyalnych. Pierwsze miało bardzo niewielkie powodzenie i prawie zupełnie zostało zaniechaném; drugie spełzło na niczém w skutek odmowy uniwersytetów; przyczém także, ze strony zwłaszcza rektorów gimnazyalnych, wyrażono prze-

konanie, że w uniwersytecie można wprawdzie nabyć wiadomości, lecz nie sztuki nauczania.

W takim stanie rzeczy rektorowie i zarządy szkół muszą dobierać sobie nauczycieli jak się da, a w skutek braku nauczycieli nie mogą też być bardzo wybrednymi w wyborze tychże.

Egzaminu specyalnego na nauczyciela szkół średnich i wyższych nie ma wcale, z wyjątkiem egzaminów odbywanych przez „kolegium nauczycieli" (College of Preceptors) w Londynie, o którém już wyżéj mówiliśmy. Jest to stowarzyszenie i komisya egzaminacyjna całkiem prywatna, któréj świadectwa wszakże i dyplomy na stopnie naukowe używają bardzo dobréj opinii a kandydaci, którzy przed nią zdali egzamina, z łatwością otrzymują posady. Świadectwo uniwersyteckie nie jest wcale specyalną kwalifikacyą na nauczyciela gimnazyalnego, lecz dowodem z odbytego egzaminu na stopień naukowy, t. j. stopień bakałarza (bachelor of arts) i magistra (mastre of arts). Egzamin na bakalaureat, pomimo że na pozór wymagania są bardzo znaczne, w rzeczy saméj jest tylko jakby egzaminem dojrzałości; stopień zaś magistra udziela się bez egzaminu w trzy lata po uzyskaniu bakalaureatu. Kto otrzymał stopień bakałarza, ten co ipso posiada kwalifikacyą na nauczyciela gimnazyalnego. Ponieważ w uniwersytecie Oksfordzkim głównie uprawiają języki starożytne a w Kembrydżskim oprócz tychże zajmują się także gorliwie matematyką, przeto filolodzy rekrutują się przeważnie z pierwszego, matematycy—z drugiego.

Największy kontyngens na nauczycieli gimnazyalnych (przynajmniéj w szkołach publicznych) dostarczają teolodzy (mówimy tu tylko o teologach anglikańskich). Objaśnia się to znowu organizacyą uniwersytetów angielskich. Wykształcenie, jakie student otrzymuje w uniwersytecie, jest humanitarne i teologiczne zarazem, tak iż ten, kto po trzechletnim pobycie w uniwersytecie otrzymał najniższy stopień naukowy, t. j. bakalaureat, uważa się i za wykwalifikowanego filologa i prawie za skończonego teologa. Większa też część tych, którzy ukończyli uniwersytet, poświęca się stanowi duchownemu. Tym sposobem uniwersytety angielskie produkują przeważnie teologów i to w większéj ilości, jak jest miejsc duchownych do obsadzenia. Dla tego to wielu teologów poświęca się zawodowi nauczycielskiemu lub profesorskiemu, przechodząc do zawodu duchownego, gdy się lepsze w tymże przedstawiają widoki, lub też niekiedy pełniąc jednocześnie obowiązki i duchownego i nauczyciela, profesora lub rektora. Tak więc teologia i filologia, stan duchowny i pedagiczny, oddawna ściśle ze sobą w Anglii są połączone. W szkołach

publicznych przed niedawnym jeszcze czasem tak rektorowie jak nauczyciele powszechnie byli teolodzy, a nawet panowało przekonanie, że nauczyciel powinien być duchownym (clergyman), jeżeli chce zrobić karyerę. Obecnie stosunek ten zmienił się znacznie: nie we wszystkich szkołach publicznych rektorami są teolodzy, a pomiędzy nauczycielami jest wielu nieteologów; tylko w niektórych szkołach w skutek wyraźnego brzmienia statutów fundacyjnych kolegium nauczycielskie zachowało dotąd charakter duchowny. W Szkocyi teolodzy i w ogóle ludzie z uniwersyteckiém wykształceniem zajmują nawet dobrze płatne posady nauczycieli elementarnych, które często uważają tylko za przejściowe (por. „Ateneum“ zeszyt Czerwcowy r. b. str. 460). Nadmienić i to wypada, że w Szkocyi nauczycielami gimnazyalnymi są często prawnicy, których stopień naukowy (magister prawa cywilnego) oznacza właściwie takie tylko wyższe humanitarne wykształcenie.

Wszyscy powyżéj wzmiankowani nauczyciele stanowią arystokracyą w hierarchii pedagogicznéj, albowiem są „promowani“ (graduated), tj. posiadają naukowe stopnie uniwersyteckie; plebejuszami zaś są wszyscy niepromowani. Ostatnich jest znaczna ilość zwłaszcza w szkołach prywatnych, może nawet więcéj jak pierwszych. W Anglii bowiem nieraz wystarcza świadectwo a nawet prosta rekomendacya jakiego profesora, nauczyciela, lub osoby prywatnéj, ażeby otrzymać posadę nauczyciela i to nie tylko przedmiotów technicznych (jak gimnastyka, śpiew lub taniec), lecz i właściwych przedmiotów naukowych. Takie indywidua przyjmują się na nauczycieli pomocniczych albo niższych, często porzucają posadę, szukając zyskowniejszego zajęcia w innym zawodzie. Do téj kategoryi należą także nauczyciele języków nowożytnych, zazwyczaj cudzoziemcy (Niemcy, Francuzi, Włosi, często także Żydzi lub neofici), którzy niekiedy posiadają uniwersyteckie (filologiczne) wykształcenie; najczęściéj jednakże są to byli nauczyciele elementarni, albo subjekci handlowi, garsoni, krawcy itp. Liczni ajenci, utrzymujący rekomendacye nauczycielskie, ułatwiają wszelkie interesa tyczące się obsadzenia posad nauczycielskich, i tym sposobem zastępują jakby wyższą zwierzchność szkolną.

Nominacya i dymisya rektora i nauczycieli zależy od bezpośredniéj zwierzchności, a mianowicie: w szkołach publicznych kuratoryum ma prawo mianować rektora, jak również każdego czasu nie przytaczając nawet powodów dać mu dymisyą; zupełnie takie samo prawo przysługuje rektorowi w obec nauczycieli, którzy wprawdzie od decyzyi rektora mogą apelować do kuratorów, lecz ponieważ ci

trzymają stronę rektora, przeto apelacya ich nigdy prawie nie otrzymuje skutku. Dymisya rektora zdarza się niezmiernie rzadko, albowiem kuratoryum w wyborze tegoż postępuje z nadzwyczajną skrupulatnością; natomiast częściéj zdarza się, że rektor bez wyraźnych powodów daje dymisyą nauczycielowi. Przeciwko samowoli rektorów nauczyciele posiadają jednę tylko, lecz bardzo potężną obronę— opinią publiczną, która w Anglii jest stróżem sprawiedliwości i groźnym mścicielem bezprawia. W szkołach dziennych kuratoryum mianuje i uwalnia tak rektora jak i nauczycieli. W szkołach prywatnych przyjęcie i odprawienie nauczyciela zależy w zupełności od właściciela szkoły.

Rektor szkoły średniéj lub wyższéj nazywa się powszechnie w Anglii „headmaster,“ nauczyciele zwyczajni „assistant masters,“ nadzwyczajni albo pomocniczy (np. języków nowożytnych, rysunku, tańca itp.) noszą niekiedy zwłaszcza w szkołach publicznych nazwę „extra masters.“ Starszeństwo w kolegium nauczycielskiém jest ściśle zachowaném. Najprzód bowiem istnieje wielka różnica tak pod względem stanowiska socyalnego jak i uposażenia pomiędzy promowanymi a niepromowanymi, zwyczajnymi a pomocniczymi nauczycielami; następnie różnicę stanowią lata służby jak również to, czy nauczyciel udziela w wyższych czy w niższych klasach; wreście i przedmiot wykładany znacznie wpływa na wyższe lub niższe stanowisko nauczyciela. W szkołach publicznych (zwłaszcza w Eton) nauczyciele języków starożytnych zajmują pierwsze miejsce; po nich idzie starszy nauczyciel matematyki, następnie młodsi nauczyciele tegoż przedmiotu, wreście nauczyciele języków nowożytnych i przedmiotów technicznych (1). Jednakże osobnych tytułów starszeństwa, jak np. nauczyciel „wyższy“ lub „niższy“ w Anglii nie znają. Natomiast nauczyciel najstarszy po rektorze nazywa się „vice-master“ (prorektor), albo „drugim“ nauczycielem: następnie idzie „trzeci,“ „czwarty“ itd.

Lubo rektor posiada prawie nieograniczoną władzę, to przecież w wykładzie nauk jak w ogóle w wypełnianiu obowiązków po-

---

(1) Jak wybitna różnica panuje w Eton w randze nauczycieli, można się przekonać z tak dobrego szczegółu, jak ten, że uczniowie tylko przed nauczycielami klasycznymi zdejmują kapelusz, innym zaś wcale się nie kłaniają! Jest to zabytek czasów dawniejszych: dawniéj bowiem tylko nauczyciele przedmiotów klasycznych posiadali wykształcenie uniwersyteckie, nauczyciele zaś matematyki (naturalnie i innych przedmiotów) takowego nie posiadali, w skutek czego nawet w opinii uczniów stali o wiele niżéj. W innych szkołach publicznych różnica ta nie jest tak wybitną jak w Eton.

zostawia zazwyczaj nauczycielom zupełną swobodę, kontroluje zaś głównie tylko ostateczne rezultaty na egzaminach. Każdy nauczyciel uczy na własną rękę i odpowiedzialność, tak iż brak w zgromadzeniu nauczycielskiém pewnéj organicznéj spójni. Nawet posiedzenia rady pedagogicznéj prawie wcale nie odbywają się; tu i owdzie zostały one wprowadzone, lecz rektor nie jest obowiązany ani zwoływać je regularnie, ani téż zastosować się do postanowień tychże. Liczba obowiązkowych lekcyj tygodniowych nie jest ściśle oznaczoną, lecz jest nie wielką. Jednakże lekcye szkolne stanowią tylko nieznaczną część zajęć nauczyciela zwłaszcza w szkołach publicznych, w których w skutek systemu tutoryalnego prywatne zajęcia odejmują wiele czasu. Ztąd téż pochodzi, że nauczyciele w Anglii niewiele mogą pracować nad własném wykształceniem a produktywność ich literacka jest wcale niewielka.

Uposażenie nauczycieli jest w szkołach rozmaitych kategoryj bardzo nierówne: w wielkich szkołach publicznych np. jest ono bardzo dobre, gdy znów w szkołach prywatnych jest często bardzo nędzném według zasady ,,jaka praca—taka płaca" i naodwrót. Przeciętnie jednakże nauczyciele gimnazyalni lepiéj się stoją w Anglii aniżeli w którymkolwiek kraju na stałym lądzie. Rektor i nauczyciele rzadko pobierają stałą pensyą; najczęściéj uposażenie ich zależném jest od ilości uczniów, czyli od wysokości wpływającéj opłaty szkolnéj. W konwiktach zaś nie pensya stanowi główny dochód tak dla nauczycieli jak i dla rektora, lecz tutorstwo i trzymanie na stancyi pensyonarzy.

W najbogatszéj ze wszystkich szkole Etońskiéj dochody obydwóch rektorów i nauczycieli są następujące. Rektor szkoły wyższéj, oprócz mieszkania, opału, światła itd. otrzymuje od kolegjum, tj. od fundacyi stałéj pensyi 375 f.; od każdego ucznia szkoły wyższéj pobiera po 6 f. opłaty szkolnéj, co czyni przeszło 4000 f. rocznie. Oprócz tego od każdego ucznia wstępującego do szkoły wyższéj otrzymuje jednorazowo tytułem wpisowego po 5 gwinei (210 złp.), czyli około 700 f.; wreście każdy z uczniów opuszczających szkołę według starego zwyczaju daje rektorowi pożegnalny prezent i to zwykle pieniędzmi od 10—20 f., co czyni około 1200 f. rocznie. Ze wszystkich czterech źródeł rektor ma rocznego dochodu 6000—7000 f. brutto. Z tego wydaje: 17 nauczycielom klasykom szkoły wyższéj, oraz starszemu nauczycielowi matematyki i jednemu z jego pomocników, każdemu nie więcéj jak 44 f., co czyni 800 f.; na kupno książek, przyborów szkolnych itd. około 600 f.; razem 1400 f. Tym sposobem pozostaje się rektorowi szkoły wyższéj czystego dochodu około 5000 f. czyli 30.000 rs. (licząc funt szterl. po nominalnéj cenie). Rektor

szkoły niższéj otrzymuje od kolegium stałéj pensyi 80 f.; nadto po 6. gwinei opłaty szkolnéj od każdego ucznia szkoły niższéj i 4 gwineje wpisowego od każdego wstępującego do szkoły. Wydaje: po 30 f. rocznie każdemu nauczycielowi klasycznemu szkoły niższéj; czysty dochód: przeszło 1000 f. Oprócz tego tenże trzyma około 40 pensyonarzy, z każdego zaś ma około 60 fr. czystego dochodu, czyli ze wszystkich: 2400 f., do któréj to sumy dodawszy powyższe 1000 f. otrzymamy 3400 f. czyli przeszło 20.000 rs. rocznego dochodu. Nauczyciele języków starożytnych od kolegium nie otrzymują żadnéj pensyi, lecz tylko od rektora 44 f. w wyższéj i 30 f. w niższéj szkole. Z tutorstwa i czystego dochodu z pensyonarzy stoją się na 2000—3000 f. rocznie. Rzecz naturalna, że czerpiąc główny dochód z pensyonarzy, nauczyciele starają się wszelkiemi siłami o dobrą reputacyą swego pensyonatu; jak tylko bowiem nauczyciel nie okazuje należytéj gorliwości, traci pensyonarzy i wówczas jego położenie finansowe jest bardzo przykrém. Dodać i to należy, że młody nauczyciel, zanim da się poznać, musi kilka lat czekać na pensyonarzy; oraz i to, że koszta urządzenia pensyonatu są dosyć znaczne, wynoszą bowiem do 2000 f.—Dochody nauczycieli matematyki czerpią się z następnych źródeł.—Każdy uczeń „miejski“ (oppidan tj. niestypendysta) płaci za naukę matematyki w wyższéj szkole po 4 gwinei (168 złp.) rocznie; z otrzymanego ztąd funduszu starszy nauczyciel matematyki otrzymuje $^{11}/_{20}$ części, reszta zaś tj. $^{9}/_{20}$ podzielona na 21 równych części rozdziela się pomiędzy 6 pomocników w stosunku od 5 do 2. Jeżeli np. fundusz wynosi 3000 f., natenczas starszy nauczyciel otrzymuje 1650 f., pierwszy pomocnik 320 f., drugi i trzeci po 256 f., czwarty i piąty po 192 f., szósty 128 f. Starszy nauczyciel otrzymuje nadto od kolegium 150 f. jako honoraryum za stypendystów, lecz obowiązany wypłacić 44 f. siódmemu pomocnikowi, który takąż sumę otrzymuje nadto od rektora (por. wyżéj). Nauczyciele matematyki nie mogą być tutorami, lecz mogą trzymać pensyonarzy; zwykle jednakże albo ich wcale nie mają, albo niewielu. Za to wynagradzają się lekcyami prywatnemi, które tym więcéj popłacają, że w planie szkolnym jeszcze zbyt mało godzin na ten przedmiot jest przeznaczonych. W szkole niższéj jest osobny nauczyciel matematyki i trzech pomocników tegoż; dochody ich czerpią i rozdzielają się tak samo jak w szkole wyższéj.—Ponieważ wszystkie inne przedmioty (języki nowożytne, rysunki itd.) nie są obowiązkowe, przeto płaci się za nie osobno, a z otrzymanego ztąd funduszu otrzymują wynagrodzenie nauczyciele tychże przedmiotów. Każdy z takich „extra masters“ stoi się w przecięciu na 200—300 f.; jest to wynagrodzenie bardzo dobre, gdy zważymy, że praca ich jest wcale niewiel-

ka; oraz że nauczyciele tych przedmiotów zazwyczaj nie posiadają wykształcenia uniwersyteckiego.

Emerytura w szkołach średnich i wyższych tak dla rektora jak i dla nauczycieli wcale nie istnieje. Zarządy szkół kierują się w tym względzie tą zasadą, że każdy powinien się tak urządzić i tyle zaoszczędzić, iżby na stare lata miał byt zapewniony dla siebie i dla rodziny; jeżeli nauczycielom zapewnić emeryturę, natenczas wypadałoby zmniejszyć im dochody, z czego zapewne byliby jeszcze więcéj niezadowoleni. Jednakże nauczyciele w Anglii a więcéj jeszcze w Szkocyi usilnie starają się o zapewnienie im emerytury, dotąd wszakże prawie bezskutecznie. Pragnąc tedy zabezpieczyć sobie przyszłość, uciekają się do kas oszczędności, do towarzystw zabezpieczających życie itp.

Stanowisko socyalne nauczycieli gimnazyalnych nie jest jeszcze w Anglii (jak i u nas) tak uznaném, jak innych naukowych zawodów: nauczyciel w opinii publicznéj w mniejszym stopniu uważa się za dżentelmana jak duchowny, prawnik albo lekarz. Pochodzi to ztąd, że dotąd jeszcze nie wyrobił się w Anglii właściwy stan nauczycielski, oraz że najróżnorodniejsze żywioły wchodzą w skład tegoż. W większych szkołach publicznych szacunek, jakiego używają nauczyciele, przywiązanym jest więcéj do charakteru duchownego, który zarazem posiadają, aniżeli do zawodu pedagogicznego. Jednakże coraz więcéj budzi się pomiędzy nauczycielami poczucie własnéj godności, coraz więcéj téż stan nauczycielski emancypuje się od duchownego. Do wyrobienia poczucia własnéj godności niemało przyczyniają się stowarzyszenia i zjazdy nauczycieli, na których naradzają się nad wspólnemi sprawami. Nauczyciele w większych i lepszych szkołach tak publicznych jak dziennych a nawet prywatnych w zupełności zasługują być zaliczonymi do ,,dżentelmanów;" posiadają bowiem wszystkie te przymioty, jakich od prawdziwego dżentelmana w Anglii wymagają, jako to: wykształcenie, szlachetny sposób myślenia, niezależność charakteru i wyższe ogólne cele życia. To téż tacy nauczyciele wywierają wpływ ogromny na młodzież nie tyle przez swą uczoność, ile przez charakter, powagę i obejście, wzbudzające szacunek i poważanie (1).

---

(1) Wiese (I, 28) powiada bardzo trafnie: „Nauczycielom w Anglii więcéj chodzi o to, aby wychowaniec uczył się *przez*, jak *od* nich; niekiedy zdawało mi się, jak gdyby tam nauczyciel odzywał się do ucznia: „patrz *co czynię*," gdy w Niemczech odzywa się: „słuchaj co *mówię*". Wpływ osobisty nauczyciela na kształcenie charakteru jest tedy większym w Anglii jak w Niemczech."

KILKA SŁÓW

O NASZÉJ POEZYI DRAMATYCZNÉJ.

Jest rzeczą powszechnie znaną i uznaną, że ze wszystkich gałęzi literatury nadobnéj, najmniéj u nas rozwiniętym jest kwiat poezyi, dramat. W dziale poezyi lirycznéj i opisowéj, w powieściopisarstwie, w artystyczném traktowaniu dziejów, możemy śmiało, bez zarozumiałości walczyć o palmę pierwszeństwa z narodami przodującymi w cywilizacyi, pod względem jednak poezyi dramatycznéj nic jesteśmy w możności wytrzymać poważnéj konkurencyi, jakkolwiek pierwszy lepszy katalog biblioteczny wykazuje kilka imion o potężnym talencie. Jakiż powód tego zjawiska? Co jest przyczyną, że naród poetyczny tak mało zdziałał w najpiękniejszéj gałęzi beletrystyki, skoro na innych pokrewnych polach wykazuje pierwszorzędną działalność?

Historycy piśmiennictwa wspominają o pewnego rodzaju dyalogach, przedstawianych jeszcze przez pogańskich naszych praojców. Są to tylko domysły, które dla nas żadnego nie mają znaczenia. Również małoważnemi są dla nas gołosłowne wzmianki kronikarskie (Kadłubka i Długosza) o przedstawianych w XII i XIII stuleciu igrzyskach teatralnych, o zaginionym dyalogu osnutym na historyi Ludgardy i t. p. Najstarsze dyalogi pojawiają się dopiéro w wieku XV, a wszystkie są osnute na tematach z biblii lub powieściach mitologicznych. Pierwsze te próby pisane przeważnie przez księży mają tylko wartość dla bibliografa: są nudne, suche, a obecnie tylko swą naiwnością mogą wzbudzić uśmiech na licach czytelnika. Reforma

duchowa, wprowadzona w całéj Europie przez humanistów, wpłynęła stanowczo na kiełkujący w dyalogach dramat. Z wieku XVI posiadamy kilka utworów, mających niezaprzeczoną wartość literacką. Dosyć wspomnieć o „Odprawie posłów greckich“ Jana Kochanowskiego, o tragedyi przerobionéj przez Żawickiego z Buchanana p. t. „Jeftes,“ która bezsprzecznie liczyć się może między najlepsze utwory dramatyczne ówczesnéj epoki, o komedyi Marcina Bielskiego p. t. „Sejm niewieści“ przypominającéj żywo „Gwałtu co się dzieje!“ Fredry, o komedyi Cieklińskiego p. t. „Potrójny“ i t. d. Wszystkie te utwory, pisane krojem łacińskich autorów, stanowią poważny zawiązek prawdziwéj literatury dramatycznéj. Daleko jednak ważniejszemi dla nas są przemiany, którym uległy w tym czasie dyalogi.

Dramat narodowy powstał wszędzie nie z naśladownictwa klasycyzmu, ale z dyalogów, które tworzył lud, tak samo jak poezya narodowa wykwitnęła z podań i pieśni ludowych. Otóż w XVI stuleciu dyalogi nasze straciły swą religijno-kosmopolityczną cechę, a przez wprowadzenie typów współczesnych nabrały oryginalnéj swojskiéj barwy, werwy i życia. Jakaż to przepyszna postać księżego sługi, Albertusa, mającego w sobie coś z Sancho-Panszy, i wiejskiego dławidudy! Alboż nie dobry ów filut psotnik, protoplasta świętoszków, albo owi żacy, klesi, chłopi i cały zbiór jasno określonych charakterystycznych postaci. Nie brak tym dyalogom częstokroć dowcipnéj akcyi i zręcznych sytuacyj. Rzeczywiście po tych próbach sądzić by należało, że wkrótce wystrzeli bujny kwiat dramatu. Niestety nie było i nie ma dotychczas ludzi, którzyby potrafili odlać z tego szczero-złotego kruszcu niespożyte posągi. W następnych epokach nie dostrzegamy w dyalogach żadnego postępu, owszem póżniéj znowu upadają i przekształcają się w dawne religijne widowiska, wreszcie w XVIII stuleciu w obec nowszych prądów w literaturze schodzą z widowni. Mieliśmy jak najpiękniejszy zawiązek oryginalnéj dramatycznéj literatury, niestety nie wyszedł on z stanu niemowlęctwa i zginął, zdaje się, bezpowrotnie.

Pod panowaniem Wazów, a szczególnie Władysława IV, żywo dał się odczuć potężny wówczas wpływ dramatu francuskiego, który oparłszy się na klasycyzmie, rzec by można, prześcignął swe pierwowzory. Kornel i Rasyn dzierżyli berło poezyi dramatycznéj nie tylko we Francyi, ale w całéj Europie i rozpoczęli preponderancyą Francyi w tym kierunku, która w pełnéj sile trwa dotychczas. W wieku XVII zajmowano się u nas przeważnie przyswajaniem dzieł francuskich poetów; odznaczył się szczególnie w tym kierunku Jędrzéj Morsztyn, który po mistrzowsku przełożył Kornelowego „Cyda.“ Tłómaczenie to pod względem czystości i giętkości języka, nie mniéj

wiernego oddania piękności oryginału możnaby tylko porównać z arcydzielnemi przekładami Mickiewicza, Osińskiego, Odyńca i Kamińskiego. Z innych pisarzy na wyszczególnienie zasługuje Piotr Baryka, którego komedya p. t. „Z chłopa król“ odznacza się humorem i narodowym kolorytem. Był to bez zaprzeczenia niezwykły talent, szkoda tylko, że się ograniczył na napisaniu jednego utworu.

Pierwsza połowa wieku XVIII aż do założenia stałego teatru w Warszawie przez Stanisława Augusta, dla dramatu, jakby nie istniała. Po dawnemu grano po konwiktach klasztornych dyalogi, czasem podczas jakiéj magnackiéj uroczystości, kazano odegrać „teatr“ jakiéj wędrownéj trupie cudzoziemskich aktorów i na tém się kończyło. Teatr nie był niczém innem tylko pewnym rodzajem aparatu do podwyższenia okazałości zabawy, tak samo jak muzyka lub fajerwerki. Z owéj epoki wymienić nam należy jednego tylko pisarza, a jest nim hetman w. koronny, Wacław Rzewuski, który napisał dwie tragedye: „Żołkiewski“ i „Władysław pod Warną.“ Obie te sztuki, naśladownictwa t. zw. pseudoklasycyzmu francuskiego, są bardzo słabe i blade; Rzewuskiemu jednak poczytać należy za zasługę, że pierwszy wziął do tragedyi temata z własnéj historyi i wskazał, że zarówno dobrze bohatérem dramatu może być Polak, jak Grek, lub Rzymianin.

Stanisław Konarski był bezsprzecznie mężem pierwszorzędnego talentu, gorącéj miłości kraju, energii i przemysłowości. Działalność jego była wszechstronną: głęboki polityk, wytrawny statysta, doświadczony pedagog, wykształcony gruntownie w najgłówniejszych umiejętnościach, pracował dla narodu we wszystkich możliwych kierunkach, a to tak skutecznie, że wszyscy autorowie piśmiennictwa uczcili epokę jego działalności mianem epoki Konarskiego. Podniesienie dramatu z ostatecznego upadku, równającego się prawie nicości, jemu także zawdzięczyć należy. Pozwolimy sobie, rzecz tę nieco szczegółowiéj objaśnić. Prąd reformatorski, którego ukoronowanym reprezentantem był Stanisław Leszczyński, mimo niepowodzeń króla filozofa, nabiérał coraz więcéj gruntu w narodzie. Walka rozpoczęła się skutecznie na polu szkolnictwa. Zacofany, staroszlachecki i utrzymujący naród w bezmyślności kierunek reprezentowały szkoły jezuickie wraz z akademią krakowską. Pijarowie z Konarskim na czele wywiesili sztandar liberalnéj, rzetelnéj, wszechstronnéj oświaty. Emulacya między obydwoma kierunkami, reprezentowanemi przez dwa potężne zakony, zmuszała obie strony do wszelkich możliwych, godziwych środków, aby zachęcić uczniów i rodziców i zapewnić sobie klientelę. Jednym z takich środków zachęty

były reprezentacye teatralne, urządzane przez uczniów po konwiktach, tak jezuickich jak i pijarskich. Konarski w myśl swego programu i dla kontrastu z „teatrami“ jezuickiemi zreformował te przedstawienia. Usunął zupełnie stare, niedorzeczne dyalogi, w których się Jezuici lubowali, a natomiast sam tłómaczył lub kazał tłómaczyć dla uczniów celniejsze utwory literatury francuskiéj, przystosowując je do pojęcia i potrzeb moralnych młodych aktorów i audytoryum. Przedstawienia te w kolegiach pijarskich miały wielkie powodzenie i przyczyniły się skutecznie do rozbudzenia zamiłowania do literatury dramatycznéj i wykształcenia smaku. Jezuici widząc, że z dniem każdym grunt z pod nóg ich się usuwa, zrobili ustępstwo i przynajmniéj *in puncto* przedstawień konwiktorskich poszli za przykładem Pijarów. Rzecz dziwna, choć często się powtarzająca: naśladowcy prześcignęli swe wzory. Pijarzy dali impuls, Jezuici udoskonalili sztukę; Pijarzy nie wydali żadnego pisarza dramatycznego, Jezuici zaś mogą się poszczycić Bohomolcem, którego liczne utwory muszą zająć każdego dziejopisa literatury.

Ważnym dla literatury dramatycznéj wypadkiem było założenie w r. 1765 stałego teatru w Warszawie. Od téj dopiéro chwili literatura dramatyczna znalazła stały punkt oparcia i zajęła poważniejsze stanowisko. Pierwszorzędną gwiazdą owéj epoki jest Ks. Franciszek Zabłocki (ur. 1754 um. 1821), którego komedye, jak „Fircyk w Zalotach,“ „Sarmatyzm,“ „Żółta szlafmyca“ i t. d. odznaczają się zarówno układem scenicznym, jak humorem i zręczném schwyceniem charakterów narodowych. Też same zalety w połączeniu z głębszą myślą polityczną przypisać należy wybornéj komedyi J. U. Niemcewicza p. t. „Powrót posła,“ która w swoim czasie budziła formalny entuzyazm w rozgorączkowanéj sprawami narodu publiczności. Najlepszą pochwałą tych dzieł będzie, jeżeli powiemy, że nawet w obecnych czasach mogą być przedstawiane ku ogólnemu pożytkowi i rozrywce. Pisząc o autorach dramatycznych z czasów Stanisławowskich, niepodobna nie wspomnieć Józefa Bielawskiego, którego komedyą p. t. „Natręci“ rozpoczęto uroczyście przedstawienia w teatrze warszawskim. Komedya ta jak równie druga p. t. „Dziwak“ mimo sporéj dozy wad nosi na sobie cechę talentu, który byłby się mógł rozwinąć, gdyby autor zrażony przycinkami dowcipnych, lecz niezawsze sprawiedliwych szambelanów króla Stanisława Augusta, nie był zaprzestał pisać. W owym czasie próbowali także dość szczęśliwie sił swoich na polu dramatyczném: słynny Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, autor kilku grywanych w owym czasie komedyj i rozprawy o dramaturgii, zawierającéj wiele

zdrowych pomysłów, Jan Drozdowski, którego komedya „Bigos hultajski“ długo utrzymymała się na scenie i t. d.

Na samym schyłku wieku 18-go występuje potężny talent, który w przeciągu lat kilku zaćmił wszystkich swych poprzedników, Wojciech Bogusławski, dzielny aktor, znakomity dyrektor teatru i pisarz dramatyczny. Dokładny opis działalności artystycznéj i literackiéj tego męża nie wchodzi w zakres naszego tematu, ograniczymy się zatém na podniesieniu jednego jego dzieła, które stanowi epokę w naszéj dramaturgii i należy do rzędu nielicznych utworów wyrosłych z pnia czysto narodowego, zawsze świeżych, zawsze wielkich i pięknych. Tém pomnikowém dziełem są: „Krakowiacy i Górale.“ Utworem tym uczynił Bogusławski to, co Brodziński „Wiesławem“ a Mickiewicz „Baladami i romansami“, wprowadził poezyą dramatyczną na grunt czysto swojski, tak jak oni epicką i liryczną. Niestety, podczas gdy liryka i epos znalazły licznych zdolnych uprawiaczy i rozwinęły się w stubarwny obraz zachwycający bogactwem i ogromem formy i myśli, poezya dramatyczna, oparta na gruncie narodowym, wydała zaledwie kilka prawdziwie wielkich utworów. Bogusławski pierwszy podjął genialną myśl dyalogów XVI wieku i wprowadził na scenę lud z jego zwyczajami, przymiotami i wadami. To właśnie, a nic innego, nadaje „Krakowiakom i Góralom“ wartość niespożytą, i ta zaleta pokrywa zupełnie wszelkie błędy, od których ten utwór nie jest wolnym. Zasługę Bogusławskiego musimy uważać za tém większą, jeżeli zważymy, że ówczesny sentymentalno-sielankowy wpływ literatury francuskiéj był dominującym, że Delille ze swymi paryskimi elegancikami, poprzebieranymi za pasterzów w ładne kurtki i kapelusiki słomkowe, był powagą w rzeczach smaku literackiego, że kochanek mógł się tylko nazywać Filonem, a kochanka Laurą, że nawet nad Dniestrem nie można było umieścić Maćka i Kachnę, tylko „Adolfa z Julią kochających się nadzwyczajną miłością“ (patrz romans autora „Ludgardy“ Ludwika Kropińskiego p. t. „Julia i Adolf, czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegiem Dniestru“). Nie otrząsł się wprawdzie w zupełności Bogusławski z tych nieswojskich naleciałości: jego wieśniacy mają częstokroć maniery klas wyższych i przemawiają za wyszukanym językiem, mimo to jednak w „Krakowiakach i góralach“ postaci są narysowane silnie, zdrowo i prawdziwie. Na usprawiedliwienie Bogusławskiego pod tym względem i to powiedzieć musimy, że uszlachetnienie w miarę wprowadzanych na scenę postaci z ludu, jest koniecznėm: smak estetyczny wymaga tego, a gruby realizm jest wstrętniejszym i niedorzeczniejszym w sztuce, niż przesadne idealizowanie. Współcześnie z Bogusławskim pracował nad wzrostem

sceny polskiéj drugi znakomity artysta i pisarz dramatyczny, uczeń Wojciecha, Alojzy Żółkowski. Pierwszy ten polski humorysta, w nowożytném tego słowa znaczeniu, położył dla sceny głównie zasługi jako aktor; jego dzieła dramatyczne, których pozostawił znakomitą ilość (74), przebrzmiały wraz z jego skonem, a autor „Momusa“ żyje w pamięci potomnych tylko jako wielki artysta i dowcipny satyryk.

Pod ożywczemi promieniami nowego słońca, zwanego romantyzmem, dramat nasz znaczne uczynił postępy. Prawie równocześnie pojawiło się kilka pierwszorzędnych talentów, a liczba ludzi piszących dla sceny wzrasta z dniem każdym. Według naszego zdania, w epoce Mickiewiczowskiéj mamy pięciu pisarzy dramatycznych, którzy przynoszą prawdziwą chlubę naszemu narodowi. Oto ich imiona: Juliusz Słowacki, Józef Korzeniowski, I. N. Kamiński, Aleksander Fredro i Dominik Magnuszewski. Każdemu z nich poświęcić słów kilka należy.

Juliusz Słowacki to nie talent, to geniusz mogący współzawodniczyć godnie z najpierwszymi dramaturgami. Jaka u niego siła tragiczna, jaki ogień, jaki polot myśli! Jeżeli pod względem budowy dramatu i pojęcia charakterów ustępuje on nielicznym wprawdzie pisarzom dramatycznym innych narodów, natomiast prześciga ich fantazyą i tą intuicyą, na którą Grecy mieli odpowiedni wyraz „oistros.“ Zarzucają powszechnie Słowackiemu, a nawet rzekomo nie bez pewnéj słuszności, że naśladował Szekspira; myśmy skłonni widzieć raczéj tylko pewne powinowactwo duchowe między dwoma olbrzymami. Ideałem Słowackiego było stworzyć dramat narodowy, i według nas on jeden widział jasno drogę, po któréj w tym kierunku dążyć należy. Żeby u nas stworzyć dramat narodowy, trzeba zużytkować przedewszystkiém skarby nagromadzone w dyalogach z XVI wieku Słowacki pojął tę myśl i dał jéj wyraz w dramatach fantastycznych, w których wprowadza anachronistyczne postaci, jakby żywcem wycięte z naszych dawnych dyalogów. Fantastycznym dramatom Słowackiego przewodniczy zawsze głęboka myśl historyozoficzna: są to głębokie poematy narodowe. Słowacki nie zrealizował swego ideału i nie stworzył dramatu narodowego, wytknął jednak szlak i pozostawił usiłowania, które będą zawsze świadczyć o jego geniuszu. Najpiękniejszym pomnikiem usiłowań jego w tym kierunku pozostanie dwuaktowy fragment dramatu „Złota czaszka.“ W utworze tym, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiéj wywołuje Słowacki całe przeszłe życie narodu, oblekа je w ciało, oświetla promieniami gorącéj miłości, każe mu działać, czuć i myśléć. Dosadnemi barwy maluje nam całą polską społeczność w XVII stuleciu,

rubaszną a poczciwą szlachtę, biedną a serdeczną szkolną hołotę, mieszczan, żydów, żołnierzy, słowem, kreśli okres różnobarwny pełen prawdy życiowéj i werwy. W żadnym utworze nie połączył Słowacki tak szczelnie idealizmu z realizmem. Czytając „Złotą czaszkę“, trzeba płakać z uśmiechniętemi usty i śmiać się mając pełne łez oczy. Niepowetowana dla literatury szkoda, że Słowacki sam nie dosyć pracował w tym kierunku i że znalazł następców, którzy umieli naśladować tylko jego wady, a nie potrafili wziąć po nim w spuściźnie tego, co piękne i wielkie...

Działalność Józefa Korzeniowskiego była zarówno wielką na niwie powieściopisarstwa, jak i dramatu. Pisał dramaty i komedye, a wszystko co wyszło z pod jego pióra odznacza się werwą i wybornèm scenicznèm obrobieniem. W komedyach jego występują bardzo dobrze scharakteryzowane swojskie postaci ze wszystkiemi przywarami i zaletami, w dramatach okazuje polot potężny, siłę i twórczość. Najlepszym dowodem wartości jego dzieł jest to, że większa ich część utrzymuje się dotychczas w repertoarach wszystkich naszych teatrów. Ze względu na oryginalną cechę narodową (a oto nam głównie idzie) postawilibyśmy z jego prac dramatycznych najwyżéj śliczny dramat ludowy p. t. „Karpaccy górale.“ Co Bogusławski uczynił dla ludu w komedyi, tego dokonał Korzeniowski z jak najpiękniejszym sukcesem w dramacie. Postaci w tym dramacie, jakkolwiek nieco za idealnie przedstawione, są prawdziwe i szczere. Pod względem formy należy „Karpackich górali“ postawić także na czele dramatów Korzeniowskiego.

Jan Nepomucen Kamiński zasłużył się ogromnie około sceny polskiéj jako niezmordowany dyrektor teatru lwowskiego, tłómacz i autor wielu dzieł scenicznych. Jemu to ma stolica Galicyi do zawdzięczenia świetność swojéj sceny, którą do niedawnego jeszcze czasu jaśniała. Jako pisarz dramatyczny zasługuje on na umieszczenie w szczupłym naszym Panteonie dramaturgów, za drugą część „Krakowiaków i Gorali,“ w któréj zupełnie dorównał dziełu Bogusławskiego, a nawet je poniekąd przewyższył. Bogusławskiemu zawsze należy się pomysł i inicyatywa, ale Kamińskiemu przyznać należy wiersz lepszy i układ sceniczny. Inne liczne prace dramatyczne Kamińskiego, fabrykowane dla chwilowéj potrzeby teatru, oddawna już zalegają zapylone półki bibiotek teatralnych.

Nikt nie będzie utrzymywać, aby Fredro był równy Słowackiemu geniuszem, a jednak zdziałał on więcéj dla narodowéj komedyi niż Słowacki dla dramatu. Słowacki okazał, że może stworzyć dramat narodowy i pozostawił tylko szczątki utworu, który zasługiwał na to miano, Fredro uczynił więcéj, on dał nam narodową komedyą,

dał nam „Zemstę.“ Żeby Fredro tylko tę jednę komedyą napisał, byłby już pierwszym naszym pisarzem dramatycznym. Francuzi szczycą się ojcem nowoczesnego komedyopisarstwa, Molierem; my z równą słusznością szczycić się możemy Fredrą. W „Ślubach Panieńskich“ dał on nam jednę z najcelniejszych nowoczesnych komedyj psychologicznych, w „Zemście“ odworzył z głębokim artyzmem i historyczną intuicyą wybitne rysy naszéj przesłości. Typowe postaci Cześnika i Rejenta reprezentują wybornie całą naszą szlachtę z przedrozbiorowéj epoki: portrety te uderzają podobieństwem i śmiałością konturów, zarówno jak drobiazgowém wykończeniem akcesoryj. Każdy rys w nich sympatyczny i prawdziwy. Inne figury w „Zemście“, jakkolwiek bledsze, odznaczają się temi samemi zaletami, a stosuje się to nawet do najpodrzędniejszych postaci. Pod względem układu, intrygi i wypływających z niéj sytuacyj komicznych, zręcznego i wybornym wierszem napisanego dyalogu, „Zemsta“ zająć może jedno z miejsc najzaszczytniejszych w każdéj literaturze. Jedném słowem, komedya ta jest arcydziełem i to narodowém. W innych sztukach postawił się Fredro na ogólno-ludzkim, kosmopolitycznym terenie, na którym się Molier obraca; głębiéj pomyślane figury narodowe spotykamy jeszcze tylko w dwóch jego komedyach: w „Panu Jowialskim“ a poniekąd w „Damach i huzarach.“ Różnica jednak jaka zachodzi między „Zemstą“ a dwoma temi sztukami jest taką, jak między dziejami sumiennie opracowanemi, a anegdotką historyczną, lub między obrazem historycznym, a szkicem przedstawiającym nieznaczny epizod z przeszłości. W obu tych sztukach są niektóre zręcznie i prawdziwie schwycone rysy—w „Zemście“ jest całość posągowa odlana z jednego, szlachetnego kruszcu. Tyle o Fredrze.

W szeregu nielicznych olbrzymów talentu na polu poezyi dramatycznéj z epoki Mickiewiczowskiéj postawiliśmy na końcu Dominika Magnuszewskiego. Nie z przypadku przeznaczyliśmy mu to miejsce: Magnuszewski okazał jeno, czém mógł stać się dla naszéj dramaturgii, ale skon przedwczesny nie dozwolił zająć mu należnego stanowiska. Jego „Barbara, wdowa po Gasztołdzie,“ niedokończony „Rozbójnik salonowy,“ szczątek dramatu p. t. „Inkwizycya święta“ świadczą o pierwszorzędnym talencie. Polot myśli i siła dramatyczna łączą się w nim miejscami z głęboką refleksyą, a te zalety razem złączone tworzą pisarza dramatycznego. Przeszłość znał, a co więcéj czuł głęboko, charaktery badał z przenikliwością psychologa, a delikatne poczucie artystyczne sprawiało, że nadawał swym utworom piękną i harmonijną formę. Oprócz tego odznacza on się oryginalnym kolorytem, cechującym wszystkich mistrzów, a którego tajemni-

cę posiadają tylko wielcy malarze i wielcy poeci. Jak każdy pisarz początkujący, tak i Magnuszewski posiada liczne wady: zanadto czasem goni za efektem, zanadto lubuje się w jaskrawych kontrastach, często u niego sytuacya przesadną itd. Wady te jednak świadczą tylko o nadmiarze siły, nieujętéj jeszcze w szranki. Sztuki Magnuszewskiego, oprócz dwóch komedyjek, które napisał jeszcze na uniwersytecie, rzadko kiedy grywano. W ostatnich latach przedstawiono na lwowskiéj scenie jego „Rozbójnika" z najfatalniejszém dokończeniem przez jakiegoś nieznanego autora. Magnuszewski pozostawił w rękopiśmie dwie ukończone tragedye p. t. „Radziejowski" i „Władysław Biały," które mają być najlepsze ze wszystkiego, co napisał. Utworów tych nie głoszono dotychczas drukiem. (P. Wł. Zawadzki, księgarz lwowski, ogłosił zeszłego roku kompletne wydanie dzieł D. Magnuszewskiego o dwóch tomach; tom pierwszy zawierający poezye liryczne i „Niewiastę polską w trzech wiekach" wyszedł na widok publiczny, ale prawdopodobnie tom drugi, w którym właśnie miały być pomieszczone wspomniane wyżéj tragedye, nie ujrzy światła dziennego, albowiem nakładca ogłosił upadłość.)

Z pomiędzy pisarzy dramatycznych, którzy wystąpili w ostatniém dwudziestopięcioleciu, największy talent zdradzał zawcześnie dla literatury zgasły Mieczysław Romanowski. Jego tragedya „Popiel i Piast", w którćj maluje dosadnemi barwy antagonizm między słowiańskim pierwiastkiem a germanizmem w przedchrześciańskich czasach, pod względem polotu i siły dramatycznéj zajmuje jedno z miejsc wybitniejszych w naszéj literaturze. Na scenie przedstawiano kilkakrotnie tę sztukę z istotném powodzeniem.

Po wypadkach 1863 roku nastąpiło w literaturze dramatycznéj kilkuletnie milczenie, które przerwane zostało wystąpieniem kilku współcześnie na deskach teatralnych panujących pisarzy. Minęlibyśmy się z naszém zadaniem, gdybyśmy szczegółowo oceniali każdego z nich; ograniczymy się tylko na kilku zdaniach. Nasamprzód winniśmy skonstatować, że nie mamy między nimi ani jednego dramato—lub tragedyopisa, którego talent wyrastałby po nad mierność. Utalentowany nasz poeta Asnyk (E... ły), który uczuciem i piękną formą zajął pierwsze między tegoczesnymi poetami stanowisko w liryce, stworzył kilka dramatów, z których żaden nie mógł się przez czas dłuższy utrzymać na scenie. Liryzm przeważa w tych jego utworach i jest zupełnie uzasadnioną wątpliwość, czy w ogóle kiedy napisze dramat większéj wartości. Wątpliwość ta musi przejąć nawet optymistę, jeżeli się zważy, że dramatyczny jego talent przedstawia nie postęp, ale przeciwnie dekadencią, że utwory, które napisał po dra-

macie „Cola Rienzi,“ są coraz słabsze, coraz mniéj mają siły dramatycznéj. Drugim z współczesnych dramatopisów jest Józef Szujski, autor kilkunastu dramatów osnutych na dziejach narodu. Jako pisarz dramatyczny stoi Szujski bezsprzecznie wyżéj od Asnyka: koloryt dziejowy zachowuje wiernie, postaci jego są wyraziste i jasno określone, w tajniki scenicznéj techniki wniknął głęboko i umié za pomocą napozór słabych środków wywoływać wielkie efekta; brak mu jednak najgłówniejszego warunku: Szujski jest za wiele historykiem i statystą, a za mało poetą. To też wszystkie jego dramaty cechuje jakaś sztywność, figury jego choć wybornie trafione mało mają krwi, mało życia... Wady to zabójcze dla utworu poetycznego. Tak samo jak dramaty Asnyka i Szujskiego nie przemówiły do serca publiczności i mimo pochlebnych i pobłażliwych krytyk zniknęły z repertoaru.

Daleko lepiéj niż z dramatem ma się rzecz z komedyą. Na tém polu szczególnie w ostatnich czasach rozwinęliśmy daleko większą działalność i możemy wykazać kilku wprawdzie nie genialnych, ale w każdym razie mniéj lub więcéj utalentowanych pisarzy. Bałucki, Bliziński, Fredro (syn), Koziebrodzki, Lubowski, Narzymski, Sarnecki, Sewer, Zalewski i inni tworzą grono wcale poważne. Z tych wszystkich, najbardziéj utalentowanego śmierć, niestety, wydarła. Narzymski, którego „Pozytywnych“ mogą nam zazdrościć inne literatury, skończył przedwcześnie tak świetnie rozpoczętą karyerę. Z pozostałych najwięcéj komedyopisarskiego talentu widzimy w Józefie Blizińskim. Jest on duchowym spadkobiercą starego Fredry: postaci jego są nasze, odwzorowane z życiem i siłą. Fredro nieporównanie odtworzył staroszlacheckie figury, Bliziński prawie równie dobrze maluje tegoczesną naszą szlachtę. „Marcowy kawaler,“ „Przezorna mama,“ „Pan Damazy“ zyskały ogólne prawo obywatelstwa na wszystkich polskich scenach. Oprócz Blizińskiego mamy jeszcze kilku pisarzy, którzy komedyą traktują serjo, ale w zupełnie odmiennym kierunku. Po większéj części płody ich, to mniéj lub więcéj udane naśladownictwa nowoczesnych komedyj francuskich, pociągnięte kosmopolitycznym pokostem. Terenem takich komedyj jest wykwintny salon, zaletami zręczny dyalog i wyszukane sytuacye: postaci natomiast u nich tak jak w ogóle w salonach są stereotypowe ani zanadto poważne, nie zanadto śmieszne, poruszające się zawsze wedle pewnéj formy. W ogóle tak jak francuskie komedye salonowe, tak i nasze zaczynają być jak dwie krople wody jedna do drugiéj podobne i nie może być inaczéj: salon zaciéra piętna indywidualne, zaciéra charakterystyczne cechy i tworzy ludzi zbliżonych do siebie pojęciami, manierami, a nawet charakterem i powierzchownością.

Do téj kwestyi powrócimy jeszcze późniéj. W komedyi płaskiéj, zwanéj z francuska farsą, króluje Fredro (syn) i Koziebrodzki. „Consilium facultatis,“ „Piosnka wujaszka,“ „Posażna jedynaczka,“ „Wielkie bractwo“ itd. pod względem szczerego humoru i werwy scenicznéj mogą rywalizować z francuskimi autorami tego pokroju, a bezsprzecznie przewyższają niemieckie kasperlady. Koziebrodzki próbował sił swoich na polu poważnéj komedyi, ale niebardzo fortunnie, natomiast farsy udają mu się wybornie. Nie naszém zadaniem rostrząsać dokładnie działalność wszystkich wymienionych współczesnych autorów, co byłoby rzeczą tém trudniejszą, a po części niewłaściwą, że talenty ich są jeszcze w ciągłym rozwoju. Na tém kończymy historyczny przegląd naszéj działalności na polu poezyi dramatycznéj.

Zreasumowawszy to wszystko przyjdziemy do wniosku, który *a priori* postawiliśmy na czele niniejszéj rozprawki, że działalność nasza na polu literatury dramatycznéj jest nader szczupłą. Do XIX stulecia posiadamy tylko mniéj lub więcéj udane próby i nieco materyału do narodowego dramatu, nagromadzonego w dyalogach; wiek XIX obdarzył nas kilku pierwszorzędnemi talentami, które po większéj części zmarniały, nie dokonawszy tego, czego się po nich spodziéwano, dopiéro w ostatnich czasach zaczyna rozwijać się u nas komedya na wielką skalę. Zaiste wszystko to razem wzięte nie przedstawia imponującego widoku i trzebaby więcéj niż skromnym być w wymaganiach, żeby czuć się zadowolonym z ogólnego stanu naszéj poezyi dramatycznéj. Nie idzie nam jednak o gołosłowne skonstatowanie faktu, tém mniéj lubujemy się w czczych narzekaniach: zadaniem naszém wykazać przyczyny złego stanu i wskazać środki zaradcze.

Pomówmy najprzód o niepowetowanéj przeszłości. Jak w ogóle przyczyn wszelkiéj dodatniéj i ujemnéj działalności narodu, tak i przyczyny nadzwyczaj słabego rozwoju naszego dramatu szukać należy nie w powierzchownych, zewnętrznych okolicznościach, ale na dnie samego ducha i charakteru narodowego, a wtedy wszystko będzie dla nas jasne i naturalne. Główną cechą naszego narodowego charakteru był czyn. Cała nasza historya, aż do Sasów, jest jednym pasmem niezmordowanéj działalności na polu walki i w polityce. Szlachta, która stanowiła naród, była ciągle zatrudnioną sprawami publicznemi: z elekcyi ruszała do obozu, z obozu na sejmiki, z sejmików znowu na wyprawę wojenną, a powróciwszy znowu sejmikowała i tak szło jednym ciągiem. Jest rzeczą naturalną i zupełnie psychologicznie wytłómaczoną, że ludzie czynu nie lubią i nie rozumieją czynu udanego: każdy się uważał za bohatéra; bohatér, udający

w teatralnym kostiumie, był dla nich niesmacznym i śmiesznym. Ciągłe wojny i częste klęski, które na kraj spadały, zahartowały serca i uczyniły dla nich sztukę niezrozumiałą. Szlachcic każdy sam wypisywał krwawe dramaty krzywą szablą na łbach tureckich i szwedzkich, ronił gorzkie łzy nad stratą druha poległego przy swym boku, nad spaloną przez wroga chatą, nad rodziną w jasyr przez pohańców pognaną, a wczasie pokoju był przedmiotem intryg różnych partyj: jakim sposobem człowiek taki mógł zasmakować w słabém naśladownictwie tych czynów, których sam był niemal codziennie aktorem? To też zupełnie nie ma się czemu dziwić, że sto razy wolał pojechać na łowy, lub po trudach zabawić się kielichem z przyjacioły, niż przypatrywać się widowiskom teatralnym. Żeby dać czytelnikom wyobrażenie, jak bracia szlachta zapatrywała się na widowiska teatralne, dosyć przytoczyć ustęp z „Pamiętników“ IMCJ Pana Jana Chryzostoma Paska, człowieka jak na swój czas wcale rozumnego, reprezentującego wykształceńszą połowę szlachty z XVII stulecia. Oto co pisze pod datą 1664 roku:... „Pozwolono na teatrze publicznym w Warszawie tryumf czynić z otrzymanéj nad cesarzem (niemieckim) wiktoryey. Kiedy indukowano osoby na teatr, muzyki i ognie do tryumfu, zeszło się ludzi kupa i na koniach pozjeżdżało się na owo tak cudowne widowisko; jedni z Warszawy wyjeżdżają, drudzy przyjeżdżają: kto obaczył, to się też zatrzymał na owo dziwowisko, choć mu pilno było. I ja też tam byłem, bom wyjeżdżał z Warszawy, i wyjechawszy z gospody stanąłem też już tak i z czeladzią na koniach na owe patrząc dziwy. Stali tedy, koło tego widoku ludzie różnego gatunku i różnéj fantazyi. Kiedy już insze odprawiły się indukcye, jako się potykali, jako się piechoty zwierały, jak komunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako brano więźniów niemieckich, szyje ucinano, jako do fortecy szturmowano, one odbierano, z goła z wielkim kosztem i magnificencyą te rzeczy odprawowały się. Skoro już jakoby po zniesieniu wojsk i położeniu na placu nieprzyjaciela prowadzą w łańcuchach cesarza w ubiorze cesarskim, koronę cesarską już nie na głowie mającego, ale w rękach niosącego, i w ręce królowi francuskiemu onę oddającego. Wiedzieliż tedy, że to był francuz znaczny, który osobę cesarską reprezentował w łańcuchu idącą, i umiał potrafiać postać jego i wargę tak też jako cesarz wywracał; począł jeden z Polaków konnych wołać na Francuzów: „zabijcie tego a takiego syna kiedyście już porwali, nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką rozlewał, a tak nie będzie nigdy miał świat pokoju; skoro zaś zabijecie, król IMść francuski posiędzie rzeszę, będzie cesarzem, będzie da Pan Bóg i naszym królem pol-

skim, w ostatku, jeżeli wy go nie zabijecie, ja go zabiję. Porwie się do łuku, nałożywszy strzałę, jak wytnie pana cesarza w bok, aż drugim bokiem żelezce wyszło, i zabił. Drudzy polacy do łuków; kiedy wezmą szyć w ową kupę, naszpikowano francuzów, samego co siedział w osobie króla postrzelono, naostatek z majestatu spadł pod teatr, i z inszemi francuzami uciekł.“ Królowa Ludwika wysłała wprawdzie pogoń na wszystkie strony, był z téj okazyi „huczek“ niemały, jak zwykł był mawiać pan Jan Chryzostom, jego samego nawet wypytywano o tę sprawę u pana Okunia, ale koniec końcem wszystko wkrótce ucichło, a biedne Francuziska przypłaciły śmiercią lub kalectwem chęć odegrywania przed Polakami roli bohatérów.

Może nas spotkać rzekomo słuszny zarzut, że izolowany fakt bierzemy za podstawę naszych wywodów. Nie! wypadek opisany przez Paska krystalizuje w sobie zapatrywania całéj ówczesnéj szlachty na dramatyczne reprezentacye i potwierdza w zupełności wyrzeczone powyżéj zdanie, że polska szlachta, któréj całe życie było jednym pasmem czynów, nie mogła rozumiéć czynu udanego, czyli dramatu, a nie rozumiejąc nie mogła smakować w tego rodzaju widowiskach. Stosuje się to szczególnie do dramatu, który początkowo wszędzie snuty był na życiach bohatérskich. Inna rzecz z komedyą.

Każdy, kto zna wojskowych i miał sposobność obcować z nimi, mógł się przekonać, że nie są zbyt wybredni w wyborze rozrywek, ale bawić się lubią ochoczo i chwytają każdą sposobność, aby się naśmiać do woli. Jest to psychologicznym wynikiem ustawicznéj mozolnéj pracy i ciągłych niebezpieczeństw, na które stan wojskowy swych adeptów naraża. Wesołość i *dolce farniente* są reagensami dla ciągłego natężenia umysłowego i fizycznego. Dla tego téż wojskowi łakną widowisk wesołych: na dramatach i tragedyach przeważnie ziewają, natomiast przepadają za lekką komedyą, wodewilem i operetką. Ręczę, że mało jest takich oficerów w któréjkolwiek armii, którzyby znali klasyczne dramaty swego narodu, natomiast niewielu znalazłbyś takich, dla których byłyby obcemi wątpliwéj wartości arcydzieła pp. Meilhaca i Halévy'ego.

To, cośmy powiedzieli o zamiłowaniu stanu wojskowego do sztuk krotofilnych, da się zastosować do całego polskiego narodu w wieku XVI i XVII, cały bowiem naród był jednym wielkim związkiem rycerskim. Zatrudnienie i sposób życia wywiera niezatarte piętno na charakterach: tak jak człowieka przedhistorycznego wyobrażamy sobie, porównywając mieszkańca Oceanii z wykształconym Europejczykiem, tak samo chcąc mieć wyobrażenie o naszéj staréj

szlachcie, trzeba uciec się do analogii ze stanem wojskowym. Historya okazuje, że analogie takie prawie nigdy nie zawodzą. Należy więc przyjąć zasadę, że starożytna nasza szlachta lubiła tak samo, jak teraźniejsi wojskowi, przedstawienia krotofilne, o tyle, o ile nie mogła znaléść smaku w poważnych dramatach. Dla czegóż więc u nas nie rozwinęła się komedya? Przyczyny tego należy szukać nie w usposobieniu narodu, ale w stosunkach społeczno-politycznych. Szlachta stanowiła naród, wieśniak, jak wszędzie wówczas w Europie, był tylko inwentarzem o ludzkich kształtach, czémś pośredniém między zwierzęciem a człowiekiem, a nieliczni mieszczanie, przeważnie cudzoziemskiego pochodzenia byli tylko pośrednikami w handlu między szlachecką Polską i zagranicą, nie stanowili części narodu tylko jakiś niezbędny przyczepek, jakąś narośl, żywiącą się sokami narodu, mającą jednak nadzwyczaj mało ze rdzeniem wspólnego. Komedya, która szczególnie w dawnych czasach miała za zadanie wyśmiewać ludzkie wady i zdrożności, musiałaby u nas obracać się tylko w kole szlacheckim, musiałaby przedewszystkiém wyśmiewać i karcić wady stanu uprzywilejowanego, a w konsekwencyi, ponieważ było u nas rozwinięte do wysokiego stopnia życie konstytucyjne, musiałaby się stać tendencyjno-polityczną. Wszędzie indziéj byłoby doszło do tego, tylko nie u nas. Szlachta nasza chorowała, na słabość, która w dziedzictwie udzieliła się całemu narodowi, słabością tą jest lekkomyślna zarozumiałość. Dzisiaj ze źle zrozumianego uczucia narodowości, niektórzy uważają za swój obowiązek chwalić wszystko, co swoje bez względu na słuszność: dawna nasza szlachta przyklasnęłaby tym ichmościom, uważała bowiem wszystkie swe wady jako cnoty i niedozwoliłaby tknąć swych przywar. Jedném miejscem, z którego można było bezkarnie chłostać śmieszności i wady stanu uprzywilejowanego była ambona: szlachta, leżąc krzyżem i szlochając zapamiętale, słuchała cierpliwie wszystkich wyrzutów miotanych przez jezuitę, lub bernardyna, ale biada by była autorowi i aktorom, jeśliby poważyli się te same wady wyśmiewać na deskach teatralnych; spotkałby ich niezawodnie ten sam los, co owych francuskich aktorów, „czyniących tryumf z otrzymanéj nad cesarzem wiktoryi.“

Jednak mimo te wszystkie olbrzymie przeszkody, stojące na zawadzie rozwojowi poezyi dramatycznéj tak w formie poważnéj, jak i ucieszněj, dramat nasz byłby musiał się rozwinąć, gdyby nie jeden najważniejszy skopuł, o który wszelkie usiłowania rozbić się musiały. Sztuka tam kwitnąć tylko może, gdzie są wielkie, zamożne miasta, gdzie jest liczny i inteligentny stan średni, szukający godziwéj pracy we wszystkich kierunkach. W starożytności boska

Hellada, będąca jakby jedném wielkiém miastem, którego Ateny były ratuszem, i bogaty Rzym, w średnich wiekach Włochy, w nowych—Anglia, Francya, Niemcy posiadający olbrzymi stan mieszczański: oto kraje, w których sztuka mogła i musiała się rozwinąć. Ze wszystkich sztuk jedynie poezya liryczna i opisowa obyć się może bez miast, a nawet stroni od nich: wszystkie inne, jakoto, architektura, rzeźbiarstwo, malarstwo, muzyka, poezya dramatyczna, wymagają koniecznie miast i rozwiniętego stanu miejskiego. Niesłusznie utrzymywał Klaczko, że u nas sztuki plastyczne nie rozwinęły się z powodu położenia geograficznego i stosunków klimatycznych, czemu kłam zadał świetny rozwój naszego malarstwa w ostatnim peryodzie; nie jesienne niebo ołowiane, które w lecie błyszczy jasnym szafirem, nie ostre wichry północne, które ustępują miejsca łagodnym południowym zefirom, winny temu, ale brak miast, brak rąk do pracy, brak artystycznych targowisk, brak gmachów, które ozdabiać należało, brak muzeów do przechowywania arcydzieł, brak zachęty i wsparcia ze strony możnych panów, którzy mało dbali o przyozdabianie swych zamków i lubowali się tylko w ambitném politykowaniu, łowach i ucztach. Daleko może więcéj niż sztuki plastyczne wymaga żywiołu miejskiego teatr, będący niejako połączeniem wszystkich sztuk w jednę nierozerwaną całość. W obec lichego stanu miast naszych i cudzoziemskiego charakteru nielicznych tychże mieszkańców, nie mogło być mowy, już nie o stałym teatrze, któryby był asylum dla autorów i artystów, ale nawet o wędrownéj trupie. Gdzie nie ma teatrów, tam nie może się téż rozwinąć sztuka dramatyczna. Nie można prawie zupełnie brać w rachubę teatrzyków klasztornych, na których czasami podczas wielkiéj uroczystości grywano dyalogi, ani sporadycznych reprezentacyj teatralnych po dworach magnackich in gratiam chrzcin, zaręczyn lub zaślubin. W obec takich stosunków zaiste, dziwić się należy istnieniu nawet owych nielicznych pewnéj wartości utworów dramatycznych z przedrozbiorowéj epoki. W obecnych czasach, gdybyśmy zrównali z ziemią Warszawę, Lwów, Kraków i Poznań i rozproszyli mieszkańców tych miast, zabilibyśmy jednym zamachem sztukę dramatyczną.

Z rozwojem stanu miejskiego rozpoczął się zarazem rozwój sztuki dramatycznéj. Hasło dała stolica kraju i rezydencya królewska, Warszawa. Wkrótce Bogusławski przeniósł się z Warszawy do Lwowa i w stolicy Czerwonéj Rusi położył pierwsze podwaliny narodowego teatru, za Lwowem poszedł stary Kraków, a w ostatnich czasach postarał się Poznań o stały teatr polski. Naród rozpoczął nowe stadyum żywota. Zniknęły stany w prawném tego wyrazu zna-

czeniu, a wraz z niemi zniknęły cechy kastowe, które dawniéj za narodowe uważać należało. Specyalne szczepowe cechy zatarły się, a społeczeństwo nasze nabrało ogólnoeuropejskiego, kosmopolitycznego poloru. Mimo to jednak tkwią w każdym narodzie pewne odrębne zamiłowania i talenta. Że sztuka dramatyczna nie rozwinęła się u nas w zadowalający sposób w XIX stuleciu, nie można już tego kłaść na karb narodowego charakteru, ale przypisać należy nieszczęśliwym stosunkom politycznym. Tylko niepospolitym wysileniom jednostek pracujących z zaparciem się dla sztuki, zawdzięczyć należy to, co się zrobiło. Sztuka jak kwiat egzotyczny potrzebuje wygód, potrzebuje starannego pielęgnowania, jasnych promieni słońca i ciepłego powiewu swawolnego wietrzyku: ostre mrozy, cuchnące powietrze piwnicy, brak starania, muszą ją zniszczyć w zawiązku.

Skoro tylko stan średni doszedł do pewnéj siły, natychmiast mimo wszelkich przeszkód talent narodowy do komedyi, który tak długo leżał ukryty, wystrzelił jasnym promieniem i zamanifestował swoje istnienie. Liczny zastęp dawniejszych i tegoczesnych komedyopisarzy okazał, że Polacy, których nie bez słuszności nazwano Francuzami Północy, pod względem komedyopisarskiego talentu zajmują pierwsze miejsce po Francuzach w rodzinie ludów europejskich. To co mówimy stosuje się tylko do talentu, a nie do produkcyi literackiéj, szczególniéj pod względem liczebnym. Natomiast w dramacie mimo kilku olśniewających talentów stoimy bardzo, a bardzo nisko.....

Gdybyśmy nie posiadali wrodzonego talentu do komedyi, to wielki rozwój téj gałęzi literatury, nie bardzoby nas bolał, uznalibyśmy swoję nieudolność w tym kierunku i pocieszalibyśmy się sukcesami odniesionemi w innych gałęziach literatury: ale skoro się widzi zdolność, która marnieje, to wtedy każdy człowiek kraj swój miłujący musi uczuć najboleśniejsze wrażenie.

Powyżéj powiedzieliśmy, że nawet w najbardziéj rozwiniętéj u nas gałęzi literatury dramatycznéj, w komedyi, mało jest autorów, którzy uprawiają sztukę na gruncie swojskim. Większa część szczególnie obecnych komedyopisarzy uważa za najwyższy cel swéj literackiéj produkcyi obdarzyć publiczność sztuką, o któréjby powiedziano: jakby żywcem z francuskiego tłómaczona! Naśladownictwo Szekspira zabiło nasz dramat; nie płonną jest obawa, że naśladownictwo Dumasów, Augier'ów, Sardou'ów i t. d. nie wyjdzie na korzyść naszéj komedyi. Nasi dramatopisarze spodziewali się, że unieśmiertelnią swe utwory, modelując swych bohatérów na wzór Ryszardów, Makbetów lub Hamletów, tegocześni komedyopisarze kopiują najstaranniéj ste-

reotypowe postaci dziennikarzy-powierników, zakochanych podróżników, szorstkich a czułych amazonek, dobrodusznych notaryuszów i t. d., które prawie w każdéj nowéj komedyi francuskiéj *mutatis mutandis* jednę i te same odgrywają role. Nie mówimy tego o wszystkich tegoczesnych komedyopisarzach naszych, owszem są wyjątki i to nas pociesza. Obawiamy się, aby zdań powyższych nie zrozumiano źle, dla tego pozwolimy sobie wytłomaczyć myśl naszę.

W wieku dziewiętnastym, wieku pary i telegrafów z dniem każdym zacierają się jaskrawe cechy szczepowe, a społeczeństwa, szczególniéj wykształcone warsty, przybierają we wszystkich krajach formy bardzo do siebie zbliżone. Salon rosyjski mało się różni od salonu francuskiego, lub niemiecki od włoskiego: pewne maniery, pewne formy a nawet zapatrywania przyjęte są we wszystkich wykształconych warstwach europejskich narodów, komedya więc specyalnie salonowa musi wszędzie zachować pewne formy, jeżeli nie ma rozminąć się z rzeczywistością. Z tego jednak nie wypływa, aby nie było ogromnych, choć delikatnych różnic między wykształconymi członkami różnych narodów. Tych subtelnych różnic charakteru trudno dopatrzéć w naszych salonowych komedyach, a dar spostrzegawczy i artyzm zastępują w nich szablony.... A dla czego? Ponieważ u nas życie salonów jest jeszcze bardzo słabo rozwinięte, a dotychczas ogniskiem, w którém się koncentruje życie, jest dworek wiejski, lub skromny domek spokojnego mieszczanina. Stąd wypływa, że nowsze nasze komedye salonowe publiczność przyjmuje z zimną obojętnością, i że prędzéj mogą się one podobać zagranicą, niż u nas. Wszyscy nasi wielcy komedyopisarze przyszli do téj myśli bądź to przez rozumowanie, bądź instynktowo, dla tego téż nawet ogólnoludzkim, czysto psychologicznym komedyom przez przenoszenie miejsca działania na wieś nadawali cechę rodzimą. Dość wspomnieć „Śluby panieńskie.“ Nie przeczymy u nas racyi bytu komedyi salonowéj, zdaje nam się jednak, że przez długi czas będzie ona egzotycznym kwiatem, potrzebującym więcéj starania, niż przynosi korzyści.

Byłoby komiczném narzucać autorom dramatycznym zakres działania, którego mają przestrzegać. Sztuka nie cierpi ograniczeń; świat cały dla niéj otworem. Zdanie to jest słuszne, ale tylko dla geniuszów! Talenty mają zakreślone pewne granice, po za któremi działalność ich będzie nie wiele pożyteczną, geniusz wynajduje nowe teorye, talenty muszą postępować utartemi szlaki, o których krytyce dozwolono wyrzec zdanie. Mimo najszczerszych chęci, między naszymi pisarzami nie możemy się dopatrzéć żadnego geniuszu, choć prawdziwych talentów jest dosyć. Pozwolimy więc sobie zrobić kil-

ka skromnych uwag, które wypływają z tego, co dotychczas napisaliśmy.

I. Jeżeli ma się u nas rozwinąć dramat historyczny (czemu wcale okoliczności nie sprzyjają), trzeba stanowczo raz na zawsze zerwać z kierunkiem, którym nasz dramat historyczny dotychczas postępował, a pójść torem wskazanym przez Słowackiego w pośmiertnych fragmentach, a najdobitniéj w „Złotéj czaszce.“ Nie dosyć wziąć prawdziwy fakt historyczny, nadający się do scenicznego obrobienia, trzeba intuicyjnie pojąć ducha narodu i na podstawie starych dyalogów odtworzyć dawne postaci. Te dyalogi są nieprzebranym skarbem do charakterystyki usposobienia narodowego i obyczajów: umiejętnie tylko zeń czerpać potrzeba, a wystarczy na długo, bardzo długo..... Te same uwagi stosują się w zupełności do komedyi historycznéj, któréj dotychczas, niestety, posiadamy tylko bardzo nieliczne okazy.

II. Społeczne utwory dramatyczne powinny szczególniéj uwzględniać stosunki swojskie i wprowadzać na scenę swojskie postaci. Powiedzieliśmy powyżéj, że komedya *par exellence* salonowa jest u nas dotychczas kwiatem egzotycznym; miłym dla oka, ale bez woni. Jeszcze raz powtarzamy, że ten rodzaj komedyi za mało ma u nas gruntu, aby się mógł rozwinąć. Nie posiadając dotychczas rozwiniętego życia salonów, skazani jesteśmy na kopiowanie zagranicy i to kopiowanie po większéj części niezręczne i niedokładne. Pytamy więc, czyż nie lepiéj tłómaczeniem przyswajać tego rodzaju zagraniczne utwory, niż je naśladować? Są różne pod tym względem zapatrywania, my z naszéj strony oświadczamy, że wolimy zawsze dobre tłómaczenie, niż udane nawet naśladownictwo. W przyszłości może najpiękniéj rozwinąć się polska komedya salonowa, dotychczas jednak czas jéj nie nadszedł, a kilka prób wartościowych w tym kierunku uważamy za objawy izolowane. Komedya i dramat społeczny mają u nas bardzo wdzięczne, daleko rozleglejsze od woskowanych parkietów salonów pole działania. Specyalne cechy narodowe istnieją u nas dotychczas w większéj ilości niż na zachodzie, indywidua mają rysy charakteru ostro namarkowane, a silne kontrasty charakterów same już tworzą sytuacye. Wszystko to stosuje się zarówno do komedyi poważnéj, jak i płaskiéj, czyli t. zw. farsy. Dziwi nas niepomiernie, dla czego mimo to wszystko, okazujemy tylko działalność w jednym kierunku, w komedyi, a dramatu społecznego prawie nie posiadamy? Czyżby to wypływało z zamiłowania do reprezentacyj krotofilnych, które odziedziczyliśmy po rycerskich przodkach, czyż lubimy tylko prawdę z ostrą przyprawą satyry, a stronimy od podanéj w poważnéj formie? Być może, nawet jest tak rzeczywiście.

Przeważną naszą inklinacyą do komedyi przypisać należy istotnie po części charakterowi narodu, który został nieco zatarty, ale istnieć nie przestał, ale daleko jeszcze więcéj usposobieniu publiczności, którego wesołém nie można wcale nazwać. Społeczeństwo nasze jest ubogie, smutne i poważne: każdy w teatrze chce się bawić i zapomniéć o troskach codziennych. Czego pragnie społeczeństwo to mu daje sztuka, która jest kwiatem życzeń i pragnień ogółu. To jest powód, dla czego u nas dramat nie prosperuje, a rozwija się komedya. Mimo tych nieprzyjaznych stosunków, mamy nadzieję, że dramat społeczny potrafi zainteresować publiczność, jeżeli wyrośnie na gruncie czysto swojskim, jeżeli będzie malował rzeczywiste nasze stosunki i posiadać będzie dobrą tendencyą. Szczególnie dramat t. zw. mieszczański powinien miéć u nas powodzenie. Słówko o sztukach ludowych. Ta gałąź poezyi dramatycznéj ma u nas bardzo nielicznych reprezentantów: obecnie na tém polu pracuje tylko jeden Anczyc, który wybornemi pracami tego rodzaju zapewnił sobie świetne w literaturze stanowisko. Główną tego przyczyną jest to, że lud nasz nie jest jednolity, a w każdéj prowincyi ma odrębne cechy, które w drugiéj są niezrozumiałe, podczas gdy oświecone klasy w całym narodzie mimo pewnych cech prowincyonalnych tworzą całość jednolitą, mają wspólne myśli, usposobienia i maniery. Drugą przyczyną tych skąpych rezultatów w zakresie sztuk ludowych jest to, że dotychczas pisarze sztuk ludowych nie spostrzegli, że oprócz wieśniaków mamy tysiące ludzi miejskich, których także do ludu zaliczyć należy, jako to: wyrobników dziennych, robotników fabrycznych, małych handlarzy, przekupniów, mniejszych rzemieślników i t. d. Życie tych ludzi jest daleko różnobarwniejsze od monotonnego życia wieśniaków i nadaje się wybornie do obrobienia scenicznego, bądź w formie wodewilu, bądź to dramatu. Pole to leżące dotychczas zupełnie odłogiem powinno tém bardziéj nęcić pisarzy dramatycznych, ponieważ życie wieśniaków naszych zostało już w sztukach ludowych zanadto wyzyskane, mimo, że, jak już powiedzieliśmy, nielicznych mamy w tym kierunku pracowników. Poczciwy sołtys staréj daty, zakochany parobczak, zawsze pijany pisarz pokątny, urlopnik, łgarz, tchórz i złodziéj, a w końcu pejsaty arendarz: oto postaci, które widzimy w każdéj sztuce ludowéj, a z których wyciśnięto już wszystko, co było charakterystyczne. Obecnie pisarzom sztuk ludowych nie pozostaje nic innego, jak wziąć za przedmiot swéj pracy stosunki ludu miejskiego, a każdy nam przyzna, że przedmiot ten zarówno bogaty, jak sympatyczny. Dotychczas mówiliśmy o wewnętrznych przyczynach słabego rozwoju naszéj poezyi dramatycznéj w obecnéj chwili i podawaliśmy środki zaradcze, któ-

re specyalnie od autorów zależą. Nakoniec wypada nam zastanowić się nad warunkami czysto materyalnéj natury, od których rozwój dramatu także jest wielce zależnym. Materyalne stosunki teatrów a tém samém sztuki dramatycznéj są u nas fatalne. Posiadamy tylko cztery teatry stałe, z których trzy znajdują się w rękach przedsiębierców prywatnych. Ta szczupła liczba stałych teatrów nie może być zachęcającą pod żadnym względem, ani dla autorów dramatycznych, ani dla aktorów. We Francyi, Niemczech, Anglii, autor scenicznego utworu, który ma powodzenie, ma zapewniony świetny dochód z tantiemy, u nas przeciwnie nic tak mało nie popłaca jak sztuki dramatyczne. Artyści dramatyczni z powodu małéj ilości teatrów są skazani na łaskę i niełaskę pp. dyrektorów, których względy muszą pozyskać nie talentem, lecz pochlebstwem i poniżającemi, zakulisowemi intrygami, zniechęcają się do swego zawodu i marnieją. Teatry prowincyalne, których najwięcéj w Królestwie, nie przyczyniają się wiele do rozwoju sztuki, muszą bowiem ciągle walczyć o byt: w obec takich stosunków upada konkurencya, a brak konkurencyi, to brak postępu, brak rozwoju. Zmienienie stosunków naszych teatrów na lepsze jest kwestyą czasu. Z wzrostem miast i inteligencyi będą się polepszać materyalne stosunki teatrów, tymczasowo zaś wszystko tylko zależy na ofiarności publicznéj. Ogłaszanie jak najliczniejszych konkursów dramatycznych, moralne i materyalne wspieranie zasłużonych pracowników sceny, gorące opiekowanie się młodemi talentami, ułatwianie artystycznych przedsiębierstw: oto środki, które już wiele dla dramaturgii zdziałały, a więcéj jeszcze zdziałać są w możności.

Bolesław Czerwieński.

ZBIGNIEW OSSOLIŃSKI,

WOJEWODA SANDOMIERSKI † 1623. (1)

Jan Zbigniew Ossoliński urodził się dnia 3 Września r. 1555 z ojca Hieronima, kasztelana najprzód sandeckiego (1568), potém wojnickiego (1569) a nareszcie sandomierskiego (1569—1576) i z matki Katarzyny Zborowskiéj, córki Marcina kasztelana krakowskiego (1561—65) a siostry Samuela. Do szkół uczęszczał w Strasburgu i Heidelbergu (1570—1572); potém roku 1573 bawił w Paryżu a roku następnego udał się na Lugdun i przez Alpy do Włoch północnych, gdzie w akademii padewskiéj i w Wenecyi studya swe kończył. Po śmierci ojcowskiéj roku 1576 powrócił do domu, aby odtąd szczerze służyć krajowi. Przyjąwszy służbę sekretarską u króla Stefana Batorego, dwa razy (r. 1581 i 1582) był posłem jego na sejmik lubelski i opatowski, a r. 1579 wysłał go król w interesach pieniężnych do książąt rzeszy niemieckiéj a mianowicie do księcia brandenburgskiego z Anspachu. Powierzoną sobie sprawę dobrze, jak nam powiada, załatwił. W wyprawach wojennych króla bohatéra czynny miał udział; z własnym pocztem walczył r. 1579 pod Połockiem, r. 1580 pod Wielkimi Łukami i Zawołczem a r. 1581 pod Pskowem.

Po śmierci gwałtownéj Samuela Zborowskiego wuja swego, opuścił Zbigniew dwór królewski, aby mieszkając na wsi, pełnić obowiązki obywatelskie. Obywatelstwo, ceniąc jego zasługi i zdolności,

---

(1) Rzecz czytana na posiedzeniu publiczném zakładu imienia Ossolińskich d. 12 Października r. 1878.

obrało go r. 1585 na sejmiku opatowskim posłem na sejm, a odtąd do roku 1603 jedenaście razy posłował. Zasługi jego i roztropność zjednały mu zaufanie posłów sejmowych, którzy go r. 1601 w Warszawie obrali marszałkiem. Zasiadał równocześnie także na sejmikach deputackich, oraz na sądach trybunalskich w Piotrkowie, gdzie dwa razy roku 1601 i 1603 marszałkował. Powaga, jakiéj Zbigniew wśród obywatelstwa krajowego zażywał, zwróciła na niego uwagę króla Zygmunta III, który, obdarzywszy go jurgieltami i roku 1593 zamianowawszy go podkomorzym sandomierskim, roku 1603 powierzył mu kasztelanią żarnowską i w poczcie senatorów koronnych umieścił. Już roku 1605 postąpił na województwo podlaskie, a r. 1613 na województwo sandomierskie, którą godność sumiennie i uczciwie piastował do śmierci.

Wziętość i wywyższenie owe zawdzięcza Zbigniew niezawodnie swym zdolnościom, ale przeczyć z drugiéj strony nie można, że stanowisko jego rodu i stosunki familijne wiele mu w tém dopomagały. Krewny Tęczyńskich, Jana Zamoyskiego kanclerza wielkiego koronnego, Sienieńskich, Firlejów, Kryskich a przez matkę krewny Ostrorogów, Gostyńskich, Stadnickich, Tarnowskich i Chodkiewiczów, w przyjaźni z innemi domami, jak książąt Wiśniowieckich i Radziwiłłów zawsze znajdował poparcie silne bez względu na chwilowe stosunki polityczne. Związki te familijne ważny wywarły wpływ na jego życie i decydowały też nieraz o jego kierunku politycznym. Zamłodu służył ochoczo Batoremu i Zamoyskiemu, ale śmierć haniebna Samuela Zborowskiego z ręki kata odrazu zmieniła jego stosunki do dworu i kanclerza wielkiego koronnego i przerzuciła go do obozu opozycyjnego.

Pokazało to się zaraz r. 1585 na sejmie tak zwanym Zborowskim, gdzie stanął w obronie Zborowskich jako otwarty i zdecydowany przeciwnik króla i Jana Zamoyskiego. Mowa, którą wtenczas Zbigniew miał jako poseł, tak oburzyła króla, iż z szablą w ręku na niego się porwał; ledwie starsi go powstrzymali. Ale gniew króla nie tak łatwo się ukoił, w nocy mieli hajducy królewscy porwać go z gospody: nie przyszło jednak do tego, bo strzegła Zbigniewa straż pana wojewody poznańskiego Górki i wielu posłów u niego dla obrony w onéj nocy spało.

Po śmierci Batorego sprzeciwiając się elekcyi Zygmunta III, głosował za Maksymilianem, arcyksięciem austryjackim i razem ze zwolennikami Zborowskich udał się do Wiślicy, gdzie czekając przybycia Maksymiliana zajęli obronne stanowisko. Zanim jednak przyszło do wypadków stanowczych, Zbigniew widząc nieład i niezgodę w obozie Zborowskich, odstąpił ich i udał się do domu. Krok

ten ostróżny pozwolił mu utrzymać nadal stosunki serdeczne z domem rakuskim i nie odstręczył od niego króla Zygmunta, którego roku 1594 w Częstochowie, w imieniu braci szlachty powiatu opatowskiego powitał; wdzięcznie przyjął to król, który dotychczas tamtejszą szlachtę miał w podejrzeniu.

Ważniejsza rola polityczna przypadła mu, gdy zostawszy senatorem, zasiadł w radzie koronnéj. Widzieliśmy już przedtém, że Zbigniew był pierwotnie zwolennikiem Maksymiliana. Gdy zaś Zygmunt rzeczywistym został królem Polski, Zbiegniew z nowym stanem rzeczy o tyle się pogodził, że szanując w Zygmuncie pomazańca bożego i majestat królewski zawsze był gotów poświęcić usługi swe królowi i ojczyźnie. Okazał to dowodnie na sejmie inkwizycyjnym r. 1603; gdy Jan Zamoyski i jego zwolennicy z licznemi zarzutami wtenczas na króla powstali, jeden niemal Zbigniew odważył się wystąpić w obronie króla, wskazując na to, że prywata kieruje oskarzycielami króla a nie wzgląd na dobro publiczne.

Gdy roku 1606 Zebrzydowski wojewoda krakowski podniósł rokosz, Zbigniew przez króla powołany do Warszawy, podczas całéj wyprawy przeciw rokoszanom nie odstąpił króla a pod Janowcem swym wpływem i pośrednictwem zapobiegł krwawemu starciu. I w następnym roku towarzysząc królowi pod Warkę starał się, aby nie do rozlewu krwi, lecz owszem przyszło do zgody. Ale gdy po ustąpieniu rokoszan Zygmunt za nimi poszedł, „ja,“ pisze on, „widząc, do czego już się stąd zaniosło, nie chciałem być w radzie *sanguinis et belli civilis*, z któréj winy *et victor et victus* król miał Rzeczpospolitéj naszéj niebezpieczeństwo uczynić; przeto wróciłem się do domu, będąc zgromiony o moje *pacata consilia*.“

Gdy po bitwie guzowskiéj, w roku następnym złożony był sejm konwokacyjny, radził Zbigniew królowi, „aby nie ex natura victoriae komponowały się rzeczy Rzeczypospolitéj, ale wykonywaniem tych rzeczy i dosyćuczynieniem, dla których się ludzi byli wzruszyli a także najpewniejsze uspokojenie rozumiałem,“ powiada on daléj, „gdzie *violenta non sunt tuta* a wolnéj Rzeczypospolitéj *valde periculosa*, przeto nie byłem bardzo *acceptus* a tem więcéj, żem téj swojéj sentencyi bardzo popierał, niedbając na to, że mi tego pomagać drudzy nie chcieli.“

Ważniejsze i skuteczniejsze usługi oddał ojczyźnie w latach 1612 i 1613, gdy skonfederowane dla zaległego żołdu wojsko, z Moskwy powracając, królewszczyzny i dobra duchownych i szlachty niszczyło. W jesieni roku 1612 wywołany przez króla do tak zwanych Sapieżyńców w Brześciu, ujął ich pewnemi kondycyami. Rów-

nież szczęśliwie powiodły mu się pertraktacye w Łomży w Lutym r. 1613, bo odtargował od Sapieżyńców 1/4 część pretendowanych pieniędzy; postawili mu jednak ten warunek, aby bez pieniędzy i bez zapewnienia bezkarności ze strony sejmu już nie powracał.

Rozkaz królewski i uchwała sejmowa powołały go niedługo potém do usług z wielkim kosztem połączonych, do nowych układów z konfederatami. Ponieważ wieści chodziły, że konfederaci obozem ruszyć chcieli ku Warszawie, najprostszą drogą lasami i puszczami i bez pieniędzy spieszył Zbigniew do nich.

15 Czerwca stanął w Brześciu, jego wymowie i namowie powiodło się powstrzymać ich pochód na dni dwanaście. Starając się tymczasem o potrzebne do wypłaty pieniądze, własnym kosztem gościć musiał konfederatów, aż nareszcie dnia 31 Października wszystko im według zmodyfikowanych traktatów zapłaciwszy, akt związku konfederacyjnego spalił i wszystkich do rozejścia się nakłonił.

Nadgrodą tych zasług było województwo sandomierskie.

Gdy krótko potém nowe ambarasy powstały z konfederatami, zwanymi Smoleńcami, i sejm dwie komisye wyznaczył do Lwowa i Bydgoszczy, Zbigniew przeznaczony do lwowskiéj komisyi, wymówił się od niéj brakiem funduszów (1614).

Objąwszy województwo sandomierskie, zaprowadził na nowo zaniedbane od lat kilkudziesiąt *okazowanie* województwa t. z. musztry pospolitego ruszenia. Z jego téż inicyatywy wysłała szlachta deputacyą do króla, prosząc o sejm, na którym stateczna o wiecznéj obronie, tak potrzebnéj w owych czasach, namowa i uchwała mogła być postanowiona. Lecz król to niewdzięcznie przyjął; a jednak była to myśl wielce zbawienna. Patryoci owocześni, widząc kraj w niemocy w obec groźnych nieprzyjaciół zewnętrznych i rozszarpany konfederacyami zaciężnego żołnierza, chcieli przywrócić i udoskonalić pospolite ruszenie, jako jedyną w ówczesnym stanie rzeczy możebną obronę kraju, zwłaszcza, że król i rada jego, zaniedbując pospolite ruszenie, nic lepszego na jego miejscu nie postawili. Myśl tę poruszono w wielu województwach na nowo r. 1618 w obec grozy napadów tatarskich i wojny tureckiéj, ale rada królewska nie chciała z niéj korzystać. Gdyby umiano, lub chciano zużytkować patryotyzm szlachty, pola cecorskie nie świadczyłyby dziś zapewne o klęsce dotkliwéj Polaków. Nauczony dopiéro tą klęską król powołał pospolite ruszenie pode Lwów, sędziwy wówczas Zbigniew stanął na czele województwa sandomierskiego, ale klęskę raz poniesioną i zgubne jéj następstwa już trudno było powetować.

Obowiązki wojewody pełnił Zbigniew z wielką sumiennością; pomimo sędziwego wieku widzimy go w ciągłym ruchu; na sejmach,

o ile mógł, bywał. W komisyach, do których był powołany, żywy brał udział i zdanie swe wypowiadał otwarcie bez względu na osoby, jak np. w komisyi r. 1617 wyznaczonéj dla naprawy monety. Podczas gdy inni komisarze bawili się wykazywaniem różnicy między dobrą a złą monetą, Zbigniew śmiało powstał i wykazał z godną otwartością, że król nieprawném postępowaniem swém sam jeden był przyczyną pogorszenia monety, co tak dalece, powiada Zbigniew, dworskich obraziło, że seryą opuściwszy, już nigdy z nim razem nie chcieli zasiadać.

Z tego, cośmy tutaj przytoczyli, widzimy, że Zbigniew często należał do opozycyi, ale opozycya jego miała szlachetne pobudki; że mu chodziło o dobro kraju a nie o antypatye, lub osobiste widoki i zyski; nie będąc dworakiem, jak wielu innych, nie był także malkontentem dla saméj tylko opozycyi. Czysty to był charakter i człowiek rozsądnie i praktycznie patrzący na świat i ludzi. Trzymając się ściśle praw krajowych, żądał poszanowania ich także ze strony króla i partyi dworskiéj. Dobrze wiedział, co złe i gdzie jego źródło, i powstawał na nie śmiało, ale gdy spotykał trudności lub nie znajdował poparcia, odstępował wszystkiego i cofał się w zacisze domowe. Gdyby był więcéj posiadał energii, gdyby niezrażony żadnemi trudnościami, był podjął walkę z partyą dworską, u któréj była, jak się wyraża „*Respublica post nummos*,“ może byłby zajął stanowisko dominujące u dworu i byłby kierował inaczéj nawą państwa, zwłaszcza że, pomimo opozycyi i ostrych słów, dotykających nieraz osobiście króla samego, Zygmunt III często mu dawał dowody wysokiego szacunku i zaufania. Roku 1612 naprzykład zaprosił go król na chrzciny syna swego, Jana Olbrachta, a gdy wyjechać musiał do Wilna, kazał mu zostać przy choréj małżonce i potém ją odprowadzić do granicy litewskiéj. Jeszcze roku 1620 król szukał rady życzliwéj pana wojewody sandomierskiego i łaskę swoję mu okazał, biorąc osobiście z wielu senatorami udział w weselu syna jego, Jerzego.

Ale Zbigniew nie był stworzony na reformatora politycznego. Nieporadność i upór króla, łakomstwo i pochlebstwa partyi dworskiéj, prywata hetmana Żółkiewskiego, sejmy, na których zamiast spokoju i powagi panowały niesnaski, zgiełk i hałas, gdzie umęczeniem nocném trzeba było wymuszać uchwały, to wszystko zniechęciło go tak dalece że, nie umiejąc złemu zaradzić, stał się pesymistą i czarno patrzał na przyszłość narodu: „Do tego naostatek,“ powiada on, „ta mizerna Rzeczpospolita nasza przyszła, że ją same szalone fata, żadnym nie tylko dobrym, ale nijakim radom miejsca nie zo-

stawiwszy, piastują. Blisko tego pewnie, że, jako okręt ster i żagle swoje straciwszy i wiatrami popędliwymi zapędzony, o lada skałę rozbić się musi, tak i to nieszczęsne królestwo bez rady a zatém bez wszelakiego rządu, opuszczone, *insolentia et furore populi*, *senioribus interim avaritiae deditis*, upaść w rychle będzie musiało."

Sądząc w swym pamiętniku sprawy, w których osobistego udziału nie przyjmował, zawsze miał na względzie prawa krajowe, oraz dobro i korzyść kraju. Tak gani wyprawę moskiewską r. 1609 jako podjętą bez konsensu publicznego, a pomimo to życzy jéj powodzenia, karci upór króla, który wtedy dopiéro Moskwy synowi ustąpił, kiedy ją nie tylko dla siebie, ale i dla niego utracił. Gromi króla a mianowicie Żółkiewskiego, że z sukcesów książąt Michała Wiśniowieckiego i Samuela Koreckiego (1616) w Wołoszech nie korzystali, że u Porty przeciw utrwaleniu ich zwycięztwa działali, ponieważ hetman innego na tron wołoski miał kandydata (1). Nie chwali postępowania króla r. 1617 w sprawie książąt kurlandzkich; wolałby, aby przeciw nim nie postępowano według surowości praw, lecz aby im raczéj przebaczono, bo widział jasno, że wśród niebezpieczeństw zewsząd grożących, wykonanie wyroku będzie niemożebném, że państwo przez to tylko nowego wzbudzi nieprzyjaciela, gotowego na pierwsze skinienie Szweda z nim się połączyć. Nadmienić jeszcze wypada, że królewicza Władysława z serdeczną zawsze wspomina sympatyą.

Tak przedstawia się nam Zbigniew Ossoliński w życiu publiczném, według notatek jego pamiętnika, lub raczéj autobiografii (2), skromnie i bez wszelkiéj pretensyi napisanéj. Umielibyśmy lepiéj ocenić jego charakter polityczny, gdybyśmy posiadali drugie a ważniejsze jego dzieło, które zwał komentarzami. W tych komentarzach, do których czytelnika pamiętnika przy wszystkich ważniejszych sprawach po bliższą odsyła wiadomość, skreślił on głównie owę polityczną działalność.

W życiu prywatném był Zbigniew dobrym mężem, dobrym i troskliwym ojcem, dobrym, rozstropnym i oszczędnym gospodarzem.

---

(1) „Dwie tedy przyczynie miał hetman swoje, że przeszkadzał bardzo książętom: jedna, że bał się bardzo ich fortuny; druga że człowiek łakomy, pożytków swoich, które miał z Wołoch, przestrzegał bardzo i większych się spodziewał, by był zraziwszy książęta, swego Gabryela stryjecznego Mohiłów, którego przy sobie chował, na to tam państwo wsadził.

(2) Pamiętnik ten jest własnością Zakładu Ossolińskich we Lwowie, nr. 657.

Choć ojciec jego był kasztelanem, a matka z możnego domu Zborowskich pochodziła, choć fortuna Ossolińskich wówczas była niemała, to jednak ojciec, umierając, zostawił więcéj długów, jak się zdaje, niż majątku, a matka tak samo.

Gdy roku 1584 przyszło do działu majątku ojcowskiego, otrzymał Zbigniew Ossolin z zamkiem, oraz części pewne w Iłkowicach, Dziewkowie, Zakrzowie, Pęchowie, Ramultowicach i Nawodzicach. Reszta majątku przypadła na braci Mikołaja i Andrzeja. Zarazem jednak przejęli na siebie spłatę długów ojcowskich. Ciężki to był obowiązek, któremu ostatecznie sam tylko Zbigniew podołał, bo nie tylko ojcowskie i macierzyńskie długi opłacił, lecz i braci majątkowo upadłych ratować musiał. Że w nagrobku nazywają go „*patrii servator honoris*," zapewne do tych okoliczności się odnosi.

Że Zbigniew z tych kłopotów finansowych nie tylko wydźwignąć się potrafił, lecz nawet pomimo wielkich wydatków na sprawy pnbliczne (1) i wychowanie dzieci, pomimo zapisów dla kościołów i klasztorów znaczną jeszcze zostawił fortunę—bo przeszło kilkanaście majątków, to zawdzięcza on przedewszystkiém sobie.

Ale zapominać nie należy, że niemało mu téż dopomogła życzliwość przyjaciół jego książąt Ostrogskich, księcia Kardynała Radziwiłła, biskupów Maciejowskiego, Tyliskiego i Szyszkowskiego, oraz brata ciotecznego Karola Chodkiewicza, który pod bardzo korzystnemi warunkami rozległe dobra Mielec, oraz Zgórsko, dotychczas jeszcze do ordynacyi Zakładu narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie należące, mu sprzedał. Od króla otrzymał starostwa nowomiejskie i stobnickie.

Nie mniéj przyczyniły się do podniesienia fortuny domu Ossolińskich związki małżeńskie Zbigniewa.

Pierwszy raz ożenił się Zbigniew r. 1583 z Jadwigą Sienieńską, córką Jana kasztelana żarnowskiego a potém wojewody podolskiego, z którą w posesyi otrzymał majętność Bukowsko pod Sanokiem i potem Boratyn w ziemi przemyskiéj, Jadwiga powiła mu czterech synów: Jana, Hieronima, Krysztofa i Maksymiliana, oraz córkę Halszkę, którą r. 1611 wydał za mąż za pana Korniatka w Białobokach.

Roku 1594 poślubił po śmierci pierwszéj żony, Annę z Dąbrowicy Firlejównę, córkę Jana wojewody krakowskiego i marszałka wielkiego koronnego, z którą w posagu wziął 18.000 złotych. Firlejówna powiła mu również czterech synów: Jerzego, późniejszego kanclerza wielkiego koronnego, Piotra, Mikołaja i Jacka.

---

(1) Roku 1613 n. p. wystawił rotę kwarcianą i rotę arkabuzarską francuską, co go $22^1/_2$ tysięcy kosztowało.

Anna odumarła męża r. 1600, a już roku 1601 zawarł nowe śluby małżeńskie z Katarzyną z Lisowa Kosińską, wdową po dwóch mężach, Wodyńskim i Stanisławie Kryskim, wojewodzie mazowieckim, „panią tak w lata, jako i w majętność bogatą,“ (1) z którą otrzymał w dożywociu starostwa stanisławowskie i dobrzyńskie. Umarła roku 1607, a mąż postawił jéj nagrobek w Warszawie w kościele św. Jana (2).

Czwartą żonę pojął roku 1608; była nią Warszawicka, wdowa po Mikołaju Laskowskim podkomorzym nurskim, pani „z książęcéj krwi domu książąt mazowieckich idąca“, która posiadała w dożywociu dobra Tyrzyn i Buszer. Umarła roku 1620.

Jak pamiętnik jego wskazuje, szczerze kochał Zbigniew swe żony i szczęśliwie żył z niemi. Dzieci starał się dobrze wychować, kształcąc w domu, w lepszych szkołach krajowych i zagranicą. Pouczającym i charakterystycznym objawem jego sposobu myślenia jest znana już instrukcya (3), dana synowi Jerzemu, gdy tenże r. 1613 na naukę do Lowanium się wybierał. Syn nie zawiódł oczekiwania ojca.

Religijne jego przekonania mało tylko w jego pamiętniku się objawiają. Był szczerym katolikiem, a krzywdę wyrządzają mu ci, którzy twierdzą, że za młodu zarażony był naukami heretyckiemi (4). Dowodów na to nigdzie nie znaleźliśmy. Już roku 1595 wpisał się był w bractwo krakowskie świętego miłosierdzia z corocznym datkiem 12 zł. 16 groszy. Wracając z drogi, pamiętał też czasem o swym kościołku klimuntowskim, składając tam ofiary. Klasztór dominikański i kościół św. Jacka w miasteczku Klimuntowie, od fundamentów począwszy, na nowo wybudował i hojnie wyposażył. Ojców Jezuitów miał w poszanowaniu i do ich szkół synów swoich posyłał. Umarł dnia 3-go Października roku 1623, przeżywszy lat 68 i jeden miesiąc, zastawiwszy przy życiu trzech synów godnych siebie: Krzysztofa, późniejszego wojewodę sandomierskiego, Maksymiliana kasztelana czerskiego i Jerzego kanclerza wielkiego koronnego; pochowany został w grobie familijnym przy wielkim ołtarzu kościoła klimuntowskiego (5), gdzie mu taki postawiono nagrobek (6).

---

(1) Tak wyraża się o niéj Jerzy Ossoliński w swojéj autobiografii.

(2) Starowolski: Monumenta p. 263

(3) Autobiografia Jerzego Ossolińskiego (Lwów 1876) str. 20—28.

(4) Niesiecki I. VII, 154. Encyklopedya powszechna XX, p. 129.

(5) Rękopis bibl. Ossolińskich nr. 333 str. 172.

(6) Starowolski: Monumenta etc. 321—322.

Sbigneo Ossoliński palatino Sandomiriensi defuncto
anno 1623.

Moribus insignis, recti basis indole clarus,
Clarior et meritis, patrii servator honoris
Clauditus hoc humulo, qui Topor, Sbigneus Ossolin,
Prudens consilio, rummus et ingenio.
Quisquis ad hoc pulchrum venies spectare repulchrum,
Cernuus ante deum flectere propter eum.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

DZIEŃ Św. MARCINA

Dzień Św. Marcina
Wiele gęsi zarzyna.

Jużeśmy niejednokrotnie w innem miejscu i czasie wspominali, że nasze wybitniejsze święta religijne zostały przez kościół wyznaczone na te dni, w których nowonawróceni poganie przyzwyczajeni byli obchodzić swoje pogańskie uroczystości, a twierdząc tak, opieraliśmy się na zdaniu powag naukowych w dziale mitologii porównawczéj. W podobném rozlokowaniu świąt przebija się dążność kościoła do odwrócenia umysłów pogan od zabobonów przedchrześciańskich i do skupienia ich uwagi do rozpamiętywania tajemnic religii Chrystusa. Lud nie lubi abstrakcyi, a wszystko, cokolwiek działa na zmysły daleko łatwiéj trafia do jego przekonania, daleko łatwiéj przywiązuje go do siebie. Pierwsi rozkrzewiciele chrześciaństwa snadź dostrzegli to zjawisko i postanowili pomódz zapomnieć ludowi o jego pogańskich dogmatach, obierając igrzyska, zwyczaje i uciechy świąteczno-pogańskie z ich religijnego znaczenia, a podstawiając w podobnych uroczystościach w miejsce żywiołu pogańskiego, żywioł chrześciański, czyli czyniąc uciechy i obrzędy świąteczne niejako zależnemi od świąt chrześciańskich. Ażeby podobną zamianę uczynić jak najmniéj dotkliwą, dobiérano zwykle na miejsce uroczystości pogańskich święta chrześciańskie, o ile można, podobne do nich co do swéj istoty. Takim sposobem Narodzenie Słońca (natales solis iuvicti) zostało zastąpionem przez narodzenie słońca duchowego, Chrystusa, Zmartwychwstanie natury—przez Zmartwychwstanie Chrystusa, uroczystość Jana Kupały—przez święto Jana Chrzci-

ciela i t. d. Wymienione tu uroczystości miały największe znaczenie w świecie pogańskim, gdyż były obchodzone w czasie, w którym przyroda wstępowała w nowe fazy swojego rocznego żywota, a przyroda stanowiła dla materyalnego świata pogańskiego wszystko, bo była jego widomą dobrodziéjką i opiekunką, zaopatrując go we wszystko, cokolwiek jest potrzebném do wygodnéj i przyjemnéj egzystencyi doczesnéj; christyanizm dopiéro nałożył na pojęcia ludzkie w podobnych kwestyach koloryt duchowy.

Oto dla czego dzisiejsze uroczystości religijne obstawione są różnemi zwyczajami, zabobonami, podaniami i wróżbami, potępianemi nawet jeszcze i dzisiaj, jeżeli w jakikolwiek sposób szkodzą czystości wiary. W podobnych praktykach uwydatnianym jest zwykle los, jakiemu ulega w danéj chwili przyroda, wstępując w nowy okres swojego życia, a także troskliwość i ciekawość ludzi o to, co téż ze sobą przyniesie nowa pora roku (wróżenie)?

Dzień 11 Listopada również łączy w sobie tradycyonalny zwyczaj zjadania *gęsi* i wróżenia z jéj kości piersiowéj o nadchodzącéj zimie. Zwyczaj ten przywiązany jest do *dnia świętego Marcina*, który najczęściéj, jak utrzymuje lud, „*przyjeżdża na białym koniu.*“ Zwyczaje, o których tu mówimy, powstały w epoce przedchrześciańskiéj, w czasie młodzieńczości ludów Europy, kiedy ludy te dobrze jeszcze pamiętały życie na łonie matki—narodu aryjskiego, nic więc dziwnego, że w podobnych praktykach znajdujemy u ludów indoeuropejskich wiele podobieństwa. Ta okoliczność o wiele ułatwia badania naukowe, celem objaśnienia zwyczajów ludowych podjęte, dając możność użycia metody porównawczéj.

Zastanawiając się bliżéj nad zwyczajami, przywiązanemi do dnia św. Marcina, zyskamy jeszcze jeden nowy dowód: że plemię germańskie, za wyjątkiem Litwinów, jest najbliższém słowiańskiemu w rodzinie ludów aryjskich. Wyżéj wspomnieliśmy, że uroczystości pogańskie, które są źródłem dzisiejszych zwyczajów ludowych, poświęcone były uczczeniu co raz to nowego objawu życia natury.

Nie inném jest źródło zwyczajów listopadowych, o których tu chcemy mówić. O ile można wnosić ze śladów, obchodzono w połowie Listopada w epoce przedchrześciańskiéj uroczystość, z okazyi stanowczéj przewagi wiedźmy—Zimy nad przyrodą, nad ożywczém słońcem lata. Była to smutna uroczystość obumarcia natury, która w tym czasie pokrywała się grobowym całunem śniegu. Lazurowy firmament letni obejmowały w tym czasie w posiadanie ponure obłoki i chmury, siejące od czasu do czasu płatami śniegu na przygnębiony ród ludzki. Przewaga duchów ciemności (chmur) jest tu tak stanowczą, że nawet Piorun zwątpił o skuteczności swych poci-

sków, któremi tak łatwo rozpędzał chmury w przeddzień wiosny, zwiastując gromem rodowi ludzkiemu o zbliżającém się lecie.

Takie w ogóle miał znaczenie dzień 11 Listopada.

Przejdźmy do szczegółów.

O zbliżaniu się zimy uprzedza nas odlot ptastwa a szczególniéj bocianów i gęsi do ciepłych krajów. Człowiek, widząc, że stworzenia te wiedzą więcéj niż on sam, bo przewidują przyszłość, czcił je jako istoty wieszcze, prawie boskie (1). Do bociana i gęsi podobnym jest pod tym względem i kogut, który również mocen jest, jak wiadomo, przepowiadać zmiany atmosferyczne. Jako wieszcz, występuje w Sądzie Lubuszy jaskółka, a u nas, jak również i u innych ludów, kukułka, u Rosyan zaś krzyk wron zapowiada burzę i deszcz lub śnieg, stosownie do pory roku.

Ponieważ bociany i gęsi odlatują wtedy, kiedy w całéj naturze zamiéra owo szczęście, jakie w czasie lata rozlaném było po wszystkich jéj tworach, przeto ptaki te uważano za symbol szczęścia. Wójcicki pisze, że „bociana sprowadzić, znaczyło szczęście sobie sprowadzić:“ znanym jest również zwyczaj naszych i ruskich wieśniaków urządzania na domostwach gniazd dla bocianów, celem zwabienia na swoje podwórze tych pożądanych gości, a właściwie, celem zwabienia do siebie szczęścia. Psuć gniazda bocianie lub téż strzelać do nich jest, według wieści ludowéj, wielkim grzechem.

Młodzieńcza fantazya ludzkości posunęła się jeszcze daléj: symbol lata, tj. letnie ptastwo wzięła za sprawcę lata; a tym sposobem porównała je z ożywczém słońcem. W wedach czytamy np. następne odezwanie się poety do wschodzącego słońca: „przeczułem cię duchem, kiedyś było jeszcze daleko, ciebie, *ptaku*, wynurzający się z obłoków; ujrzałem twą *oskrzydloną* głowę....“ Starożytni Indyanie przedstawiali sobie słońce w kształcie *sokoła* i *gęsi flamingo* (2). Egipcyanie wyobrażali sobie Ozyrysa z głową *sępa*, który swym dziobem rozrywa ciemności nocy. Grecy jutrzence (Eos) przydawali jasne skrzydła, a i u wszystkich Słowian rozpowszechnioném jest upostaciowanie słońca w obrazie ptaka (u Polaków np. przedstawioném jest ono w postaci żar—ptaka, wydającego niezwykłe światło; zbiór pieśni ludowych Glińskiego).

Znaczenie *symbolu* światła i dobra i jego *przyczyny* łączy w sobie kogut, którego pianie o świcie jest oznaką rozpoczynajacego się

---

(1) Patrz: Wójcickiego „Zarysy domowe“ i Wodzickiego: „Zapiski Ornitologiczne“. Dodatek do „Czasu“ tom VII i następne.

(2) „Poetyczne zapatrywanie się Słowian na przyrodę“ tom I—515—516.

dnia i ustąpienia ciemności, jak również zmusza w podaniach ludowych wszystkich krajów nieczyste siły, brojące w czasie nocy, do ustąpienia. Słowianie zachodni czcili koguta, jako ptaka światowida.

Przejście dnia w noc i nocy w dzień porównywał człowiek z przejściem lata w zimę i zimy w lato; dowody w tym względzie znajdziemy w każdéj pracy, poświęconéj rozbiorowi literatury ludowéj jakiegokolwiek narodu. Z tego wypada, że to, co zapowiadało jednę przemianę, było oznaką i drugiego przejścia.

Z tego wszystkiego widzimy, jak ściśle łączył człowiek lato, a właściwie ożywcze słońce, z ptastwem letniém.

Z ustąpieniem niejako, z chwilą zwalczenia słońca, owéj „duszy przyrody“ (1) przez wiedźmę—zimę, tak jak z chwilą ustąpienia duszy z człowieka,—życie w przyrodzie ustaje, zamiéra. Jeżeli w tém wyrażeniu zamiast „słońce“ postawimy jego równoważnik (podług powyższego) „ptastwo letnie,“ to otrzymamy myśl, że odlot ptastwa sprowadza na ziemię letarg zimowy—myśl, którą ludy w tysiączny sposób stwierdzają w utworach swéj fantazyi.

Afanasjew („Poetycz. zapatr. Słow. na przyrodę“ tom III, 292—293) mówi:

„Wiemy, że dusze, według przekonania naszych przodków, wylatały z ciała ludzkiego w kształcie ptaszka, motylka lub jakiegobądź innego skrzydlatego owadu, i w tym kształcie wznosiły się do królestwa niebieskiego. Pod wpływem takiego zapatrywania się w znikaniu owadów i odlocie ptaków na jesień upatrywano oddalenie się dusz do krainy niebieskiéj, gdzie w przeciągu zimy przeznaczono im przebywać w niewoli pod silném zamknięciem nieczystych sił; naodwrót w pojawieniu się owadów i ptaków na wiosnę ludzie stanowczo utwierdzali się w przekonaniu, że nastała pora oswobodzenia, że niebo otworzyło swoje wrota i że dusze spieszą odwiedzić ziemię....“

Powszechnie znaném jest również podanie niemiecko-słowiańskie, że bocian przynosi dusze z wody, lub nieba (2), dla rodzących się dzieci.

Tak jak dusze na wiosnę spieszyły ze swego stałego siedliska, nieba, tylko odwiedzić ziemię, tak i ptastwo niebieskie, według przekonania ludu, miało za swoję stałą siedzibę krainę szczęśliwych

---

(1) Patrz: „Ślady i znaczenie mytu o szklannéj górze“ Niwa 1877 r. Nr. 68 i nast.

(2) Patrz wyżéj wspomniany artykuł w „Niwie“.

umarłych. Ztąd np. Czesi zamiast „umrzéć“ mówią: „svéts divokými husami hlidati“ (świat z dziwnemi gęsiami zobaczyć), a w jednêm z podań, przywiedzionych przez nas w wspominanym tu artykule „Niwy,“ chłopek, przyszedłszy na Szklanną górę (do raju), widzi mnóstwo pływających kaczek, a właściwie dusz w postaci tego ptastwa. W niemieckiéj mitologii obowiązek przynoszenia dusz i odprowadzania umarłych bohatérów do Walhalli sprawuje łabędź, lub dziewice-łabędzie, walkirje. U nas znaném jest podanie o pięknéj dziewicy-kani, która zjawia się wieczorami po wsiach, zwabia dzieci łakociami do siebie, otacza je obłokiem i unosi z sobą.

W wedach, w germańskiéj mitologii i u ludów słowiańskich *droga mleczna* (t. j. biała smuga na niebie, jaka się pokazuje wieczorem) uważaną jest za drogę, po któréj dusze zmarłych dążą do królestwa niebieskiego; otóż dla nas w téj chwili ważną jest wiadomość, że Litwini nazywają tę drogę *ptasią drogą* (Grimm—Deutsche Mithol. 331).

Nie można jednak wymagać, ażeby obrazy, powstałe w fantazyi ludu, pozostawały w ściśle określonym stosunku do danego zjawiska przyrody; obrazy podobne powstały drogą metaforycznego porównania, a każda metafora mogła mieć rozliczne zastosowania. Toż samo ptastwo, które oznaczało słońce letnie, oznaczało również i drugi ważny działacz w naturze podczas lata—*piorun.*

Co do tego znaczenia jedność bociana, gęsi i koguta jest również ścisłą. Wójcicki („Zarysy domowe“ str. 75) powiada: „Odwieczna wróżba, że na gniazdo bocianów, nie tylko pioruny, ale grady nie biją;“ Wodzicki zaś (str. 108): „bociany opuszczają gniazdo, przeczuli ogień.... gdy opuściły drzewo z gniazdem na kole, piorun uderzył, albo spróchniałe samo się wywróciło.“ Rulikowski („Opis powiatu wasyłkowskiego“ str. 172) podaje wiadomość „Wieśniacy tutejsi bardzo się dobijają o gniazdo bocianie, albowiem są tego przekonania, iż ono *chroni od ognia*; kto je posiada na swém podwórzu, temu zły człowiek, bojąc się zemsty bocianiéj, chaty lub stodoły podpalić nie śmié. Nieraz widziano, jak bocian *niósł w dziobie głownię płomienną....*“

Zupełnie toż samo twierdzą o bocianie Niemcy (Wolf—Beitrage II, 435; Lynker-Sagi heskie Nr. 191). Prof. Mierzyński („Przyczynki do Mitologii porównawczéj“), od którego zapożyczyliśmy powyższe cytaty o bocianie, na tych i wielu innych podstawach przychodzi do wniosku, że nasz bocian jest to grecki Promoteusz lub piastun błyskawic Zeusa—orzeł i że u Rzymian odpowiada mu *incendiaria avis.*

Nasz bocian, jak grecki Promoteusz, znosi iskry ognia niebieskiego, t. j. dusze rodzących się ludzi, na ziemię, (t. j. przynosi dzieci).

Podobne wyżéj przytoczonym krążą u ludu wieści i o *gęsi*. Już sama nazwa „gęś" pochodzi w sanskrycie (hausa, hausi) od pierwiastku *han*, *pulsare*, *icere*, a Afanasjew (1) wspomina, że lud ruski, gdy ogień wydostaje się przez komin na dach, celem uchronienia się od pożaru, wpuszcza w komin żywą gęś.

Po tych przygotowawczych uwagach, zrozumiemy, że człowiek w postaci gęsi, bohatérki dnia św. Marcina, pragnął uczcić po raz ostatni ożywcze siły przyrody (słońce, piorun), które ją opuszczają zwykle w tym dniu. Była to i jest uczta pożegnalna, gdyż Marcin, co „przyjeżdża na białym koniu" stanowczo instaluje zimę.

Takim sposobem dzień 11 Listopada jest dniem, w którym gęś, w po wyższém znaczeniu pojmowana, ginie pod przemocą wiedźmy, zimy, jest to dzień jéj śmierci i oto z jakiego powodu dla uprzytomnienia tego faktu

Dzień świętego Marcina
Wiele gęsi zarzyna,

jak się lud wyraża.

Stanąwszy oko w oko ze strasznym widmem zimy, strwożony i troskliwy o swoje losy w czasie nadchodzącéj pory roku, człowiek chciałby odgadnąć, jak dalece zima będzie surową i jaki okaże wpływ na przyszłoroczne urodzaje. Do kogóż jednak udać się o poradę w podobnym razie?

Widząc, że ptastwo przeczuło zimę już wtenczas, kiedy jeszcze nie było żadnych stanowczych oznak zbliżającéj się pory roku, człowiek wpadł na domysł, że ptastwo, nieznające rachub kalendarzowych, musi coś więcéj wiedziéć w kwestyi, która go niepokoiła, aniżeli ktokolwiek z ludzi. Mądrość ptastwa letniego wypływać musiała już i z samego prawie boskiego ich charakteru (2), o którym wyżéj wspomnieliśmy.

Z takich to powodów w dniu św. Marcina, jako w pierwszym dniu zimy, odbywają się auspicja na małą skalę: po kolorze kości piersiowéj zjedzonéj gęsi, poznają u nas stopień srogości zimy; jeżeli kość jest biała—zima będzie srogą, mroźną, jeżeli czarna—błotnistą.

---

(1) Ibid—II—246.
(2) Patrz wyżéj wspomnianą pracę prof. Mierzyńskiego.

Zwyczaj ten praktykuje się również i u Niemców (Grimm: Deutsch. Mythol. 1068).

Nie tylko u nas zresztą przypisują gęsi wieszczy charakter. W indyjskim poemacie, Nal i Damajanti, jak mówi Grimm (Deutsch. Mythol. 398—400), złotopióra gęś przepowiada głosem ludzkim, a dziewczęta ruskie, według słów Afanasjewa (II—246), zawiązawszy oczy gęsi, puszczają ją pomiędzy siebie; ku któréj z nich gęś zwróci się i zacznie dziobać, ta wkrótce wyjdzie za mąż. Nie tylko jednak w dniu św. Marcina żegnano lato, ale i witano zimę, a właściwie pierwszy jéj objaw—śnieg. Powstawanie tego ostatniego rozmaicie sobie objaśniano. Czesi twierdzą, że kiedy śnieg pada, *bila pani* (nimfa obłoczna) i aniołki prześcieławją swoję pościel, a w Morawii utrzymują, że Bóg uderza biczem gołębie i strąca z nich pierze.

Nimfy wodne, spuszczające na ziemię wilgoć w jakiéjkolwiek postaci, wyobrażały obłoki. Grecki wyraz nymphe (nubes) znaczy *obłok* i *nimfa*, chroniąca w obłokach nieśmiertelny nektar (Die Götterwelt 53—55). Burza w mitologii germańskiéj znaczyła uganianie się władzcy piorunów za piękną *Windsbraut* lub *Waldfrau*, u nas zaś, pędzenie wiedźm (chmur) na Łysą górę (niebo) na miotłach (wiatrach). Czesi nazywają chmury *babami* twierdząc, że jeżeli „*baby wystupcyi, bude prszet*" (jeżeli baby występują—będzie padać). Stosownie do takiego upostaciowania chmur, twierdzą w Westfalii (według słów Afanasjewa III—121), że kiedy śnieg pada, *die alten Weiber* (obłoki) *schütten den pelz* (skórę, pokrycie obłoczne) *aus*." Staroniemiecka, ruska, litewska i czeska zagadka tak określa śnieg: „przyleciał ptak bez pierza (śnieg), upadł na ziemię pozbawioną zieloności, przyszła dziewica (słońce) i zjadła ptaka, nie mając ust (roztopiło śnieg). Według świadectwa Herodota, Scytowie dla tego uważali północne kraje za nieodpowiednie do podróżowania, że są one zawalone pierzami. W Anglii lud sądzi, że zamieć wywoływaną bywa szczypaniem gęsi niebieskich, a w Niemczech, że śnieg powstaje dla tego, że starożytna bogini Frau Holle, lub aniołowie wytrząsają swoje pierzyny (1). W Rossyi wyrażają się o śniegu: „gęsi skubią na zapusty", pola zaś, pokryte śniegiem, porównywają z białym łabędziem, siedzącym na jajkach. Naszemu wyrażeniu „Marcin przyjeżdża na białym koniu" odpowiada ruskie, oznaczające odlot ptastwa do ciepłych krajów: „łabędzie poniosły śnieg na skrzydłach" (2).

---

(1) Ibid. I—500.

(2) Ibid.

Ażeby zrozumieć, dla czego śnieg przyrównywano do pierza, zwróćmy uwagę na następującą okoliczność.

Lekkie, szybujące po nad ziemią obłoki przodkowie nasi porównywali z ptastwem; ponieważ zaś, jakeśmy wyżéj wspomnieli, obłoki przedstawiano sobie i w postaci istot żeńskich, nimf, przeto dla połączenia tych dwóch metafor, przypisano tym ostatnim możność przemieniania się w ptaki, a między niemi i w gęś, jako ptaka wodnego, gdyż nimfy obłoczne uważano zarazem za nimfy rzeczne.

Indyjskie epsarosy (nimfy obłoczne) lubiały przemieniać swą postać ludzką na ptasią (Die Götterwelt—54). Germańskie niksy przedstawiane są z *gęsiemi* lub *łabędziemi* łapami, serbskie wiły przylatują w postaci łabędzi, a rusałki, według podania ludowego, mają palce u nóg połączone błoną jak u gęsi. Bulgarzy rzucają wiłom w wodę kawałki pieczonéj gęsi (1).

Powyższe więc porównania śniegu tłómaczą się tak: ze śnieżnego obłoku (ptaka) oblatują płatki śniegu (pierze).

Czy opisane tu zwyczaje i przesądy mają jaki związek z osobistością św. Marcina, nie podejmujemy się objaśnić; prawdopodobnie jednak chodziło tu o czas, o termin, a nie o uroczystującego świętego, święta bowiem pogańskie, również jak i nasze, miały sobie wyznaczone pewne, stałe dni.

Władysław Niedźwiecki.

---

(1) Afanasjew III—188.

KRYTYKA.

Assenizacya miast.—Tymczasowe środki assenizacyi miast naszych, opracował *Dr. Stanisław Markiewicz* z Soczewki (osobne odbicie z „Medycyny") z 9-iu drzeworytami w tekście. Warszawa 1878.

Gutta cavat lapidem.

Nikt nie zaprzeczy, że ta gałąź umiejętności lekarskiéj, która się zajmuje obmyślaniem środków, mających uchronić ludność całego kraju od groźnych epidemij, od ciężkich i niebezpiecznych chorób, bez porównania ważniejszą i daleko donioślejszą jest w swoich następstwach od téj, która się ogranicza na badaniu chorób i wyszukiwaniu sposobów ich leczenia. Medycyna publiczna, któréj szczytném zadaniem jest: dociekać przyczyny chorób o ile takowym podlegają całe masy ludności, obmyśliwać odpowiednie środki i zaprowadzać stosowne urządzenia, żeby przyczyny te w samym zarodku zniszczyć, jest całkiem nową nauką. Wprawdzie Piotr Frank w końcu zeszłego i w początku bieżącego stulecia wydał aż ośmiotomową „policyą lekarską" (System einer vollständigen medicinischen Polizei—1778—1819) a wielkiego rozgłosu używający, choć niekoniecznie słusznie, eklektyk niemiecki Hufeland w swojéj „Makrobiotyce czyli sztuce długiego życia" mnóstwo nagromadził praktycznych uwag i przestróg dla osób, które do późnego wieku zdrowie swoje w normalnym stanie zachować pragną; ale dzieła te wielkiego znaczenia nie miały, z powodu iż nauki przyrodnicze, które właściwie ich podstawę stanowić były powinny, na nizkim stopniu rozwoju wówczas się znajdowały. W ostatnich paru dziesiątkach lat, postępy nauk przyrodniczych, a zwłaszcza fizyologii, stały się bodźcem na drodze badania

medycyny publicznéj, i oto w wieku pary i elektryczności, w którym wszystko pędzi lotem błyskawicy, znalazło się mnóstwo ludzi o pierwszorzędnych zdolnościach, którzy w krótkim przeciągu czasu całą bibliotekę (1) w téj nowéj gałęzi umiejętności lekarskiéj stworzyli, ugruntowali mnóstwo większych lub mniejszych (lokalnych) towarzystw, które się wyłącznie tylko sprawami zdrowia publicznego zajmują i których nader pożyteczna działalność już dzisiaj w wielu miejscach błogie sprowadziła skutki.

U nas na polu medycyny publicznéj niewiele, albo nic dotychczas nie zdziałano. Lekarze, którzy z urzędu zajmować się powinni zdrowiem publiczném, a których pokaźna cyfra do stu kilkudziesięciu dochodzi, żadnego znaku życia nie dają; ani literatura, ani dobro publiczne żadnéj korzyści z nich nie odnoszą. Z pomiędzy lekarzy naszych, jeden tylko Dr. St. Markiewicz z Soczewki ważny głos w sprawie ochrony zdrowia publicznego zabiéra. Będąc przekonanym o wielkim pożytku, jaki z prac na tém polu osiąga się dla ogółu, i będąc ożywionym najlepszemi chęciami dla społeczeństwa, w którém żyje, walczy on piórem przeszło od 10-u lat z ciemnotą mas, budzi ich z bezprzykładnéj apatyi w jakiéj są pogrążeni i wykazuje jasno, jak na dłoni, jakie smutne następstwa wypływają z najkompletniejszego zaniedbania staranności około zdrowia publicznego, jakiém kraj nasz się odznacza. Uzbrojony w głęboką wiedzę, w najdetaliczniejszą znajomość wszystkiego, cokolwiek na polu téj nauki gdziekolwiek zdziałano, przekonywa on niezbitemi argumentami o słuszności sprawy któréj broni. Nie pomija najmniejszéj okazyi, żeby wykazać jak absolutnie nic u nas się nie czyni dla ochrony zdrowia publicznego a jak wiele, jak bardzo wiele, zdziałać na tém polu możemy. Dzięki jemu i światłym jego artykułom, publiczność nasza już jest objaśniona i *na pół* przygotowana do tego, iż miasta ponosić muszą wielkie ofiary pieniężne, dla szybkiego pozbycia się nieczystości i brudów, które są nieodłączne z nagromadzeniem większéj ilości ludzi, w jedném miejscu, a które nie mogą wśród nich pozostawać bez wielkiéj dla ich zdrowia szkody.

Dziełko, którego tytuł na nagłówku zamieściliśmy, posłużyć nam może za jeden dowód więcéj, jak nieustającą jest działalność D-ra M. We wstępie znajdujemy przedewszystkiém pogląd ogólny na sprawę

---

(1) Według dokładnéj bibliografii w przedmiocie oczyszczania miast powiada Dr. Markiewicz—w literaturze cudzoziemskiéj w ciągu dwóch lat 1874 i 1875, ogłoszono 165 dzieł, artykułów itp.

oczyszczenia miast, który zalecamy gorąco do czytania wszystkim, których zdrowie ich własne i zdrowie najbliższego ich otoczenia obchodzi. Autor dowodzi tu, jak konieczną i niezbędną jest kanalizacya angielska we wszystkich większych i średnich miastach i zwolennikiem jest kanalizacyi, w której nie tylko woda meteoryczna, nieczystości miejskie etc., ale i zawartość miejsc ustępowych do kanałów miejskich jest wprowadzaną. Polemizując po części z prof. Szokalskim i z Dr. Fudakowskim, którzy na jedném z posiedzeń Towarzystwa lekarskiego przedstawiali ujemne strony kanalizacyi, a ten drugi starał się wykazać jakoby Virchow należał do obozu przeciwników kanalizacyi, przytacza dosłownie tego ostatniego autora i streszcza wyrażane przez niego opinie w następujących punktach:

1) Każde miasto powinno posiadać zupełną, odpowiednio zbudowaną sieć kanałową (kanalizacyą).

2) Śmiecie domowe i uliczne, stałe odpadki gospodarstwa domowego i t. p. zawsze za pomocą wywożenia z miasta usuwane być muszą.

3) Odchody ludzkie stałe i płynne wyprowadzane być mogą z miasta tak za pomocą kanalizacyi, jak i za pomocą wywożenia.

4) Zawartości kanałowe, bez względu na sposób odprowadzania odchodów ludzkich, do rzek wprost wlewane być nie mogą.

Postawiwszy te cztery kardynalne punkta, na które wszyscy zgodzić się musimy, autor dalej rozwija rzecz swoję. Występuje przeciwko zdaniu owych lekarzy, którzy twierdzą, iż kanalizacya w Warszawie zaprowadzoną być nie może, gdyż jest ona dla nas za droga. W rzeczy samej dziwić nas powinno zdanie to wypowiedziane przez lekarzy, którzy wiedzieć powinni, jak wielkie korzyści z oczyszczenia miasta za pomocą kanalizacyi się osiąga i którym nie godzi się ekonomicznych względów mieć na oku, tam gdzie idzie o zdrowie całéj masy ludności. Autor mówi o rozmaitych kategoryach przeciwników kanalizacyi i objaśnia: jak wielu z nich bezpośrednio materyalnie jest tą sprawą zainteresowanych, jak wiele hałasu ci ostatni robią i jak potworne wieści o tém urządzeniu po świecie rozgłaszają. Zarzuty, mające podstawę naukową, autor odpiera słowami sławnego Monachijskiego profesora Pettenkoffera, poczerpniętemi z dzieła jego p. t. „Vorträge über Canalisation und Abfuhr 1866,“ dzieła, które w wysokim stopniu zasługiwałoby na to, żeby je na polski język przełożyć.

W dalszym ciągu autor przedstawia smutny stan sanitarny miast naszych, a zwłaszcza Warszawy, przyczém szczególny nacisk kładzie na brak wody do picia i wody spłókującéj. Dwie do trzech stóp

kubicznych na jednostkę i dobę jest minimum wymagane, tymczasem w Warszawie mamy ledwo pół stopy kub. na jednostkę i dobę. Autor jest przeciwny wyrabianiu pudrety z odchodów ludzkich dla przyczyn, które obszernie wyłuszcza a które za najzupełniéj słuszne uważamy. Przedstawiwszy konieczną potrzebę jak najspieszniejszego zaprowadzenia kanalizacyi angielskiéj z użyciem zawartości kanałów na nawadnianie gruntów, autor słusznie radzi, żeby wszelkie, zaprowadzić się mające tymczasowe środki assenizacyjne nie tylko nie stawały na przeszkodzie ewentualnéj radykalnéj assenizacyi, ale nawet żeby mogły one być z czasem zużytkowanemi jako ogniwo owéj koniecznéj całości.

Ponieważ autor postanowił opracować rzecz o tymczasowéj assenizacyi miast, zatém o kanalizacyi będącéj przeznaczoną do radykalnego ozdrowienia naszych siedzib, tylko pobieżnie i mimochodem wzmiankuje, głównie się zajmując śmieciami domowemi i ulicznemi i urządzeniem miejsc ustępowych.

Ktoby wątpił o wielkiéj szkodliwości tak zwanych śmietników, których taką obfitość mamy w Warszawie i ktoby nie wierzył, iż są one źródlem zaraz i chorób niebezpiecznych, tego ostatecznie przekonać powinna następująca obserwacya, dokonana przed kilkoma laty w Londynie: w jednym z większych szpitali Londyńskich (Middlessex Hospital) zauważono, iż w jednéj sali, któréj okno wychodziło na podwórze, tak zwana ropnica (choroba pochodząca z zakażenia krwi z pacyenta dotkniętego raną ropiejącą) co pewien przeciąg czasu się pojawiała, a potém znowu bez widocznéj przyczyny znikała. Kiedy to kilka razy się powtórzyło, zaczęto śledzić przyczynę takiego stanu rzeczy i oto przekonano się, iż tuż pod oknem rzeczonéj sali znajdował się śmietnik, który co parę miesięcy wypróżniano. Jak tylko oczyszczony śmietnik zapełniać się zaczynał, ropnica się pojawiała, a znikała zawsze ile razy śmiecie wywiezione zostały. Wątpliwości zatém żadnéj nie ulega, że śmietniki w wysokim stopniu są szkodliwe dla zdrowia naszego; dla czego pomimo tylokrotnych nawoływań prasy istnieją one jeszcze w Warszawie dociec trudno. Nic prostszego i łatwiejszego nad szybkie, nieszkodliwe dla zdrowia i stosunkowo niedrogie wywożenie śmieci za miasto, jak się ono praktykuje w celniejszych miastach zagranicą. W każdym domu znajduje się w miejscu przystępném skrzynka, przeznaczona na składanie śmieci z całego domu; codziennie o jednéj i téj saméj godzinie przejeżdża przez ulicę fura, do któréj stróże obowiązani są owe skrzynki wynosić i zawartość ich wysypywać.

Obliczenie wartości śmieci w Warszawie, dokonane przez Dr. M., na zasadzie rozlicznych poszukiwań Bürkl'ego, Pettenkofer'a, Fischer'a etc. nie budzą w nas żadnego zaufania. Podaje on możliwy dochód netto ze sprzedaży śmieci w Warszawie na 24 do 36 tysięcy rubli. Obliczanie wartości warszawskich śmieci, podług cen praktykowanych w Zürichu, Monachium, Lipsku etc., jest niewłaściwe, gdyż stosunki miejscowe rolnicze i przemysłowe w wysokim stopniu wpływają na zmianę ceny takiego wytworu. Również nie sądzę, iżby ilość 300 fur dziennie potrzebnych do wywożenia śmieci z Warszawy, podana przez autora a obrachowana bez odpowiedniego doświadczenia, mogła mieć praktyczną wartość. Szczegóły takie do nas już wcale nie należą; są od tego technicy, którzy i wykonać i obrachować to lepiéj od nas potrafią. Daléj zgodzić się nie mogę z autorem, który powiada że „właścicieli domów trzeba uczynić odpowiedzialnymi za zgromadzenie jakichbądź odpadków gospodarskich i kuchennych przez lokatorów w ich mieszkaniach, kuchniach, sieniach i t. p.“ Nie mamy prawa właściciela domu używać jako sługę policyjnego i czynić go aż „odpowiedzialnym“ za nieporządek, którego się jego lokator w własném swojém mieszkaniu dopuszcza; sądzę nawet, iż nie wypada do tego stopnia rozszerzać atrybucyi policyi i dawać jéj prawo nakazywania komuś, żeby zamiótł lub wymył podłogę w swoim własnym pokoju.

Dr. M. słusznie upomina się o jak najspieszniejsze zniesienie wszystkich t. zw. kanałów miejskich w Warszawie. Z powodu braku odpowiedniego spadku, odpowiedniéj ilości wody do spłókiwania, kanały te są rodzajem podziemnych dołów kloacznych, nigdy należycie niewypróżnionych i są powodem bezustannego zanieczyszczenia powietrza i gruntu. Dr. Wolffhügel przekonał się, po licznych doświadczeniach i rozbiorach chemicznych, iż ziemia nawet pod kanałami gruntownie na cement murowanemi zanieczyszczoną zostaje; cóż się dziać musi u nas, gdzie kanały te w części z drzewa są zbudowane! Obawiam się jednak mocno, żeby słuszne to żądanie Szanownego mojego kolegi, nie było głosem wołającego na puszczy i żeby siedliska te chorobne nie istniały co najmniej do téj błogiéj chwili, w któréj rozpoczną się roboty koło kanalizacyi. Niechaj nas to jednak nie zraża, wołajmy bezustannie, chociażby nas z początku słuchać nie chciano, wszak — powiedziałem wyżéj — gutta cavat lapidem!

Rozdział III i wszystkie następne, aż do końca zajmują się miejscami ustępowemi rozmaitych systemów. Przedmiot ten jest dokładnie i dosyć wyczerpująco opracowany i na każdym kroku spoty-

kamy się z praktycznemi uwagami, do naszych stosunków zwróconemi.

Stałe doły kloaczne powinny być, jak to słusznie twierdzi autor, bezwarunkowo zarzucone. Są to, jak wiadomo, doły, do których wpuszczana bywa zawartość płynna i stała wychodków. Są one czasem wycementowane i w rozmaitych odstępach czasu wypróżniane. Po doświadczeniach Wolffhügel'a, o których powyżej wspominałem, wątpić ani na chwilę nie można, iż zawartość dołów takich przez ich dno do ziemi się dostaje, a ztamtąd studnie nasze zanieczyszcza. Förster twierdzi, iż zanieczyszczanie takie nawet przy odległości 200 stóp studni od dołu miejsce mieć może. Dr. M. utrzymuje, iż wypróżnianie takich dołów kloacznych tylko w nocy powinno się odbywać, nie wie on widocznie, iż u nas w Warszawie, w mieście mającém pretensyą do cywilizacyi, takie oczyszczanie, dokonywane jest wśród białego dnia, kiedy największy ruch na ulicach i na podwórzach panuje. Owe beczki niby hermetyczne, owo palenie gazów wydobywających się przytém, nie zabezpieczają bynajmniéj od fatalnych wyziewów, które i dla zdrowia są w wysokim stopniu szkodliwe.

Dziwna rzecz! doły kloaczne (rozumié się murowane) są u nas obecnie obowiązujące i zaprowadzają się we wszystkich nowowznoszących się domach. Dla czego nie poddano téj kwestyi dokładnemu rozbiorowi, nie poradzono się specyalistów, jak się to wszędzie dzieje, i nie przyjęto systemu beczułkowego, który jedynie ochrania od zanieczyszczania gruntu w miastach nieposiadających kanalizacyi?!

Pomijając doły kloaczne, które, jak to dopiéro co powiedziałem, w żadném państwie cywilizowaném cierpianemi być nie powinny, pozostają trzy główne typy miejsc ustępowych do opisania: doły przenośne (fosses mobiles), wychodki ziemne pomysłu Moule'a i wychodki wodne (water-klozety). Zajmujące szczegóły o tych trzech systemach znajdujemy w broszurze D-ra M., do któréj ciekawych odséłamy i którą usilnie do czytania zalecamy. Najdłużéj zastanawia się autor nad systemem beczułkowym, który za najodpowiedniejszy dla Warszawszy uważa. Najlepsze są wychodki beczułkowe bez rur spadowych, których zanieczyszczenia uniknąć niepodobna, i które z tego powodu zawsze są przyczyną zakażenia powietrza i rozszerzania chorobliwych wyziewów. Na nieszczęście trudno się bez takich rur spadowych obejść, zwłaszcza w domach, w których na piętrach umieszczone miejsca ustępowe wspólny mają na dole rozerwoar beczułkowy. Autor dokładnie bardzo opisuje ten sposób urządzenia wychodków, objaśniając opis swój rysunkami. Przechodząc

do kosztów, jakieby sprowadziło przerobienie dzisiaj przyjętego systemu na system beczułkowy, autor podaje sumę, jaka według jego obrachunku na ten cel potrzebnąby była; ale i tutaj ten sam zarzut wypada mi zrobić co poprzednio. Przerobienie (autor konsekwentnie w całéj broszurze używa wyrazów przeróbka, wywózka, zamiast przerobienie, wywożenie!) dołu klozetowego na pomieszczenie dla kubełków, kosztować ma według autora 10 rubli na 1 klozet. Otóż cyfra ta jest zupełnie dowolną i nie może być za podstawę do ogólnego obliczania przyjętą; najprzód dla tego, że ceny robotników, materyałów etc. z każdym prawie dniem się zmieniają, a potém dla tego, że wychodki zupełnie porujnowane, jakich mnóstwo u nas się znajduje, dwa, trzy a może i więcéj razy tyle wydatku na ten cel by wymagały od wychodków porządnych w nowych domach. Również obrachowanie: ile wydać należy na konie, wozy, narzędzia, umundurowanie itp. nie może być ściśle dokonane, bez bardzo dokładnych danych z praktyki poczerpniętych. Są to szczegóły, które należy technikom zostawić. Według obrachowania D-ra Markiewicza, które, jak dopiéro co powiedziałem, wielkim modyfikacyom uledz może, koszta zaprowadzenia i utrzymywania systemu beczułkowego w Warszawie wynosiłyby 800.000 rubli a z dezinfekcyą milion rubli rocznie. Same koszta przerobienia wynosić mają przeszło półtora miliona rubli. Piéniądze te wydać mamy tylko na tymczasową assenizacyą. Słowa te pisane były zapewne wtenczas, kiedy sprawa kanalizacyi Warszawy nie znajdowała się jeszcze w téj fazie, w którą obecnie weszła. Wiadomo, że inżynier angielski Lindlay wykończył już plan kanalizacyi i zaopatrzenia w wodę miasta Warszawy, że projekt ten tłómaczy się obecnie z języka niemieckiego na polski i rosyjski i wkrótce przedstawiony będzie wyższéj władzy do zatwierdzenia, a jeżeli wszystko pomyślnie pójdzie, to w przyszłym roku rozpoczną się roboty koło tak dawno i gorąco upragnionéj kanalizacyi. Według projektu tego, koszta zaopatrzenia miasta w dostateczną ilość wody (Wiślanéj) i budowy kanalizacyi angielskiéj, do któréj wszystkie odpadki z miasta bez wyjątku wlewane być mają, wynosić ma koło sześciu milionów rubli. Gdzie podziewać będą, według tego projektu, zawartość kanałów, nie wiem tego; nie sądzę jednak, żeby Anglik, który wiedzieć dobrze powinien, iż z postanowienia Parlamentu, nie wolno jest wody kanałowéj do żadnéj rzeki wlewać, u nas podobną rzecz projektował. W obec tak postawionéj kwestyi, nie sądzę iżby właściwém było wydawanie tak wielkich piéniędzy na tymczasową assenizacyą Warszawy. Z miastami prowincyonalnemi rzecz się ma zupełnie inaczéj; ponieważ prawdopodobnie wiele lat upłynie, nim miasta te będą mogły marzyć o kanalizacyi, zatém zaprowadzenie

tymczasowych urządzeń bardzoby tam było na miejscu, tymczasowość ta prawdopodobnie długo tam potrwa.

Dr. M. dobrze się przysłużyl krajowi, wydając dziełko swoje o assenizacyi miast i przez to sprawę tę o jeden krok naprzód posunął a i redakcyi „Medycyny“ należy się uznanie, za wydanie téj gruntownéj pracy swoim nakładem; tém bardziéj, iż doświadczenie nas uczy, że tego rodzaju nakłady nigdy się nie wracają.

Dr. Gustaw Fritsche.

KRONIKA NAUKOWA.

Nowe drogi nauki i przemysłu.

Szkice z wystawy paryskiéj.

Fotografie słoneczne.

Dotąd przyglądaliśmy się mechanicznemu działaniu promieni słonecznych, które zdołają poruszać parowemi machinami. Zobaczymy teraz jaką usługę oddają promienie chemiczne, odbijające na płycie fotograficznéj obraz jego tarczy i dające możność zbadania jego budowy, dotąd jeszcze w wielu bardzo szczegółach tajemniczych i niezbadanych.

W oddziale francuskiego ministerium oświecenia, znajdujemy kilka przepysznych fotografij tarczy słonecznéj, największych jakie dotąd zrobiono i szczególniéj interesujących z tego względu, że przedstawiają zjawisko nowe i dopiéro od kilku miesięcy zauważane, tak zwanéj sieci fotosferycznéj (résau photosphérique), w miesiącu Maju, przez Soussen'a, dyrektora obserwatoryum w Meudon, odkrytéj.

Astronomia fizyczna, jakkolwiek nauka stara co do problematów, bo od wieków starano się poznać budowę ciał na niebie rozproszonych, jest dzieckiem lat ostatnich co do rezultatów. W chwili gdy astronomia ogólna, mająca na celu badanie ruchu ciał niebieskich, doszła do ogromnéj doskonałości i Leverri, przyłożył do ogólnéj budowy téj nauki ostatnie prawie kamienie, astronomia fizyczna była jeszcze ciągle w niemowlęcym stanie. Któż mógł przypuszczać, że przyjdzie chwila, w któréj ciała niebieskie będą poddane rozbiorowi chemicznemu na ziemi i że się dowiemy: z jakich ciał są złożone gwiazdy, zawieszone w przestrzeni i odległe od nas o mil całe miliony, lub nawet miliardy?

Odkrycie rozbiorów widmowych przez Kirchhoff'a i Bunsen'a, z astronomii fizycznéj błąkającéj się dotychczas w hypotezach, zrobiło naukę wielką i pełną pewnych rezultatów, któréj badacze nieba całe swe życie poświęcają.

Weźmy przykład ze słońca. Najdziwaczniejsze o niém obiegały teorye. Arago, który mimo braku środków naukowych odpowiednich, poświęcał wiele pracy na zbudowanie teoryi słonecznéj, twierdził, iż złożoném ono jest z twardego i zimnego jądra, po nad którém unoszą się gęste obłoki a nad niemi dopiéro świecąca i paląca się fotosfera, rozlewająca blask na wszystkie strony.

Rozbiory widmowe zbiły zupełnie te poglądy. Dziś zewnętrzne powłoki słoneczne zostały dokładnie zbadane, a co do jądra, to się dowiedziano, iż jest ono w stanie rozżarzonym i nie miało jeszcze czasu ostygnąć od chwili, kiedy będąc środkową częścią mgławicy, z któréj powstał cały nasz układ słoneczny, zbiło się w jednę masę i rządzi biegiem wszystkich planet. Rozbiory widmowe wykazały, iż na słońcu i gwiazdach znajdujemy te wszystkie ciała, które wchodzą w skład ziemi, dowiodły jedności świata całego co do materyi.

Słońce przybrało zaraz inną postać. Przekonano się, iż otoczone ono jest całe cienką atmosferą wodorową, rozrywane często wybuchami gwałtownemi tego gazu, wznoszącemi się do olbrzymiéj wysokości i tworzącemi tak zwane protuberancye. To nad tą powłoką wodoru unosi się rzadka nadzwyczaj atmosfera koronalna, którą w czasie zaćmienia wybornie obserwować można. Pod temi dwoma okrywami jest dopiéro tak zwana fotosfera utworzona z obłoków nie pary wodnéj, ale pary metalicznéj o niezmiernie wysokiéj temperaturze. Do tych rezultatów doprowadziły badania spektroskopowe.

Daléj wprowadziła nowa metoda badania ciał niebieskich: fotografia, która Soussen'owi pozwoliła dowiedzieć się trochę więcéj o najniższéj ze znanych warstwie obłoków fotosferycznych.

Fotografie słońca, znajdujące się na wystawie, pochodzą z obserwatoryum w Meudon pod Paryżem, do którego pozwolimy sobie zboczyć na chwilę Przed kilku dniami miałem sposobność zwiedzenia go we wszystkich szczegółach, ponieważ należałem do ekskursyi urządzonéj przez kongres naukowy. Nie można sobie wyobrazić cudniejszego położenia, nad to, w którém się znajduje obserwatoryum. Wśród przepysznego parku, na wyżynach z których jak najcudniejszy widok na Paryż, rozwinięty cały u stóp góry, jest na dłoni, wznoszą się małe pawiloniki, zawierające w sobie teleskopy i inne przyrządy do badań astronomicznych. Domki te są prowizorycznemi,

gdyż niedługo ma być wzniesione obserwatoryum z kamienia. Dawniéj był tu pałacyk królewski, zbudowany przez Mausard'a, który jednak został spalony przez Prusaków i, jak z naciskiem opowiada p. Soussen, po zawarciu zawieszenia broni. Podłożyli kilka beczułek nafty i zapalili dla zabawienia się. Dziś stérczą tylko nagie ściany bez dachu. Otóż zaraz po zebraniu się izby deputowanych, rząd przedłoży projekt odbudowania tego pałacu i przeznaczenia go na obserwatoryum, poświęcone wyłącznie badaniom wchodzącym w zakres astronomii fizycznéj.

Przed jednym z domków, stoi zwrócona ku południowi wielka luneta fotograficzna, która dała najlepszy, ze wszystkich znanych dotychczas obrazów słońca. Zbudowaną jest przez p. Prażmowskiego; kilkakrotnie w kongresie naukowym p. Soussen podnosił zasługi naszego rodaka na polu budowy instrumentów do astronomii fizycznéj i oddawał mu jak największe pochwały. Wiadomo, że w zwykłych lunetach do badań astronomicznych, używane są soczewki achromatyczne, które usuwają zabarwienie z obrazów i robią je zupełnie czystemi. Otóż, ponieważ w lunecie fotograficznéj nie chodzi o przypatrywanie się ciałom niebieskim, lecz o zdjęcie dokładne ich obrazu, więc p. Prażmowski zbudował soczewkę achromatyzującą promienie chemiczne, te właśnie, które przyczyniają się do wytworzenia obrazu na całéj płycie fotograficznéj. To téż obraz słońca, na matowém szkle kamery otoczony jest barwnym paskiem, bo zwykłe promienie nie są zachromatyzowanemi, natomiast zdjęcia fotograficzne nie pozostawiają nic do życzenia pod względem czystości i wyrazistości.

Lecz zwykłą drogą nie możnaby było fotografować tarczy słonecznéj; siła bowiem jego promieni jest tak wielką, iż w rezultacie otrzymanoby czarną plamę, nic niemówiącą. Trzeba więc było znaléźć sposób przytłumienia siły światła słonecznego, bez straty na wyraźności obrazu. W tym celu pan Prażmowski zbudował przyrząd, który niezmiernie skraca czas wystawienia czułéj płyty na słońce, tak że nie ma ono czasu na sprowadzenie nadto gwałtownéj zmiany chemicznéj. Gdy luneta dobrze jest ustawiona, wtedy wstawia się płyta fotograficzna. Pomiędzy nią a soczewkami objektywu przesuwa się z ogromną szybkością szparka zrobiona, przez którą jedynie promienie słońca mogą się w metalowéj płycie dostać do płyty, tak że obraz słońca wytwarza się kolejno od jednego brzegu do drugiego. Każda cząstka powierzchni wystawioną jest zaledwie przez jedną trzytysiączną część sekundy.

Fotografie tą drogą otrzymywane nie pozostawiają nic do życzenia. Najdrobniejszy szczegół występuje nadzwyczaj wyraźnie

tak że powiększywszy ten obraz, mający około pół metra średnicy, o ośm razy, można widzieć dokładnie gołém okiem, owe oddawna już obserwowane zjawisko ziaren, którego ostateczne zbadanie zostało zapewne teraz przez fotografią znacznie naprzód posunięte. Fotografie, znajdujące się na wystawie, najlepszém są jego świadectwem. Jeśli się nastawi na słońce zwykłą lunetę, o dość znacznem powiększeniu, w chwili kiedy atmosfera nasza jest przejrzystą, to można dojrzéć, iż cała powierzchnia słońca usianą jest ziarnami jasnemi na ciemném polu. Ziarna te oddawna były obserwowane, lecz o ich kształcie ogólnym i rozkładzie na powierzchni mało miano pojęcia. Otwórzmy tylko słynne dzieło Seckiego o słońcu i przypatrzmy się rycinie przedstawiającéj owe ziarna. Są one regularne, wyraźnie odgraniczone i wszystkie prawie podobne do siebie. Obserwatorowie zmuszeni byli zwracać swą uwagę na drobne części tarczy słonecznéj i nie mogli dojrzéć całości, którą wybornie oddaje fotografia.

Soussen się przekonał, iż ziarna w różnych miejscach powierzchni słonecznéj mają kształt różny, który w całych szeregach stale się powtarza. Cała tarcza podzieloną jest na kilkadziesiąt części, z których każda, kształtu mniéj więcéj polygonalnego, przedstawia centrum rozwoju takich ziaren ciągle się zmieniających, ginących i napowrót powstających. W środku każdego takiego wieloboku, ziarna są wyraźnie odgraniczone i mają kształt zbliżony do kulistego; na brzegach jednak rozpływają się one, wydłużają i przybierają postać włóknistą. Szeregi takich włókien jak sieć pokrywają całą powierzchnię słońca i dla tego też Soussen nazwał je „siecią fotosferyczną.“

Sieć ta zauważana w Maju nie mogła być dotychczas dokładnie zbadaną i związek jéj z plamami objaśnionym. Od roku bowiem plamy nie pojawiają się prawie na słońcu, a jeśli pojawią, to bardzo szybko znikają, nie pozostawiając śladów.

Soussen tłómaczy zjawisko ziaren i sieci fotosferycznéj w ten sposób, iż wodór, wywiązujący się w wielkiéj ilości wewnątrz powłók słonecznych, przedziera się przez gęste obłoki metaliczne, torując drogę w miejscach najmniéj stawiających oporu. Miejsca te, rozsiane nieregularnie na tarczy słonecznéj, tworzą centr owych ognisk siatki fotosferycznéj.

Ten pierwszy rezultat większéj doniosłości otrzymany przez fotografią każe się spodziewać dalszych, które muszą być wynikiem téj niedawno zaprowadzonéj metody badania tarczy słonecznéj.

Oświetlenie elektryczne ulic i gmachów publicznych.

Dla cudzoziemca, przybywającego do Paryża w bieżącym roku, najbardziéj uderzającą nowością, jest elektryczne oświetlenie ulic i gmachów publicznych, rozwlekające wśród wieczora białe i jaskrawe promienie na tłumy przechodniów i ściany domów, oświetlenie, przy którém blask płomieni gazowych niknie zupełnie i wyglądają one jak dawne łojówki w obec gazu, który się w bieżącym wieku pojawił.

Dotąd światło elektryczne używaném było w latarniach morskich, w gabinetach fizycznych do doświadczeń, na wojnie do oświetlenia pozycyj nieprzyjacielskich i wielkich warsztatach, w których jedna, lub dwie lampy, umieszczone w sklepieniu, wystarczały do oświetlenia ogromnéj sali. Do oświetlania ulic, teatrów i t. p. nie można go było używać, gdyż było nadto rażącém. W jednym punkcie koncentrowało się światło równające się co do siły kilkuset płomieni gazowych; było to tak rażącém, iż oko wytrzymać go nie mogło, témbardziéj, że w dodatku siła tego światła nie była nigdy jednostajną i znać było ciągłe, niezmiernie dla oka przykre wahania.

Wszystkie te wady zostały usunięte w ubiegłym roku przez inżyniera Jabłoczkowa, który wynalazł tak zwane świece elektryczne, dające światło zupełnie znośne dla oka, pięknéj białéj barwy, niemigoczące prawie wcale i tańsze od gazu. To też zalety te utorowały odrazu drogę nowemu wynalazkowi, i dziś już około tysiąca lamp elektrycznych pali się w Paryżu, a zamówienia zagranicę idą tak szybko, iż fabryka maszyn nastarczyć nie może i co chwilę potrzebuje rozszerzać swoje warsztaty.

Dotychczasowy system oświetlenia elektrycznego polegał na zastosowaniu zjawiska, odkrytego przez Davy'ego w r. 1813. Wielki ten uczony przepuszczał silny prąd elektryczny przez dwa kawałki węgla, oparte jeden na drugim. Węgle rozrzarzyły się do czerwoności. Gdy potém oddalił jeden węgiel od drugiego, to ujrzał między dwoma końcami węglów, wydającemi oślepiające i podobne do słonecznego światła, łuk barwy fioletowéj, zwany łukiem woltaicznym. Lecz Davy potrzebował do wywołania tego zjawiska 2.000 elementów, i dla tego téż nie myślano wcale wtedy o zastosowaniu praktyczném tego wielkiego odkrycia.

Dopiéro późniéj, gdy pojawiły się machiny wytwarzające elektryczność na wielką skalę i tanim kosztem, oświetlanie elektryczne zaczęło się rozpowszechniać i wynajdywano rozmaite sposoby otrzymania światła nieprzerwanego i o ile można jednostajnego. Podczas świecenia, oba węgle zużywały się jeden więcéj, drugi bez porównania

mniéj i trzeba je było zbliżać bez przerwy, żeby nie nastąpiło przerwanie prądu. Otóż w tym celu wymyślono tak zwane regulatory, które automatycznie zbliżały węgle w miarę użycia i dawały możność otrzymywania światła ciągłego i stosunkowo dość jednostajnego. Jednak w jednym obwodzie elektrycznym potrafiono dotychczas zapalić tylko jedno światło, pochłaniające całą siłę prądu, i dla tego też były one tak rażącemi dla oka. Zresztą i regulatory, mimo najlepszéj budowy, do któréj ciągłe ulepszenie przynosili tacy uczeni jak Foucault i tacy mechanicy jak Dubosq i wielu innych, nie funkcyonowały zawsze dobrze i potrzebowały częstéj ręcznéj pomocy.

Jabłoczków jednym zamachem usunął regulatory zupełnie, zrobił światło bez porównania jednostajniejszém i w jeden obwód drutu przeprowadzający prąd elektryczny potrafił wstawić kilka lamp, które całą jaskrawość jednego płomienia rozdzielały na kilka części, nieposiadających wcale oślepiającego blasku. Wynalazek jego tak jest prostym, iż dziwić się wypada jak dotychczas nikt nie wpadł na tę kombinacyą prostą aż do śmieszności. Dotychczas węgle w lampie elektrycznéj stawiano prostopadle jeden nad drugim. Jabłoczkow postawił je równolegle, w odległości kilku milimetrów od siebie, a przestrzeń wolną między obu zapełnił laseczką gipsu, ściśle do węgli przylegającą.

Jeden drut od maszyny elektrycznéj dotyka się do dolnego końca jednéj laseczki węgla—a drugi, do dolnego końca drugiéj. Oba górne końce złączone są z sobą cieniutką laseczką grafitu, albo też inną jakąś masą elektryczność przeprowadzającą.

W ten sposób prąd elektryczny wchodzi do pierwszéj laseczki węgla i przebiega po niéj do góry, nie mogąc wprost przeskoczyć do laseczki sąsiedniéj, gdyż temu przeskadza izolująca warstwa gipsu. Wpada do niéj dopiéro przez połączenie u góry, które się szybko rozpala do czerwoności, potém białości i ulatnia się zupełnie.

Wtedy obie laseczki węgla nie stykają się zupełnie i powstaje między niemi ów łuk woltaiczny, posiadający najwyższą temperaturę jaką mamy na ziemi. Gips w górnéj części, dotykający łuku tego, zaczyna się topić i ulatniać w miarę jak się węgle zużywają. Lecz, jak już wspomnieliśmy, oba węgle nie zużywają się jednakowo, i żeby tak zwana „świeca Jabłoczkowa“ paliła się jednostajnie, trzeba byłoby jednę laseczkę zrobić mniéj więcéj dwa razy grubszą niż drugą. Lecz małą tę niedogodność usunięto w ten sposób, iż prąd elektryczny, idący z wielkiéj maszyny mogneto-elektrycznéj, zmienia z niezmierną szybkością swój kierunek, kilkaset razy na minutę, i raz przeskakuje z pierwszego węgla do drugiego, potém odwrotnie i tak daléj, aż póki maszyna jest w ruchu.

W ten sposób węgle zużywają się jednostajnie i cała świeca spala się powoli od góry do dołu, jak zwykła świeca, używana przez nas do oświetlania pokoi. Węgle grają tu rolę knota, a gips stearyny.

Ponieważ węgle są równoległe, więc odległość między niemi pozostaje zawsze ta sama, i światło jest zupełnie jednostajném a regulatory niepotrzebnemi.

W dodatku jeszcze rozżarzony gips, w górnéj części świecy, staje się na wpół przewodnikiem elektryczności. Część prądu używa się więc na wytworzenie światła, a część bieży po drucie daléj i służy do zapalania lamp następnych.

Tą drogą, zamiast jednéj lampy o sile tysiąca płomieni gazowych, można mieć w jednym obwodzie dziesięć lam, z których każda równać się będzie tylko stu płomieniom.

Ta, nazwana tak przez wynalazcę „kanalizacya“ prądu elektrycznego jest najgłówniejszą zaletą nowego systemu oświetlania, ze względu na własności światła w ogóle. Jeżeli naprzykład mamy jakiś plac duży do oświetlenia, to kilkoma lampami o mniejszéj sile zdołamy to uskutecznić bez porównania lepiéj aniżeli jedną, nawet przewyższającą co do siły wszystkie inne razem. Wiadomo bowiem, że natężenie światła słabnie niezmiernie szybko w miarę oddalenia się od źródła, w odwrotnym stosunku kwadratów z odległości, więc w blizkości wielkiego płomienia elektrycznego światło byłoby nie do zniesienia, a w kilkuset metrach odległości, bylibyśmy w zupełnéj prawie ciemności pogrążeni.

Możebność rozdzielenia światła elektrycznego na wielką ilość płomieni i rozrzucenia ich na dowolnéj powierzchni w niewielkiéj od siebie odległości, przyniosło od razu wielkie powodzenie towarzystwu akcyjnemu, które się zawiązało z kapitałem pół miljona funtów w celu eksploatowania wynalazku Jabłoczkowa i wróży mu świetną przyszłość.

Z pomiędzy szeregu rozmaitych systemów oświetlania, któreby nam zaproponowano, wybralibyśmy takie, któreby odpowiadało następującym warunkom:

a) byłoby najwięcéj zbliżoném do światła dziennego;

b) najmniéj wywiązywało ciepła;

c) nie przedstawiało niebezpieczeństw pożaru i wybuchów;

d) najmniéj kosztowało, przy równéj ilości siły światła.

Przekonajmy się, o ile świece elektryczne odpowiadają tym warunkom. Najprzód co do pierwszego punktu. Już proste porównanie gołém okiem światła gazowego ze światłem elektryczném wy-

kazuje ich ogromną różnicę. Gaz wydaje przy świecy elektrycznéj, brudno-żółtawe światło, bez blasku. Lecz różnice te najwyraźniéj wystąpią, jeśli rozłożymy oba światła na ich składowe części. Przepuściwszy przez pryzmat szklany wiązkę światła elektrycznego, otrzymamy na ścianie widmo złożone z tych wszystkich barw, jakie w świetle dziennèm znajdujemy. Siedm barw tęczowych widma słonecznego występują wyraźnie jedna za drugą, poczynając od czerwonéj a kończąc na fioletowéj. Tymczasem wiązka światła od lampy gazowéj daje widmo niecałkowite; części czerwone, pomarańczowe i żółte występują wyraźnie na jaw, a w dalszym ciągu zielonych jest mało, błękitnych jeszcze mniéj a fioletowych nie ma prawie wcale.

Ten brak niektórych promieni w świetle gazowém jest również w świetle świec i lamp naftowych; jest przyczyną, iż przedmioty niebieskie, zielone i fioletowe zmieniają w takiém oświetleniu swoję barwę i trudno nieraz odróżnić tkaninę zieloną od niebieskiéj a fioletowe przedmioty stają się prawie czarnemi, natomiast przedmioty żółte, czerwone i pomarańczowe występują w całéj jaskrawości. W naturze widzimy przedmioty w barwach przez ich powierzchnie odbitych. Przedmioty zielone pochłaniają wszystkie promienie, padające na nie ze źródła światła, a odbijają tylko zielone. Lecz gdy w tém źródle nie ma wcale, albo też bardzo mało promieni zielonych, to przedmiot albo się wyda czarnym, albo też będzie miał bardzo niewyraźne zabarwienie.

Otóż te własności światła elektrycznego, że posiada promienie całego widma, są jego ogromną zaletą, gdyż przy niém żadna barwa nie traci na swéj jaskrawości i wygląda zupełnie tak jak w dzień biały.

Pomiędzy więc światłem dziennèm a światłem elektryczném nie byłoby żadnéj różnicy, gdyby nie jedna mała niedogodność, która zresztą z czasem, jesteśmy tego pewni, zupełnie będzie usuniętą.

Mówiliśmy już, że podczas świecenia, oba końce węgli rozpalają się do białości i one to wysyłają owe białe światło, niczém się nieróżniące od światła słonecznego. Lecz wspomnieliśmy także, że między niemi powstaje tak zwany łuk woltaiczny, który nie ma wielkiego blasku, lecz jest zabarwiony na fioletowo. Otóż ten łuk daje światłu elektrycznemu ton zimny i suchy, przy którym barwy tracą nieraz na ożywieniu; a ponieważ właśnie płomienie fioletowe największą posiadają siłę chemiczną, więc też najsilniéj działają one na siatkówkę oka i prędko ją męczą.

Po za zwykłemi barwami widma, są jeszcze promienie, których gołém okiém nie widzimy, które jednak wywołują silne dzia-

łanie fizyczne, albo też chemiczne. Jeżeli rzuciwszy obraz widma słonecznego na ścianę, ustawimy czuły termometr, przed czerwonym końcem, w miejscu, w któróm nie widać żadnéj barwy, to zobaczymy, iż rtęć w termometrze się podniesie. Tłomaczy się to tém, że w widmie słonecznóm są promienie, których nie widzimy, których siatkówka oka naszego rozpoznać nie może, a które jednak istnieją, jak to termometr użyty wskazuje. Zupełnie podobnego rodzaju zjawisko znajdujemy po za drugim końcem widma, po za promieniami fioletowemi. Tam znajdujemy promienie, których wcale nie widzimy, ale które mają silne bardzo działanie chemiczne, i jeżeli wystawimy w miejscu, na które pada obraz widma, czułą płytę fotograficzną, to da nam ona obraz, daleko wychodzący po za granice fioletowych promieni.

Otóż w świetle elektrycznóm promieni takich bardzo wiele, i one to są głównie przyczyną, iż światło to jest rażącém nieco dla oka. Ażeby usunąć te promienie, zupełnie zbyteczne dla oświetlenia, robiono próby najrozmaitszego rodzaju, lecz nie doprowadziły one dotychczas do całkowicie zadowalających rezultatów. W zwykłém świetle elektrycznóm, według dawnego systemu, występują te promienie, chemicznie działające najsilniéj. Świece Jabłoczkowa posiadają ich mniéj nieco, gdyż gips, izolujący obie laseczki, daje spalając się światło różowe, które zmienia barwę łuku woltaicznego i to do tego stopnia, że gdyby nie nieco baryty dodawanej do gipsu, wywołującéj barwę zieloną, równoważącą promienie różowe, to świece te miałyby tych promieni za wiele. Jednak zadanie nie zostało ostatecznie rozwiązaném i przedłuża ono piękne pole do poszukiwań wynalazców. Na podstawie powyższych rozpatrywań, możemy śmiało powiedziéć, iż ze wszystkich znanych sztucznych świateł, światło elektryczne najbardziéj jest zbliżoném do dziennego,

To jedno już powinnoby wystarczyć do zaprowadzenia tego światła tam, gdzie chodzi o wywołanie wszystkich barw, w salach pięknie dekorowanych, na balach publicznych, gdzie pyszne stroje potrzebują jak najlepszego oświetlenia, w teatrach i t. p. Jest to oświetlenie przedewszystkiém zbytkowne. Lecz wprowadzeniu jego sprzeciwia się przyzwyczajenie od dawna nabyte ze świec i płomieni gazowych. To też z początku odzywały się często głosy niechętne, i tak naprzykład, gdy oświetlono wnętrze teatru Chatelet, paryżanki zaczęły się skarżyć, iż płeć ich wiele traci na takiém oświetleniu, że wyglądają blado i staro. I w saméj rzeczy miały one słuszność, bo gdy w świetle gazowém występowały tylko barwy czerwone, pomarańczowe i żółte jaskrawo na jaw, to w świetle elektrycznóm zielone, niebieskie i fioletowe barwy ciała stały się jak w dzień biały

widocznemi, a kosmetyki dobre do płomieni gazowych, nie funkcyonowały dobrze w nowém świetle i trzebaby było je zmienić zasadniczo.

Lecz powoli przywyknięto do tego, i skargi ucichły coraz bardziéj, a światło zyskiwało coraz więcej na rozpowszechnieniu.

Pierwszy więc warunek wymagany przez nas, żeby światło, które używać chcemy, było jak najwięcéj zbliżonėm do słonecznego, jest najlepiej przez światło elektryczne wypełnionym.

Zobaczymy o ile ono odpowiada drugiemu wymaganiu, żeby światło to jak najmniéj wywiązywało ciepła. Ważném to jest szczególniéj w zamkniętych salach, gdzie przy teraźniejszém oświetleniu, temperatura dochodzi nieraz do nieznośnego stopnia, a w dodatku tlen powietrza, potrzebny do oddychania, zużywa się na podtrzymanie płomienia wywiązującego niepotrzebny i szkodliwy kwas węglowy.

Otóż światło elektryczne wysyła na wszystkie strony bardzo mało ciepła, chociaż sam łuk woltaiczny posiada najwyższą temperaturę, jaką na ziemi znamy. W łuku elektrycznym topią się wszystkie znane ciała; platyna mięknie jak wosk, a nawet węgiel pokazuje ślady rozpoczętego topienia się. Obliczono tę temperaturę na przeszło 1.600 stopni, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa jest ona znacznie wyższą. Jednak ciepło to zużywa się wewnątrz samego łuku i w bardzo tylko małéj ilości wydostaje się na zewnątrz. Trzymałem rękę, po nad czterema świecami, zapalonemi jednocześnie w odległości takiéj, w któréj drzazga drzewa nad gazowym płomieniem napewnoby się zapaliła.

Zjawisko to, paradoksalnie wyglądające, potrzebuje nieco szczegółowszego wyjaśnienia. Musimy znowu wrócić do widma, rzucanego przez pryzmat na ścianę. Jeżeli zaczniemy w różnych miejscach tego widma ustawiać termometr, to się przekonamy, że we fioletowéj części ciepła nie ma wcale, a zwiększa się ono coraz bardziéj, im bardziéj się zbliżamy do końca czerwonego, a największém jest tam, gdzie go wcale nie widać, po za tym końcem czerwonym. Otóż, jeżeli będziemy nagrzewali jakieś ciało, jak naprzykład drut platynowy, to rozgrzeje się on do kilkuset stopni, nie wydając żadnego światła; następnie będzie wydawał światło czerwone, które jest oznaką pierwszego stopnia rozżarzenia. Taki kawałek drutu będzie wysélał na wszystkie strony bardzo silne promienie cieplikowe. Jeżeli go daléj rozgrzewać będziemy, to zacznie świecić jaśniéj i będzie przyjmował po kolei wszystkie barwy widma. Jednocześnie z coraz zwiększającą się jasnością, z coraz większą ilością wysélanego światła, liczba promieni cieplikowych, leżących bliżéj czerwonego końca widma, zmniejszy się znacznie, i gdy temperatura dojdzie do przeszło 1.200 stopni,

co już odpowiada barwie fioletowéj, tych promieni będzie bardzo mało.

To téż i pod tym względem światło elektryczne nie ma sobie równego, ilość bowiem ciepła wywiązywanego jest tak małą, iż nie potrzebuje być wprowadzaną w rachunek, a w dodatku skład chemiczny powietrza nie zmienia się prawie wcale.

Warunek drugi byłby w ten sposób zupełnie wypełnionym. Co do warunku trzeciego, żeby światło nie przedstawiało niebezpieczeństwa wybuchów i pożaru, to o tém nie ma nawet mowy przy świetle elektryczném, które chyba to niebezpieczeństwo przedstawia, że gdy się go dotknie nieostrożnie w nieodpowiedniém miejscu, to się uczuje gwałtowne wstrząśnienie.

Wypełnienie warunku czwartego, taniości, jest sprawa decydującą o rozpowszechnieniu nowéj metody oświetlania i dla tego téż zatrzymamy się przy niéj na chwilę.

Musimy odróżnić koszta zaprowadzenia i urządzenia przyborów do światła elektrycznego, od kosztów utrzymania. Przedewszystkiém trzeba mieć źródło, wytwarzające prąd elektryczny na wielką skalę. Obecnie, bez wyjątku prawie, używają maszyny Gramm'a, która specyalnie do palenia świecy elektrycznéj jest przyrządzona. Maszyna ta, wynaleziona przed kilkunastu laty przez Gramm'a, który był wówczas prostym robotnikiém, jest najlepszą ze wszystkich maszyn; przy równych bowiem kosztach i równej pracy, wytwarza największą ilość elektryczności. Urządzenie jéj opiera się na zjawisku indukcyi, polegając, jak wiadomo, na tém, że jeżeli będziemy do jakiegokolwiek przewodnika szybko zbliżali i potém oddalali magnes, to przy każdém zbliżeniu i oddaleniu powstanie w tym przewodniku prąd elektryczny, biegnący przy przybliżeniu w jednym, a przy oddalaniu w drugim kierunku. Otóż w najnowszéj maszynie Gramm'a, kilkanaście magnesów umieszczonych jest na osi, niesłychanie szybko obracanéj za pomocą machiny parowéj. Magnesy przelatują z ogromną szybkością przed zwojami drutów, leżącemi stale w ich bliskości, wywołują w tych zwojach silne prądy, zmieniające ciągle swój kierunek, które wzdłuż drutów przewodnich idą do zasilania płomieni.

Magnesy na ruchoméj osi umieszczone muszą być bardzo silnemi i dla tego téż używa się zwykle elektromagnesów. Jedna mała maszyna Gramm'a wytwarza zwykłemi magnesami silny prąd elektryczny, który idzie do zwojów otaczających kawałki żelaza w drugiéj i robi z nich potężne magnesy.

Otóż takie dwie maszyny potrzebne są koniecznie i one to stanowią główne koszta przy założeniu światła elektrycznego. Żeby mieć przykład praktyczny na oku, dajmy na to, że mamy oświetlić

jakiś plac publiczny szesnastoma lampami, z których każda równa się co do siły 100 płomieniom gazowym. Do wytworzenia wystarczającéj ilości, potrzebne są dwie opisane wyżéj maszyny dynamoelektryczne, kosztujące razem 10.000 franków.

Do poruszania tych machin potrzebną jest machina parowa o sile 16-tu koni. W ogóle liczy się zawsze siła jednego konia parowego na każdą lampę o sile stu płomieni gazowych.

Otóż koszta machin parowych zależą od miejscowości i ich urządzenia, więc nie możemy ich tu określić ogólnie; zresztą każdy z łatwością może się o cenie wszędzie dowiedzieć.

Konduktory, prowadzące prąd elektryczny od machiny do ognisk świecących, składają się z kilkunastu drutów cienkich, zawiniętych w okrywę kauczukową. Sznur taki druciany kosztuje dwa i pół franka za metr bieżący.

Chcąc mieć koszta całkowite zaprowadzenia, trzeba do podanych wyżéj dodać jeszcze koszta kloszów, podstawek do lamp i tp., które się naturalnie zmieniają stosownie do mniéj lub więcéj zbytkownego urządzenia.

Koszta utrzymania dadzą się w każdym szczególnym wypadku z wielką łatwością obliczyć. Jedna świeca, paląca się przez półtora godziny kosztuje 75 centymów, lecz cena ta będzie jeszcze bardziéj zniżona, bo fabrykacya węgli sztucznych, prowadzona dotąd ną małą skalę, rozwija się znacznie obecnie, i już od roku ceny spadły prawie o połowę.

Inne koszta utrzymania, jak np. pędzenie machiny parowéj i utrzymanie dozorcy, obliczają się według miejscowych stosunków.

W wielkich magazynach Luwru, oświetlonych już od dawna świecami Jabłoczkowa, w kilku galeryach, 201 płomieni gazowych, których utrzymanie kosztowało dziennie około 90 franków, zostały zastąpione 16 lampami elektrycznemi, kosztującemi tylko 63 i pół franków. Oszczędza się w ten sposób 30%, jak to stwierdził akademik Jamin po zrobieniu oficyalnej ankiety. Dodać do tego trzeba, iż światło otrzymane kilkakrotnie przewyższa dawniejsze co do jasności.

Wszystkie te zalety, siła i barwa, pyszne światło, mniejsze stosunkowo koszta, przy większéj świetności oświetlenia, przyczyniły się do zapewnienia towarzystwu eksploatującemu ten wynalazek świetnego powodzenia. W samym Paryżu pali się już około 1.000 lamp elektrycznych. Niedługo wielkie bulwary mają być oświetlone od Bastylii do Madeleiny. Ameryka przysłała ogromne zamówienie, a patenta na Niemcy i Rossyą zostały już za znaczne sumy sprzedane.

Od czasu zaprowadzenia świecy elektrycznej, zrobiono bardzo małe postępy, któreby dawały jakieś nowe korzyści. Wszystkie ulepszenia stosują się głównie do szczegółów fabrykacyi, do ułatwień potrzebnych w skutek większego odbytu, lecz w zasadzie nowego a ważnego nic prawie nie zrobiono, z wyjątkiem odkrycia tak zwanych ekscytatorów, które zwiększają wydajność światła przy jednéj i téj saméj pracy maszynowéj. Ekscytatory nie są jeszcze nigdzie stale zaprowadzone, jednak przygotowują się obecnie w fabryce na wielką skalę i mają być sprzedawane za kilka tygodni.

Pan Jabłoczkow pokazywał mi ten swój nowy wynalazek w czynności, dający rzeczywiście bardzo dobre rezultaty, jednak teorya jego, którą podawał nie mogła mię zadowolnić i sam przyznał, że mimo tego, iż jest odkrywcą, dobrze nie pojmuje funkcyonowania swego ekscytatora.

Przedstawmy sobie, iż z maszyny magneto-elektrycznéj dającéj prądy o zmieniającym się ciągle kierunku, jeden drut puścimy do ziemi a drugi wyciągniemy wzdłuż, bez zamknięcia; od tego drutu, przeprowadzimy kilka odnóg do ekscytatorów. Nowe te przyrządy są niczém innem, jak tylko dawno znaną bańką leydejską, o zmienionym kształcie. Płyta izolująca, z kauczuku lub szkła, pokrytą jest z jednéj i drugiéj strony cienkim papiérem cynowym, tak zwaną cynfolią. Otóż jedna strona połączoną jest z odnogą od głównego drutu, i w chwili gdy w tym drucie zjawia się prąd, na drugim arkuszu cynfolii, izolowanym, zgromadza się elektryczność, która niknie, gdy prąd zmieni kierunek, i pojawia się znowu, lecz i o innym znaku, i tak daléj, aż dopóki maszyna magneto-elektryczna funkcyonuje.

Otóż, jeżeli tę drugą powierzchnię cynową połączymy drutem ze świecą Jabłoczkowa, to świeca ta będzie się palić jak gdyby prąd do niéj wprost z maszyny przechodził. Lecz co najdziwniejsza, że tą drogą dwa razy więcéj świec palić można. Zkąd się bierze to wzmocnienie, jest to pytanie, na które jeszcze dotąd dokładnie odpowiedzieć nie zdołano.

W ogóle nauka o elektryczności opartą jest dotąd na tak chwiejnych podstawach, iż wiele zjawisk poznanych w rezultatach, jest całkiem niewiadomego pochodzenia i oczekuje badacza, któryby je teoretycznie objaśnił. Wynalazca zaś zadawalnia się rezultatami, jak najmniéj dbając o teoryą. *Bruno Abakanowicz.*

Sprostowanie:

W zeszycie „Ateneum“ za Październik r. b., w artykule: „Jan Kochanowski“ wydrukowano Rousard, a powinno być: Ronsard.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**